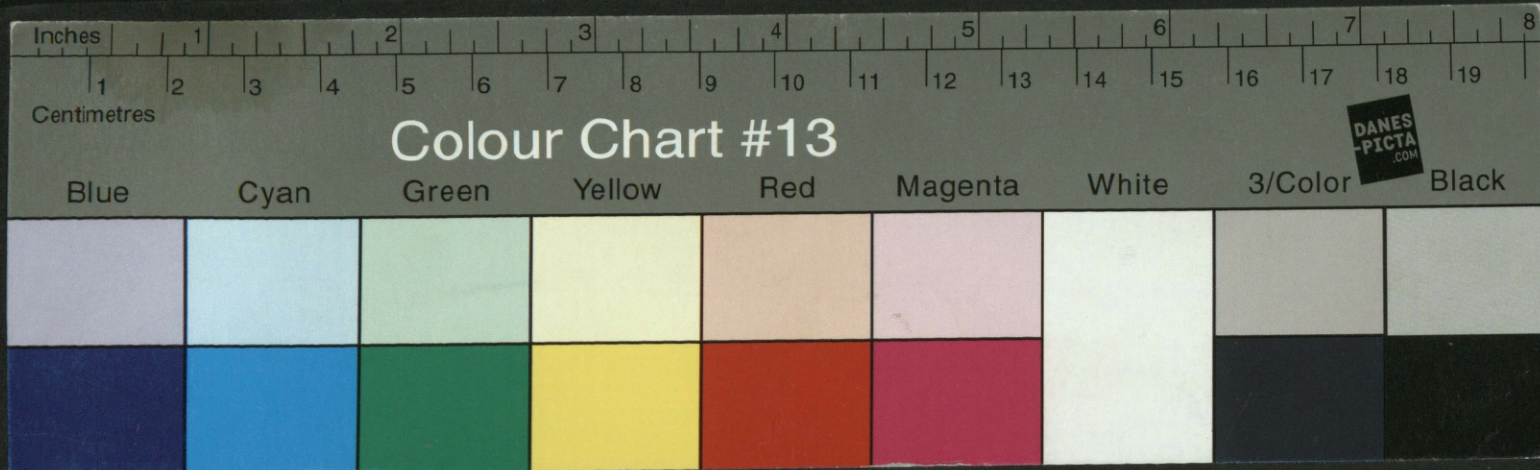




SŁAWOMIR CZERWIŃSKI

O NOWY IDEAL
WYCHOWAWCZY



SŁAWOMIR CZERWIŃSKI

O NOWY IDEAŁ
WYCHOWAWCZY

O NOWY IDEAŁ WYCHOWAWCZY

WYDAWCTWO TOWARZYSTWA EDUKACYJNOGO
WARSZAWA - 1934

BIBLIOTEKA „ZRĘBU”

SŁAWOMIR CZERWIŃSKI

3087.

O NOWY IDEAŁ WYCHOWAWCZY

(WYDANIE II – ROZSZERZONE)

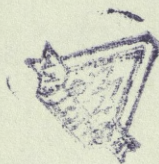
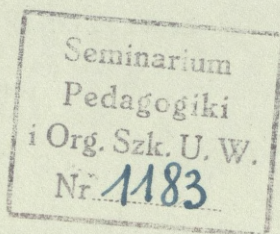
WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA KULTURY I OŚWIATY
WARSZAWA – 1934



Subl. 3205

zingr.

37:371.1



10063/1

5-340/26
3 VII 54

Zakł. Graf. B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61.

PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA

Z prawdziwym i głębokim wzruszeniem przystępujemy dziś do przekazania nauczycielstwu tego skarbu bezcennego, jakim są dla niego mowy ś. p. ministra Sławomira Czerwińskiego. Każda myśl w nich zawarta rodziła się dla nas, nauczycieli, każda z nich poparta była gorącym biciem serca. Dziś, gdy odszedł od nas nasz Wielki Przyjaciel i Wychowawca, ze słów Jego dawniej wypowiadanych, a utrwalonych na piśmie, czerpać musimy siłę do prac trudnych i odpowiedzialnych. Uczyc się z nich możemy wszyscy: i nauczyciele w małych jednoklasówkach w głuchych wsiach, i pracownicy wielkich szkół w miastach, administracji szkolnej, i sterownicy prac oświatowych w centrali. Ś. p. minister Czerwiński ogarniał bowiem myślą i uczuciem wszystkie ogniska pracy szkolnej i oświatowej, uznając je za wymagające tej samej pracy i tej samej odpowiedzialności. Z doświadczeń własnego życia znał wszystkie szczeble pracy nauczycielskiej, w każdy jej odcinek wносił twórczy zapal, równe oddanie się, i równą umiejętność. Nauczyciel w 1910, dyrektor szkoły w 1915, urzędnik ministerstwa w 1919, wizytator w 1923, podsekretarz stanu w dniu 31.VIII. 1928 i wreszcie minister od 14.IV. 1929—oto poszczególne etapy pracy ś. p. ministra Czerwińskiego.

Gdy w roku 1929 objął ster całego życia szkolnego w Polsce, stanęły przed Nim niezmiernie trudne i do-

niosłe zadania. Wynikały one nietylko z przyczyn normalnych, związanych z koniecznością systematycznej rozbudowy szkolnictwa, ale i z głębszych źródeł.

Pierwsze dziesięciolecie pracy szkolnej w Polsce charakteryzował nadzwyczaj silny pęd walki z analfabetyzmem, walki o budowę nowej szkoły polskiej na miejsc dawnych niejednorodnych poczyni na ziemiach trzech zaborów. Trzeba było wszystkie siły wyteńczyć na to, by stworzyć jednolite i polskie nauczanie we wszystkich ośrodkach Rzeczypospolitej. Wysiłek ten, poparty nadzwyczajnem oddaniem się i ofiarnością nauczycielstwa, doprowadził do zwycięstwa. Powstała sieć szkolna, ujednolajniono programy, metody i podręczniki. Ze szkolnictwa trójzaborowego utworzono jedno wielkie szkolnictwo polskie. W pracy tej nie najmniejszą zasługę położył ś. p. minister Sławomir Czerwiński. Nie należał On jednak do natur, któreby umiały powiedzieć sobie „dość“, i osądzały tworzywo prac wspólnych powierzone. Zrozumiał On bardzo szybko „pozory“ zwycięstwa w budowie szkolnictwa i stanął w szeregu tych, którzy szukać zaczęli wspólnego ideału i wspólnego ducha w polskiej szkole. W toku bowiem wartkich prac budowlanych, metodycznych zagubiono busołę we wnętrzną. Sprecyzowanie ideału wychowawczego było niejednolite, rwane, chwiejne. Stało się jasnem, że budujemy piękne wspaniałe drogi szkole polskiej, ale nie wiemy dokąd młodzież prowadzić, albo prowadzimy ją często w rozbieżnych i wrogich kierunkach, rzucamy na łup walczących ze sobą ugrupowań społecznych i politycznych.

Wiosną 1929 roku troska o cel naszej drogi stała się coraz widoczniejsza — z niej narodziła się nowa organizacja nauczycielska „Zrąb“, w jej wyniku „Związek Nauczycieli Szkół Powszechnych“ pracować postanowił nad zagadnieniem ideału na swoim kongresie poznańskim (lipiec 1929).

Ś. p. minister Sławomir Czerwiński odczuł te nowe potrzeby szkolnictwa polskiego niezmiernie głęboko. Uznał, że pierwszym dążeniem władz i nauczycieli win-

no być „znalezienie ideału“ dla młodzieży polskiej. Wyrzucił tęsknocie do ideału dał w wielkiej swej mowie poznańskiej, wygłoszonej na zaproszenie „Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych“ i „Związku Zawodowego Nauczycieli Polskich Szkół Średnich“ w dniu 8 lipca, „O ideał wychowawczy szkoły polskiej“. — Uznał w niej, że ideału tego jeszcze niema, ale, że on się właśnie rodzi i tworzy.

W ciągu dwu lat następnych, roku 1929 i 1930, ideał ten narodził się i skryształizował. Jeżeli wnikiemy w głębię myśli, zawartych we wszystkich mowach ś. p. Ministra, wygłoszonych w tym okresie, to przekonamy się jak zwolna, miesiąc po miesiącu, ideał ten wypułkał się i precyzował. Jest nim ideał obywatela państwowca. Powstała wiara, że wychowanie w wolnej Rzeczypospolitej Polskiej musi być wychowaniem obywatelskiem i państwowem. Czyż łatwa mogła być praca ś. p. ministra Sławomira Czerwińskiego od chwili, gdy wstąpił w bój o duszę młodzieży polskiej? — Dopóki walczono o wiedzę młodzieży, o jej umiejętności i sprawności, władze napotykały zrozumienie w społeczeństwie i chęć współpracy, gdy minister Czerwiński wzniósł sztandar walki o ducha, rozpętał przeciw sobie i przeciw idei, którą reprezentował, burzę nienawiści, kłamstwa i oszczerstw. Stał się jak żołnierz na wysuniętej placówce, obok siebie mając tych z pośród współpracowników najbliższych, którzy mu w znalezieniu ideałów towarzyszyli, w krystalizowaniu ich pomogli, lub te grupy nauczycielskie, które razem z Ministrem o pogłębienie prac wychowawczych walczyły, jak „Związek Nauczycielstwa Polskiego“ i „Zrąb“.

Walka jednak była trudna. Trudniejsza może dla ś. p. ministra Czerwińskiego, niż dla wielu innych. Do każdej sprawy, do każdej pracy przystępował On po dokładnem jej przemyśleniu i wewnętrznem szarmonizowaniu. Nie należał do natur łatwo zapalnych, unoszących się wrażeniami chwili, chciał utrzymać powolne, ewolucyjne tempo w przekształcaniu psyche nauczyciela i młodzieży. W mowach swych silny, męski,

dobitny, przecinający wahania ostrzem słów, w stosunku do ludzi był łagodny, miękki, delikatny.

Od lat wielu żywił głębokie, nieprzeciętne, młodzięcze uczucie miłości i kultu dla Marszałka Józefa Piłsudskiego. Jego subtelna, wrażliwa dusza żołnierza-nauczyciela (bo „nauczycielstwo“ to był jego żołnierski odcinek) przeniknęła głęboką wiarą w to, że przyszłość państwa polskiego leży w rękach Jego Twórcy i Odkupiciela.

Cierpiał i bolał nad tem, że młodzież dzisiejsza tego nie rozumie, że walki i nienawiści partyjne odwracają społeczeństwo od zrozumienia, czem jest żyjąca Wielkość i Bohaterstwo. W swoją walkę o nowego ducha w Polsce wplótł więc nierozzerwalnie — walkę o zrozumienie Piłsudskiego i tej idei, której On jest symbolem.

Naturalnie, że napotykał nietylko niezrozumienie, ale ciernie, głogi. Walczono z Nim na arenie parlamentarnej, w prasie i co najgorsze szerząc doń niechęć wśród nauczycieli i młodzieży, którą On tak ukochał. A pod wpływem tych ataków ś. p. minister Czerwiński nietylko nie słabł i nie ustępował, ale stawał się z dnia na dzień silniejszy, bardziej stanowczy i coraz głębszą przeniknięty wiarą, że droga, obrona przez Niego, jest drogą prawdy i zwycięstwa.

Rozpoczął się nowy etap pracy: twórczość, niosąca trud, umęczenie, ale i radość tworzenia. Na nieszczęście przypadł ten okres na czas podwójnego kryzysu: kryzysu gospodarczego i kryzysu szkolnego. Minister Czerwiński ostatnie miesiące swego życia miał przepełnione troską i bólem o los szkół, o to czy istoją się one tej podwójnej fali im zagrażającej. Jedyłą pociechą dlań była wiara w to, że właśnie w chwilach niedostatku i trosk materialnych — światło idei, wiara w nią jest rzeczą najdonioślejszą. Wierzył, że nauczyciel, który rozumie, jak wielką jest sprawa, której służy, łatwiej zniesie niedostatki swej doli, jak żołnierz, który o głośdzie i chłodzie Ojczyźnie służy. I dlatego coraz silniejsza i mocniejsza była Jego radość z tego, że przed ostateczną falą kryzysu zdobył się na „rewolucyjny“ krok

przebudowy systemu pracy. Ten ton pewności, spokoju, harmonji wyraźnie dźwięczy w ostatnich Jego mowach z wiosny 1931 roku.

Gdy głębiej unikniemy w strukturę psychiczną ś. p. ministra, to uderza w niej niebywała prawość, kryształowa czystość i uczciwość, która zmuszała Jego, najwyższego sternika szkoły polskiej, do ciągłej samokontroli i analizowania siebie. Nie był to działacz z jednej bryły, prosty i nieskomplikowany, była to głęboka, wrażliwa, czująca dusza, której największą siłę i potęgę stanowiła miłość: miłość do dzieci, miłość do nauczycieli, miłość do Marszałka Piłsudskiego i miłość do Polski.

Miłość ta łączyła się z zupełnem samoofiarowaniem siebie. Minister Czerwiński pracował niezmordowanie, nie myślał o sobie, o swoim zdrowiu i odpoczynku: popołudnie, wieczór późny, czy święto, gmach ministerstwa pustoszał, lecz w gabinecie Ministra czuwał nieustrudzenie dobry duch Ministerstwa, jego kierownik i opiekun. Wiódł proste, skromne życie nauczyciela — z poborów swych niejednokrotnie przeznaczając pewne sumy dla niezamożnej młodzieży.

Przy głębokiem zrozumieniu, czem jest Państwo Polskie i jak wysoko Jego sztandar musi wznosić On, jako jego reprezentant — uważał się za najniższego Sługę Państwa i Szkoły polskiej, za skromnego jej pracownika.

Chwila, w której odszedł od życia, od bliskich, od szkoły polskiej, którą tak ukochał, w której opuścił ster naczelnej władzy oświatowej, była przełomowa. Tragedzem jej jest to, że od nakreślenia celu miał On przejść do realizacji, miał patrzeć na to, jak Jego myśli, hasła, marzenia oblekają się w kształty. Nie doczekał tego, by widzieć rozpalone światła idei państwowej we wszystkich szkołach, by spojrzeć na przebudowane programy szkoły polskiej, na to, jak pod Jego dłoń odradza się nowa, młoda Polska. Radością w chwili śmierci mogła być dla Niego myśl o tem, że był Żołnierzem, który zwyciężył w wielu walkach: z ludźmi, z samym sobą,

z martwością i tępotą ogółu, z bezwładem konserwatyzmu, z niezrozumieniem i obojętnością. Im trudniejsza i morderczniejsza była walka, która siły i zdrowie szarpała, tem większa była Jego radość ze zwycięstwa — Jego, który poległ na posterunku, jak Żołnierz idei.

*

Organizacja nauczycielska „Zrąb“ była związana węzłami ścisłej przyjaźni ze Zmarłym. Powstała jako wyraz tych samych dążeń ideowych, jakie On reprezentował, powstała na miesiąc przed objęciem przez Niego naczelnej władzy, bo w marcu 1929. W ciągu dwu lat bywał ś. p. minister Sławomir Czerwiński niejednokrotnie Naszym Ukochanym Gościem na uroczystych akademjach i zebraniach. Kwartalnikowi naszemu okazywał szczerą przyjaźń, wyrażał pochwały i życzenia rozwoju.

W kwietniu 1931 zwróciliśmy się do ś. p. ministra Czerwińskiego z prośbą o pozwolenie wydrukowania Zbioru Jego mów, jako pierwszego tomu Biblioteki Nauczycielskiej „Zrębu“. Wyraził najpierw zdziwienie, boleśnie dziś przez nas wspominanemi słowami: „Przecież takie propozycje robi się tym, którzy odchodzą, którzy się kończą, a ja bym jeszcze nie chciał odejść — chciałbym dalej pracować!“ — Te smutne prorocze słowa zadźwięczały nam wtedy, jak zgrzyt, tłumaczyliśmy Ministrowi, jak bardzo potrzeba nauczycielstwu Jego słów i Jego myśli, które są rozproszone po pismach i wydawnictwach. Po wyjaśnieniach naszych zgodził się na naszą prośbę, udzielił rękopisów swoich mów i odpowiednich wyjaśnień. Po paru tygodniach omówił z nami sposób wydania, zaakceptował nam podział mów na grupy, według którego dziś do wydawnictwa przystępujemy. Chory już ciężko, w lipcu porozumiewał się z nami co do szczegółów wydania, pragnął robić ostatnią korektę. Śmierć nieublagana przerwała współpracę „Zrębu“ z Ukochanym Ministrem i z mów Jego przez nas wydanych — uczyniła testament dla nauczycielstwa.

Pierwsza część mów, zatytułowana „O nowy ideał wychowawczy“, jest zgromadzeniem tych wszystkich dokumentów, które w rozwoju chronologicznym ukazują jak krystalizowała się wewnętrzna praca ideowa ś. p. Ministra. Druga część, „Budowa polskiej kultury“, daje nam obraz prac Ministerstwa wewnętrznych i reprezentacyjnych przy fundowaniu nowych placówek kulturalnych. Trzecia „W obronie szkoły i nauczyciela“ to zbiór polemik obronnych. Czwarta poświęcona jest wspomnieniom strajku szkolnego, piąta wreszcie, skierowana do tych, „którzy odeszli“, najboleśniejszą jest może we wspomnieniu dla nas, którzy nie umiemy tak pięknie jak On pożegnać „Tego, który odszedł“. — Zbiór mów nie jest kompletny — umieściliśmy tylko te, na których wydrukowanie otrzymaliśmy Jego pozwolenie, niektóre wygłaszał Zmarły z pamięci, inne z tak ułamkowych notatek, że trudno Mu je było odtworzyć po dłuższym czasie.

Mowy te są czemś więcej niż „mowami“ w konwencjonalnem tego słowa znaczeniu, są odbiciem wielkiej duszy ludzkiej, są jej wyrazem najszczerzym i najgłębszym, są krynicą idei, której Zmarły służył. Gdy je dziś nauczyciel polski bierze do ręki, niechże wie, że to głos z za grobu Tego, który był Wychowawcą, Ministrem, Obywatelem i Polakiem, ale nie martwym wzorem do naśladowania, a żywym, czującym, cierpiącym i walczącym Człowiekiem.

H. Pohoska

PRZEDMOWA DO DRUGIEGO WYDANIA

Minęło trzy lata, w ciągu których książka ś. p. Sławomira Czerwińskiego spełniła niesłuchanie doniosłe zadanie. Czerpały z niej skarby uczuć i myśli szerokie rzesze nauczycielskie, kształciły się na niej pokolenia młodzieży dorastającej. Specjalnie organizacje takie, jak „Zrąb“, „Związek Nauczycielstwa Polskiego“, „Straż Przednia“, w swych pracach ideowych i wychowawczych niejednokrotnie uznawały za podstawę książkę „O nowy ideał wychowawczy“.

Przez te trzy lata zrealizowało się wiele marzeń i planów naszego Zgasłego Ministra i Dostojnego Przyjaciela „Zrębu“. Władze oświatowe przy współpracy nauczycielstwa dokonały szeregu zasadniczych reform i przekształceń w dziedzinie szkolnej i oświatowej. Reforma ustroju szkolnego i reforma szkół akademickich, nowe programy, nowe książki i nowe systemy pracy wychowawczej i dydaktycznej oto poszczególne etapy i fragmenty tej głębokiej przemiany, jaka się dokonała i jaka się w dalszym ciągu dokonywuje wokół nas.

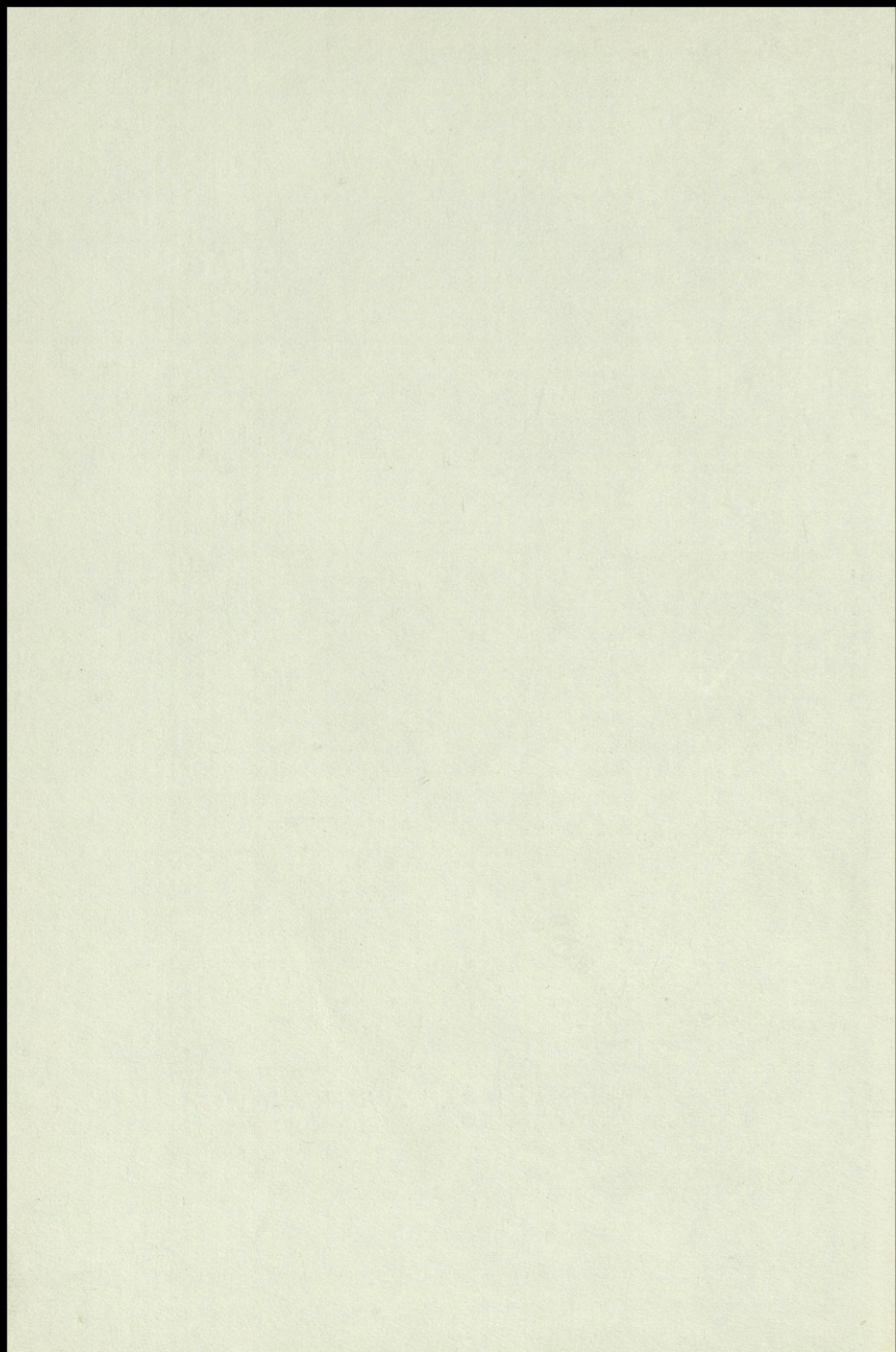
Ile w niej zaczerpnięto z ducha i ideałów ś. p. ministra Sławomira Czerwińskiego, zrozumie każdy, kto w karty tu przedłożone wejrzy i postanowi je odczytać raz jeszcze z powagą i skupieniem. Oto dlaczego „Zrąb“ w pełnem zrozumieniu obywatelskiego obowiązku przekazuje kolegom nauczycielom i młodzieży to drugie wydanie pism, rozszerzone o dwa ustępy z „teki pośmiertnej“.

Jesień 1934.

H. Pohoska

DZIAŁ I

O NOWY IDEAL WYCHOWAWCZY



O STOSUNKU NAUCZYCIELA DO UCZNIA

Przemówienie w radjo w dn. 5 września 1927 r.

Nie wiem, czy już wszyscy nauczyciele polscy przeczytali jedną z ostatnich książek Stefana Żeromskiego, dziełko, które dla szerszej publiczności zostało przeznaczone dopiero w wydaniu pośmiertnem, a zatytułowane: „O Adamie Żeromskim wspomnienie“. Rzewna i rozczulająca to książka. Temat o starej i świetnej tradycji w literaturze naszej, bo występujący już w słynnej pieśni religijnej z XV w. zwanej „Żalami Matki Boskiej pod Krzyżem“, a potem powtarzający się wielokrotnie, i to m. in. w utworach tej miary, co „Treny“ Kochanowskiego lub „Ojciec zadżumionych“ Słowackiego.

Ale nie o walory literackie tej książki chodzi mi w tej chwili. Tutaj chciałbym tylko podkreślić, że przeczytać ją powinni przedewszystkiem wszyscy nauczyciele. Przeczytać i podumać nad nią.

Niestety. Jest w tej książce jedna karta, której nauczyciel polski nie może odczytać bez uczucia głębokiego upokorzenia, powiedzmy wprost — bez palącego rumieńca wstydu.

Wielki pisarz, największy z pośród tych, którzy doczekali przedwiośnia zmartwychwstałej ojczyzny, pisarz, który w całej swojej poprzedniej twórczości złożył wiele dowodów przychylnego stosunku do pracy polskiego nauczyciela, pisarz ten, skoro tylko własne dziecko oddał w ręce tego nauczyciela, nie może już o tem mówić bez żalu i goryczy.

A najboleśniej dla nas, wychowawców polskich, musi być to, że tuż obok Żeromski z najwyższem uznaniem i gorącą rodzicielską wdzięcznością wspomina wychowawców francuskich, którzy początkowo uczyli jego syna.

I na cóż to skarży się ten niepowszedni przedstawiciel koła rodzicielskiego? Cóż zarzuca nauczycielstwu ten troskliwy ojciec, jeden z najinteligentniejszych, jacy wogóle kształcili swoje dzieci w szkole polskiej?

Nie chodzi mu bynajmniej o formalne ani materialne wyniki nauczania. Nie sięga tak daleko. Nie stawia tak wygórowanych wymagań. Chodzi mu o rzecz znacznie elementarniejszą. Chodzi mu poprostu o zewnętrzne objawy kultury duchowej nauczycieli, a zwłaszcza o ich stosunek do uczniów.

Posłuchajmy tego smutnego dla nas porównania! „Na dziedzińcu i w salach liceum Montaigne’a ten przybysz, pisze Żeromski o swym synu, już po tygodniu czuł się, jak w domu... We wszystkim doznał opieki i wskazówki od tych wykształconych i wytwornych ludzi, istotnych pedagogów, nauczycieli reguł myślenia i form obyczajności“.

Tak było we Francji. A w Polsce?... „Po liceum Montaigne’a... gimnazjum krakowskie ukazało się jako przykra niespodzianka... Nauczyciele używali w szkole wyrazów prostackich, nieraz wstrętne haniebných w ustach pedagoga“. (Tu Żeromski przytacza cały szereg soczystych zwrotów, których nie powtarzam, aby ich nie wygłaszać przez radjo).

A dalej pisze: „Nie było tam oczywiście ani cienia współżycia nauczyciela z klasą; żadnej ufności, żadnych — „romansów“. Nauczyciel i „osły“ z klasy, były to dwa wrogie, nienawidzące się obozy, dwie wrogie siły, stojące sobie na zdradzie. Donosy, skargi, szpiegowania, kary, zemsty, ucieczki, podstępny, drwiny i cyniczne traktowanie się nawzajem. Pożalował mały Polaczek swego francuskiego liceum!...“

Zaiste — wstyd, palący wstyd odczuwać musimy my, pedagodzy polscy, na myśl, że oto ta szkoła ojczysta

i to pod boki naszej najstarszej wszechnicy pracująca nie umiała przygarnąć tego powracającego z obczyzny polskiego dziecka, ale zmusiła je tęsknić do szkoły dalekiej i obcej.

I nie próbujemy pocieszać się myślą, że nie była to nasza dzisiejsza „zreformowana” szkoła w Polsce niepodległej, tylko przedwojenna, t. zw. austriacka szkoła galicyjska. Powiadam, nie próbujemy pocieszać się, bo gdy uważnie rozejrzemy się dokoła siebie, czyż będziemy mogli szczerze powiedzieć, że pod tym względem wiele zmieniło się na lepsze? Czyż mogą nas w tym przekonaniu utwierdzić te zastraszająco liczne samobójstwa wśród młodzieży szkolnej? Te zamachy polskich uczniów na życie polskich nauczycieli? Te rewolwery i granaty ręczne na egzaminach maturalnych?

Zaprawdę! Gdy się o tem myśli, to już nietylko wstyd, ale i wielki niepokój ogarniać nas musi, co właściwie warta jest ta cała nasza szarpiąca nerwy i rujnująca zdrowie praca pedagogiczna, jeżeli pomiędzy nami a naszymi uczniami taki zachodzi stosunek.

Bo nie łudźmy się! Stosunek nauczyciela do ucznia i odwrotnie, to wcale nie drugorzędna rzecz w nauczaniu, a zwłaszcza w wychowaniu. Przeciwnie! Wszyscy zgodzić się musimy na to, że właściwy stosunek wychowawcy do wychowanka jest pierwszym warunkiem skuteczności wpływu wychowawczego? Bo to jest przecież droga, którą wychowawca trafia do serca i umysłu wychowanka. A jakże ma trafić, jeżeli po błędnej pójdzie drodze?

Rozumieli i rozumieją to dobrze wszyscy wybitni teoretycy i praktycy wychowania i dlatego zagadnieniu stosunku wychowawcy do wychowanka wiele poświęcali i poświęcają uwagi.

Teoretycznie biorąc, nie jest to bynajmniej zagadnienie proste. Wiąże się ono z poglądem na jakość, na wartość natury ludzkiej i przez to sięga do bardzo podstawowych problemów filozofji. Albowiem inne musi być postępowanie wychowawcy, który zgodnie z nauką św. Augustyna wierzy, że obciążone grzechem pierwo-

rodnym plemię człowiecze żyje w stanie „non posse non peccare“, że nie może ono nie grzeszyć, że jest z natury swej skłonne do złego, inne zaś będzie postępowanie tego wychowawcy, który wraz z Janem Jakóbem Rousseau jest przekonany, że „wszystko jest dobre, co wychodzi z rąk Stwórcy“, że więc i wychowanek jest z natury dobry, tylko że ludzie, a zwłaszcza szkoła go psują.

Nie popełnię chyba niesprawiedliwości, gdy powiem, że bardzo wielu praktykujących dziś w Polsce pedagogów czyni wrażenie, jakgdyby w zapatrywaniach swych na naturę człowieka byli bezporównania bliżsi średniowiecznej filozofii św. Ojców Kościoła, niż radykalnym poglądom nowożytnego myśliciela.

Gdyby bowiem o wartościach duchowych człowieka sądzić na podstawie tego, co myśli o psychice swych uczniów dzisiejszy przeciętny nauczyciel, to należałoby dojść do wniosku, że dusza ludzka jest całkowicie oprowadzana przez dwa złe popędy: popęd do anarchji i popęd do lenistwa.

Olbrzymia część energii tego nauczyciela zużywana jest na walkę z temi dwoma popędami. W tej walce zdziera on swój głos, do tej walki służy mu wszystkie jego groźne miny i gesty, do tej walki przystosowane są wszystkie środki i metody wychowawcze szkoły.

Powiecie, Szanowni Słuchacze, że w tem niema nic dziwnego i że to jest właściwie w porządku, że tak powinien postępować sumienny nauczyciel i sumienna szkoła.

Niestety! Byłoby tak, gdyby dusza ludzka składała się z samych tylko złych popędów. Wówczas sama bezpośrednia walka z niemi wyczerpywałaby zadanie wychowawcy.

Ale na szczęście tak nie jest! Obok pewnych złych skłonności, które być może przechodzą drogą dziedzictwa, obok pewnej rozbieżności pomiędzy pierwotnemi popędami natury ludzkiej a potrzebą przystosowania jej do warunków, jakie wytworzyła cywilizacja, obok — słowem — pewnych wartości ujemnych istnieje w na-

turze człowieka potężna siła dodatnia, siła, która przez trud w pocie czoła, przez czyny odwagi bohaterskiej i bezgranicznego zaparcia się siebie wywiodła człowieka ze stanu zwierzęcego bytowania i postawiła go na tym poziomie kultury, na którym go widzimy obecnie.

Nie mówmy, że wszystko, cokolwiek dobrego i wielkiego ludzkość dotychczas stworzyła, uczyniła z potrzeby materialnej lub zewnętrznego przymusu. Czyż posąg Pallas Ateny na Akropolu zbudowano taki piękny dlatego, że chciano ułatwić okrętom wjazd do Pireusu? Czyż uczony, narażający się na śmierć lub kalectwo przy niebezpiecznych doświadczeniach w swym laboratorium, czyni to dlatego, że za to mu płacą?

Często narzekamy na lenistwo naszych uczniów. Jeżeli nie mówimy o tem ciągle, to tylko dzięki temu, iż brak samorządnego popędu do pracy wśród uczniów uważamy za rzecz tak znaną i naturalną, iż sądzimy, że ani zastanawiać się nad nią, ani o niej mówić nie warto. W zupełności zadowala nas uczeń, który pracuje, ulegając pokornie przymusowi, jaki nań wywieramy. Nauczyciela, któryby budował na naturalnym wewnętrznym pociągu do pracy, do działania, do walki z nastrojącącymi się trudnościami, uważalibyśmy za naiwne-go fantastę, nie umiejącego widzieć rzeczywistości.

A jednak? Czy obserwowaliście uważnie, Szanowni Koledzy, małe 10 — 11-miesięczne dziecko, próbujące stawiać pierwsze kroki w trudnej sztuce chodzenia na własnych nogach? Czy przypominacie sobie grę uczuć na twarzy tego dziecka? Zwątpienie, obawę i walczącą z niemi wielką chęć samodzielnego kroczenia. Ta chęć zwycięża. Dziecko, chwielejąc się, szybko przebiega kilka kroków i pada w wyciągnięte ramiona uszcześliwionej matki. Czy pamiętacie, Koledzy, to radosne zachłyśnięcie się dziecka z rozkoszy pokonania tej jednej z pierwszych wielkich trudności? Czyżby to miała być zapowiedź przyszłego lenistwa?

Albo przypomnijcie sobie, Szanowni Koledzy, wymowę oczu Waszego ucznia, gdy Wam przynosi do pokazania jakiś drobny przedmiot użytkowy z gliny lub

rafji, wykonany samodzielnie przez siebie na lekcji robót ręcznych. Ileż tam zadowolenia i dumy, gdy pochwalicie wykonane arcydzieło! W takiej chwili ileż w tej duszy dziecięcej jest kapitału najlepszej woli i szlachetnej ambicji do produkcyjnej pracy?

Ale ilu jest wśród nas takich, którzy rozumieją znaczenie wychowawcze tego rodzaju momentów i którzy umieją z nich korzystać?

Właśnie na tem polega nieszczęście, że cała nasza pedagogika, że prawie wszystkie nasze środki wychowawcze, stosowane w szkole, są przeznaczone na zwalczanie złego, a nie na rozwijanie dobrego. Mówią, że każdy medal ma dwie strony. Każdy medal zapewne! Ale nie każda pedagogika. Badając metody wychowawcze większości naszych dzisiejszych pedagogów, musimy dojść do przekonania, że może być pedagogika, posiadająca tylko jedną stronę — ujemną.

I stosunek do ucznia także!

Nastawieni na złą stronę duszy uczniowskiej, na jej słabości i wady, lekceważymy sobie jej zalety, nie chcemy ich widzieć albo przynajmniej udajemy, że ich nie widzimy. Tak, udajemy, gdyż w naiwności swoich poglądów psychologicznych pochwałą i uznaniem obawiamy się zepsuć wychowanka. Sądzymy, że wyrośnie on na szlachetnego człowieka, jeżeli w okresie wychowania będziemy go traktowali jak nicponia. Nic fałszywszego od takiego mniemania. Musimy przecież pamiętać, że pedagogika nie rozporządza takimi środkami, jak w medycynie chirurgja, że więc wad duchowych swego wychowanka nie możemy odpiłować ani wyciąć, i że pozostaje nam tylko jeden jedyny na nie sposób: sprawić, by zostały one pokonane i zniszczone przez wzrost dodatnich sił w duszy ucznia. Praca nad rozwojem zalet ucznia powinna stanowić znacznie ważniejszą część oddziaływania wychowawczego, niż mniej lub więcej złośliwe wyklinanie jego wad.

Nawet gdy chodzi o walkę z temi wadami, nie powinniśmy traktować ucznia jako przeciwnika, ale raczej jako sprzymierzeńca w tej walce. Bo zwycięstwo

będzie faktyczne dopiero wówczas, gdy w walce tej nietyle my zwyciężymy, ile zwyciężą dodatnie cechy duszy naszego wychowanka. Nasze osobiste zwycięstwo bez czynnego współudziału wychowanka byłoby zwycięstwem pozornym, a nasze zadowolenie z takiego triumfu — godną pożałowania naiwnością. Wychowanek byłby dobrym dopóty, dopóki bylibyśmy przy nim, pozostawiony sam sobie musiałby ulec złym popędom, niedostatecznie hamowanym przez niedorozwinięte zalety.

Myślę, że z powyższych zasad wynikają jasne wskazania praktyczne, odpowiadające na pytanie, jaki powinien być stosunek nauczyciela do ucznia: w praktyce szkolnej jako najczęściej stosowanym motorem uczniowym ciągle jeszcze posługujemy się strachem. Nauczyciel, przed którym uczniowie drżą, i dziś jeszcze jest uważany w wielu szkołach za typ dobrego nauczyciela-wychowawcy. Tymczasem ci wyłącznie postrachem szermujący pedagodzy, to są właśnie owi pozorni zwycięzcy, o których mówiliśmy przed chwilą. Uczeń nie czyni źle, bo się boi. Gdy ten motyw powściągu ustaje, znikają również i wszystkie pozornie nabyte cnoty. Czyż w życiu spotykamy mało tego rodzaju przykładów? To też rozumny i naprawdę nowoczesny wychowawca nie zadowala się już tem prymitywnem narzędziem oddziaływania wychowawczego. Zdaje on sobie sprawę z tego, że praca jego będzie skuteczną tylko wówczas, gdy zdoła on dotrzeć do zdrowych i produkcyjnych pokładów duszy wychowanka. Ale siłą tam dotrzeć nie można. Aby tam dojść, jedno jest konieczne: korzystny uczuciowy nastrój wychowanka w stosunku do wychowawcy.

Zasada „niech nienawidzą, byleby się obawiali“ z wychowawczego punktu widzenia jest jaskrawym absurdem.

Wszystkie podręczniki pedagogiki nakazują, by wychowawca kochał swych wychowanków. Nie idźmy tak daleko. Przełożmy to żądanie na język praktycznej możliwości, a otrzymamy wówczas zasadniczy warunek skuteczności pracy wychowawczej: **w y c h o w a n e k**

powinien zawsze i we wszystkim odczuwać życzliwość wychowawcy. Gdzie tego warunku nie ma, tam nie może być mowy o głębszym wpływie wychowawczym. Zamknięta i opornie usposobiona dusza wychowanka może się naginać, nawet płaszczyć z obawy przed wychowawcą, ale się nie przetwarza.

Jeżeli kogoś nie przekonywa to rozumowanie, niech posłucha autorytetów. Niech weźmie do ręki dzieła koryfeuszów pedagogiki, a wówczas się przekona, że od czasów Platona, Kwintyljana po dzień dzisiejszy nie było ani jednego wybitnego wychowawcy, któryby lekcewał stosunek uczuciowy ucznia do nauczyciela, któryby nie zalecał nauczycielowi dbałości o pozytywne środki oddziaływania wychowawczego. I niech nikt nie uspokaja swojego sumienia wybiegiem, że żądanie to wysuwają tylko idealiści-teoretycy, którzy nie zetknęli się bezpośrednio z praktycznymi trudnościami pracy wychowawczo-nauczycielskiej. To nieprawda!

W sprawie tej znakomici praktycy zawodu nauczycielskiego są całkowicie zgodni z filozofującymi teoretykami.

Nie był przecież tylko teoretykiem Stanisław Konarski, który w t. zw. „Ustawach wizytacji apostołskiej“ pisze: „Niewyrobeni nauczyciele, w obawie, aby ich młodzież nie lekcewała, przesadzają w surowości, wciąż krytykujący i krzyczący, zrzędni i natarczywi, nie widzą, że przez to właśnie zrażają do siebie umysły młodzieży. Takiego postępowania trzeba się wystrzegać jak trucizny w wychowaniu“.

Również nie był tylko teoretykiem Grzegorz Piramowicz, który w „Powinnościach nauczyciela“ stwierdza wręcz: „Żeby nauczyciel stał się pożytecznym, trzeba mu koniecznie zjednać sobie miłość, zaufanie i poważanie u uczniów swoich“.

Nie będę cytował ani Trentowskiego, ani Dawida, ani wielkich pedagogów obcych, aby się nie narazić na zarzut, że do zbyt górnego sięgam idealizmu. Przytoczę

więc jeszcze tylko zdanie niedawno zmarłego prof. Antoniego Danysza, który całe swoje długie życie strawił na praktycznej działalności wychowawczej, którego więc chyba nikt nie posądzi o nieznajomość realnych warunków pracy nauczycielskiej. Powiada on: „Nauczyciel powinien przypuszczać a priori, że młodzież jest dobra, a ta jego dobra wiara podnosi moralny poziom młodzieży. Nauczyciel niechaj przystępuje do ucznia ze zdrowym optymizmem... Kto się do ucznia zbliża z życzliwością i zaufaniem, ten może liczyć także na te same uczucia ze strony ucznia... A — wychowanie potrzebuje życzliwości, przychylności, miłości i zaufania!”

Widzimy, że zarówno rozumowanie teoretyczne, jak i wieloletnie doświadczenie praktyczne do zgodnego doprowadzają wniosku. Niema zgody tylko pomiędzy rozumnym i utalentowanym wychowawcą, a bezmyślnym zgorzkniałym belfrem.

Gdy mówimy o konieczności życzliwego stosunku nauczyciela do ucznia, trzeba przestrzec przed jednym bardzo szkodliwym, nader niesympatycznym błędem. Do dzieci i młodzieży należy przystępować ze szczerą przyjaźnią, ale bez nienaturalnej czułości, której zdrowo chowana młodzież nie lubi, i która może mieć tylko ujemne skutki wychowawcze. Pragnąc trafić do serca młodzieży, trzymajmy się drogi prostej, gdyż ona i w tym wypadku najpewniej do celu prowadzi. Nie potrzeba i nie należy używać żadnych sztucznych środków. Wystarczy dwa warunki: 1) by uczniowie nasi w każdej chwili, więc nawet wówczas, gdy ich karcimy, odczuwali, że nie opuszcza ich nasza szczerą życzliwość, nasza chęć przyjęcia im z pomocą, i 2) byśmy nie poniewierali ich godnością osobistą, ale przeciwnie, abyśmy z powagą, a niekiedy i subtelną delikatnością uszanowali ten mikrokosmos myśli i uczuć, jakim jest osobowość każdego z naszych uczniów.

Nie bójmy się, że na tem ucierpi nasz autorytet wychowawczy. Autorytet nauczyciela istotnie jest niezbędnym warunkiem skuteczności wpływu wychowawczego, ale do posiadania autorytetu nie dochodzi się drogą,

którą opisuje Żeromski w cytowanym na początku wstępie.

Byłoby pożądane, aby wobec rozpoczętego właśnie roku szkolnego pamiętali o tem wszyscy wychowawcy polscy.

NA DZIEŃ DOBREJ WOLI

Przemówienie w radio w dn. 18 maja 1928 r.

Mili moi słuchacze!

W odezwie, jaką usłyszeliście na początku tej uroczystości, dzieci walijskie wezwały Was, abyście w miarę sił swoich podtrzymywały tych, którzy są przeciwnikami wszelkich wojen.

Czy pójdziecie za tem wezwaniem? Czy zgadzacie się z tem, że załatwianie sporów między narodami przez wzajemne mordowanie się jest rzeczą brzydką, potworną, niegodną takiego rozumnego stworzenia, za jakie uważa się człowiek?

Wiem, że wielu z Was lubi bawić się w wojnę. Wiem, że w marzeniach swych niejeden z Was wyobraża sobie siebie jako znakomitego rycerza, kładącego pokótem całe góry wrogów, albo jako sławnego wodza, niszczącego bezlitośnie wielkie armje nieprzyjacielskie.

Wiem, że nawet ci z pośród Was, ci najstarsi, którzy już doszli do wieku młodzieńczego i ćwiczą się w oddziałach przysposobienia wojskowego, są niesłychanie dumni, gdy z bronią na ramieniu mogą defilować przez ulice miasta i wzrok licznych przechodniów ściągać na siebie jako na groźnych, śmierć niosących bohaterów.

Wszystkim wam wojna wydaje się taką, jaką ją widzicie na kolorowych obrazkach: wzniosłą i piękną, pełną tajemniczego czaru.

Ale tu muszę Wam zrobić przykrość. Muszę Wam powiedzieć, że wojna, ta prawdziwa nasza dzisiejsza

wojna wcale nie jest taka piękna, jaką ją sobie wyobrażacie.

To za dawnych, bardzo dawnych czasów rycerze przed bitwą ubierali się w swe najpiękniejsze błyszczące zbroje i szli do walki wystrojeni jak na jakie wielkie święto.

Dzisiejsze nasze szare żołnierzyki idą do ataku bardzo często śmiertelnie znużeni, zakurzeni po długim marszu, od ustawicznego padania na ziemię niekiedy od stóp do głów unurzani w błocie.

A pomyślcie teraz, ile to nieszczęść, ile niedoli spowodza każda wojna, jakie morze łez tysięcy a nawet milionów matek, ojców, żon, dzieci, sióstr i braci! Dodajcie do tego straty majątkowe, powodowane przez wojnę.

Przecież w czasie wojny nietylko pojedyncze domy, nietylko pojedyncze fabryki, źródła utrzymania dla tysięcy rodzin, ale nawet całe okolice, całe miasta, wzniezione ciężką pracą wielu pokoleń, niekiedy w ciągu paru godzin ulegają zupełnemu zniszczeniu.

Usłyszawszy to wszystko, spytacie może: Jeżeli wojna jest taka zła i szkodliwa, dlaczego robimy tak, jak gdybyśmy przygotowywali się do wojny? Dlaczego utrzymujemy wojsko, dlaczego mówimy, że trzeba to wojsko szanować, a nawet kochać, dlaczego uczą nas, że trzeba czcić i wdzięcznie wspominać naszych wielkich wodzów, którzy świetne nad wrogiem odnosili zwycięstwa? Może w takim razie lepiej nie mieć wojska, może źle robią ci, którzy wojskowo się ćwiczą?

Nie, słuchacze moi mili! Gdybyście tak myśleli, byłobyście w błędzie. Bo, widzicie, wojna może być dwójakiego rodzaju. Może być wojna napastnicza, zaborcza, kiedy jakiś zły naród napada na naród sąsiedni, aby zająć jego ziemię, zniszczyć jego dobro, zawładnąć nim i narzucić mu niewolę. Taka wojna jest nietylko zła; taka wojna jest zbrodnią, o pomstę do nieba wołającą. Ależ może być również wojna obronna, a mianowicie wtedy, gdy jakiś naród, sam będąc napadniętym, broni swej ziemi, swojego dobra i swej niezawisłości. Taka

wojna jest wprawdzie również nieszczęściem, ale jest koniecznością. Możliwości takiej wojny nie może się wyrzec żaden naród, który szanuje swoją godność i który nie chce się stać cudzym niewolnikiem. Do takiej właśnie wojny, do wojny obronnej w czasach dzisiejszych powinien być przygotowany każdy naród, i do tego celu, do celu obrony kraju służyć ma i nasze wojsko, które powinniśmy otaczać szacunkiem i miłością.

Nasz naród nie ma żadnych zamiarów zaborczych, nie pragnie cudzej ziemi i nikomu nie życzy niewoli. Pragnie tylko, aby go pozostawiono w spokoju, aby mu pozwolono pracować dla lepszej przyszłości własnej i całej ludzkości.

To też, Wy, Dzieci Polskie, możecie jak najgoręcej odpowiedzieć na wezwanie dzieci walijskich. Możecie im powiedzieć, że my, Polacy, od wielu, wielu wieków nigdy nie toczyliśmy wojen zaborczych, chociaż niestety zbyt często byliśmy zmuszeni bronić swej ojczyzny przed napadami sąsiadów, że więc i dziś naród nasz nie będzie miecza inaczej, jak tylko we własnej obronie. A jeżeli Was zapytają dzieci walijskie, co czynicie, aby do serc Waszych nie dać przystępu uczuciom pychy, chciwości i nienawiści, tym właśnie uczuciom, które są przyczyną wojen — to im odpowiedzcie, że powtarzacie słowa modlitwy, jakiej Was nauczył wielki nasz poeta, Zygmunt Krasiński, który w imieniu całego narodu modlił się do Boga, mówiąc:

„Błagamy Ciebie: stwórz w nas serce czyste,

Odnów w nas zmysły, z dusz wypłen kąkole

Żłud świętokradzkich — i daj wiekuiste

Śród dóbr Twych dobro — daj nam dobrą wolę!“

Powiedzcie, dzieci polskie, dzieciom walijskim, że w odpowiedzi na ich wezwanie posyłacie im te słowa modlitwy polskiego poety i że pragniecie, aby słowa te Anioł Pokoju na skrzydłach swych białych roznosił do wszystkich narodów tej ziemi, i aby wszędzie, gdzie słowa te dojdą, zanikały kąkole pychy, chciwości i nienawiści, a na ich miejscu wyrastał czarodziejski kwiat dobrej woli.



NA DOROCZNY ZJAZD STOWARZYSZENIA DYREKTORÓW PAŃSTWOWYCH SZKÓŁ ŚREDNICH

w lutym 1929 r.

*Z teki pośmiertnej. Z niewyłoszonych mów ś. p.
ministra Śl. Czerwińskiego.*

Szanowni Państwo!

W imieniu Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego mam zaszczyt powitać ten zjazd i życzyć mu jak najowocniejszych obrad. Przy tej sposobności niech mi będzie wolno wyrazić żywe zadowolenie, że zjazd Stowarzyszenia Dyrektorów Państwowych Szkół Średnich za główny temat swoich obrał sprawę wychowania młodzieży.

Wprawdzie, jeżeli mam być szczerym, to muszę wyznać, że za każdym razem, gdy słyszę, że na jakimś zgromadzeniu mają być roztrząsane zagadnienia t. zw. wychowania młodzieży, nigdy nie mogę się pozbyć obawy, aby dyskusja nie utonęła w pustce słów, z których nie wynikają żadne wskazania praktyczne co do sposobów pedagogicznego oddziaływania na młodzież.

Proszę mi nie brać za złe tej obawy, bo jest ona u mnie niezależną od poziomu dyskusji, jakiego się spodziewam na danym zgromadzeniu.

Przyczyny tej obawy są znacznie głębsze i pochodzą one, jak mi się zdaje, z uświadamiania sobie tego faktu, który zresztą wszyscy czujemy i o którym wszyscy wie-

my, że mianowicie jesteśmy pokoleniem pedagogów, któremu przypadło w udziale żyć i pracować w jednym z przejściowych okresów historii wychowania.

W naszych oczach zachwiały się i w znacznej części runęły niektóre prawdy, które w przekonaniu kilku poprzednich pokoleń pedagogów uchodziły za niewzruszone, a powstające na ich miejsce prawdy nowe nie skryształizowały się i, że tak powiem, nie znormalizowały się jeszcze na tyle, aby na potrzeby naszej codziennej pracy pedagogicznej mogły wystarczyć.

Zachwiała się w nas i w znacznej części runęła dawna herbartowska wiara w niezawodność wychowania całej duszy wychowanka przez kształcenie jego intelektu. Odczuwamy wszyscy potrzebę bezpośredniego podejścia do innych, głębszych pokładów duszy wychowanka, sięgnięcia do jego uczuć i woli, ale tu stajemy najczęściej nieporadni, niedołążni, a czasem wręcz niedorzeczni w swoich chwytach, bez kanonu, bez normy, bez ustalonej metody postępowania.

Z przeszłości, i tej najbliższej i tej dawniejszej, z całych dziejów wychowania pozostało nam sporo niezuzytego, niekiedy wiecznie trwałego materiału w postaci najogólniejszych celów wychowawczych.

Ale materiału tego nie zdołaliśmy jeszcze spoić cementem swoich własnych z naszego dzisiejszego położenia wynikających idei i nie potrafiliśmy z niego stworzyć wykończonej konstrukcji naszego, do naszych przystosowanego warunków, ideału wychowawczego.

I stąd to właśnie pochodzi, że gdy przystępujemy do dyskusji o sprawach wychowania młodzieży, zawsze grozi nam niebezpieczeństwo zgubienia się w niezwiązanych w jeden system poszczególnych celach wychowawczych, a równocześnie grozi nam niebezpieczeństwo drugie, że od tych ogólnych celów wychowawczych nie potrafimy przerzucić transmisji na koła, poruszające naszą codzienną rzeczywistością szkolną, że więc i nasze, wynikające z dyskusji, wnioski, najczęściej piękne i wzniosłe, zawisną w próżni i pozostaną bez wpływu na jakość naszej pracy nad młodzieżą.

Oczywiście popadłby w wielki nie do darowania błąd ten, ktoby z tego, co powiedziałem, wyprowadzał wniosek, że należy założyć ręce i czekać, aż się ustalą nowe idee i zostaną nam podane gotowe metody pracy wychowawczej. Rąk zakładać nie można nietylko dlatego, że życie nie czeka i że młodzież nasza nie czeka, tylko rośnie i w życie spieszy, ale i dlatego, że nowe idee, choćby najgenialniejsze, przyjmą się realnie tylko wówczas, gdy w nas, pedagogach, stojących przy warsztacie pracy, znajdują grunt podatny i przygotowany; podobnie nowe metody pracy, choćby najskuteczniejsze, pozostaną bez żadnej wartości, jeżeli my, pedagogowie praktyczni, nie wyćwiczymy się w ich stosowaniu.

Z tego, że żyjemy w okresie przejściowym, wynikają dla nas dwie możliwości: albo pozostaniemy epigonami przeszłości, zniechęconymi synami końca wieku, albo staniemy się pionierami, dającymi początek nowej lepszej przyszłości.

Mam wrażenie, że porządek dzienny dzisiejszego zjazdu wskazuje, iż Stowarzyszenie Dyrektorów Państwowych Szkół Średnich nie chce zaliczyć wszystkich swoich członków do tej pierwszej kategorii i że nie rezygnuje z tej drugiej możliwości.

Myślę, Szanowni Państwo, że Stowarzyszenie, czyniąc tak, robi dobrze i dlatego bardzo szczerze pragnę, aby dyskusja, jaka się na tym zjeździe potoczy, uniknęła niebezpieczeństw, o których przed chwilą mówiłem i żeby przyniosła prawdziwy pożytek pracy wychowawczej, prowadzonej w państwowych szkołach średnich.

Nie będę brał udziału w tej dyskusji, ale może właśnie dlatego niech mi wolno będzie już teraz wypowiedzieć jedną uwagę, która zresztą nie jest ani moim, ani wogóle nowym wynalazkiem, ale którą pozwolę tu sobie przypomnieć, gdyż sądzę, że powinna ona być zasadniczym tłem bodaj każdej dyskusji, prowadzonej na temat wychowania w dzisiejszej szkole polskiej.

Gdy parę miesięcy temu zjawiała się u mnie delegacja Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dyrektorów i przedstawiła mi szereg postulatów, z jakimi Stowarzyszenie

zwraca się do Ministerstwa, wśród postulatów tych jeden szczególnie zwrócił moją uwagę, gdyż widziałem, czy chciałem w nim widzieć symbol i początek drogi, po której należy dążyć, by dojść do istotnego ulepszenia pracy wychowawczej szkoły. Mianowicie, delegacja prosiła skromnie o wydanie zarządzeń, któreby zmniejszyły ilość czysto administracyjnej, t. zw. urzędniczej pracy dyrektora.

Wiedziałem, że spełnienie tej prośby nie jest łatwe, że dyrektorzy szkół państwowych, jako kierownicy pewnych wyodrębnionych komórek administracji państwowej, już przez to samo są wciągnięci w tę splątaną sieć przepisów uciążliwej procedury i skomplikowanej kontroli, której usunięcie wykracza daleko poza zakres kompetencji jednego Ministerstwa.

Pomimo zdawania sobie sprawy z wielkich w tej sprawie trudności, powiedziałem sobie, że uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby ten postulat w możliwie najszerszym zakresie zaspokoić. Ale powiem szczerze, że tak przejąłem się tym postulatem nie dlatego, by mi chodziło tylko o uwolnienie dyrektorów od załatwiania zbyt wielkiej liczby t. zw. urzędowych kawałków, lub prowadzenia zbyt skomplikowanej rachunkowości. — Powiadam, w postulatcie tym widziałem, względnie chciałem widzieć, zapowiedź hasła, które winno się stać naczelnem hasłem naprawy form wychowawczych, stosowanych w naszych szkołach średnich, zresztą nietylko państwowych. Hasło to brzmi: należy odbiurokratyzować polską szkołę średnią.

Oczywiście hasło to należy pojmować dostatecznie szeroko, gdyż siedzibą biurokratyzmu nie jest wyłącznie kancelaria dyrektora i ośmielę się powiedzieć, że nie dyrektor jest tym, który najdotkliwiej odczuwa jego skutki.

Przedewszystkiem trzeba odbiurokratyzować stosunek nasz do naszych wychowanków. Nigdy nie przestanę przytaczać iście klasycznego przykładu myślenia kategorjami wychowawczego biurokratyzmu, z jakim się nie tak dawno spotkałem. Oto, gdy uczeń wydalony

z klasy VII, czy VIII pewnego gimnazjum, popełnił z tego powodu samobójstwo, dyrektor tej szkoły w wyjaśnieniach, przesłanych władzy, tłumaczy, że szkoła nie ponosi odpowiedzialności za śmierć tego młodzieńca, gdyż wydany uprzednio, w chwili popełniania samobójstwa nie był już uczniem tej szkoły.

Ten nieszczęsny wychowawca zatracił już snąć zdolność myślenia kategorjami wychowawczemi i orjentował się w sytuacjach zapomocą jakichś pieniackich kruczków małomiasteczkowego kauzyperry. Nie przytaczałbym tutaj tego smutnego faktu, gdyż naogół niechętnie sięgam do argumentów z archiwum kroniki skandalicznej, gdyby nie to, że przykład ten zbyt dobrze ilustruje myśl, o którą mi chodzi. Zbyttnio, niestety, przyzwyczailiśmy się patrzeć na postępowanie naszych wychowanków przez pryzmat przez nas ustalonych paragrafów prawa szkolnego, zamiast przez pryzmat żywych sił czynnych w ciele i duszy wychowanka. — Zbyt często zapominamy, że Temida pedagogiki nie może być nigdy z zawiązanemi oczyma. Wybaczcie mi, Szanowni Państwo, zbyt może ostre słowa, ale suchy paragraf szablonowych przepisów w ręku zbiurokratyzowanego wychowawcy przypomina mi miecz nie w ręku sprawiedliwości, ale raczej w ręku szaleńca.

Tematem obrad dzisiejszego zjazdu uczyniliście Szanowni Państwo, współpracę domu i szkoły w dziele wychowania młodzieży. Przypomina mi to potrzebę odbiurokratyzowania również stosunku szkoły do rodziców.

Państwo wszyscy dobrze wiecie, co to są t. zw. wywiadowki. Ale nie wiem, czy kto z Państwa miał sposobność bywania na takich wywiadowkach nie w roli reżysera, ani nawet czynnego aktora, ale w roli niezainteresowanego widza, który, stojąc sobie na boku, obserwuje grę uczuć na twarzach przybyłych na wywiad rodziców. Profesorowie i rodzice to nie są dwie grupy współpracowników, solidarnie pracujących dla wspólnego celu. Te dwie grupy to nawet nie lekarze z jednej strony, a pacjenci z drugiej. Te dwie grupy — to sędziowie i podsądni, to ferujący wyroki i ponoszący karę.

W takich warunkach oczywiście trudno jest myśleć o istotnej współpracy wychowawczej. Koniecznymi warunkami tej współpracy są szczerłość i wzajemne zaufanie.

A taki stosunek rzadko zachodzi pomiędzy sędzią i oskarżonym.

Bardzo byłbym rad, gdyby w dyskusji, jaka się na tym zjeździe potoczy, był położony odpowiedni nacisk na potrzebę właściwego ułożenia się wzajemnych stosunków pomiędzy szkołą a rodzicami uczniów.

Oto są uwagi, które mi się przedewszystkiem nasuwały, gdy czytałem porządek dzienny dzisiejszego zjazdu.

Przepraszam, że wypowiadając się, niejako wyprzedziłem ten porządek, a przemawiając za długo, może dałem zły przykład innym mówcom reprezentacyjnym. W tej niepowściągliwości proszę jednak widzieć dowód zainteresowania się tematem, z czem łączą się najserdeczniejsze życzenia jak najowocniejszych obrad.

O IDEAŁ WYCHOWAWCZY SZKOŁY POLSKIEJ

Przemówienie inauguracyjne, wygłoszone w dn. 8 lipca 1929 r., na Kongresie Pedagogicznym w Poznaniu

Szanowni Państwo!

Zdaję sobie sprawę z tego, że, godząc się na wygłoszenie przemówienia o ideale wychowawczym szkoły polskiej, zdecydowałem się mówić na temat, który w dzisiejszych czasach nie jest ani łatwy, ani wdzięczny.

Ideał wychowawczy, jeżeli ma mieć zarodki powodzenia i cechy trwałości, nie może tak, jak Minerwa z głowy Jowisza, wyskoczyć gotowy w świat, jako rezultat indywidualnej myślowej spekulacji.

Nawet wówczas, gdy jest on wyrazem jakiegoś całego systemu filozoficznego, trwa on tylko tak długo i sięga tak szeroko, jak długo i szeroko panuje nad umysłami dany system filozoficzny.

Ideał wychowawczy jest tem trwalszy, im bardziej wyrasta z podłoża warunków historycznych, potrzeb społecznych i prądów duchowych epoki. Musi on być w harmoniji z tem, do czego społeczeństwo w danym okresie dziejowym dąży, czego potrzebuje i w co wierzy.

Ale równocześnie ideał wychowawczy jest tem powszechniejszy, im w łonie danego społeczeństwa powszechniejsze, im bardziej zgodne czy jednolite są właśnie te wierzenia, potrzeby i aspiracje.

Z tych założeń wychodząc, moglibyśmy dojść do wniosku, że okres dziejowy, który przeżywamy obec-

nie, przynajmniej dotychczas posiada niewiele warunków, sprzyjających skryształizowaniu się powszechnego i trwałego ideału wychowawczego.

Moglibyśmy przypuszczać, że głęboko wstrząśnięte przez wielką wojnę warunki ludzkiego bytowania nie ułożyły się i nie ustaliły jeszcze o tyle, aby być wystarczająco mocną podstawą dla wspólnych celów i dążeń.

Gdy zaś chodzi o same tylko prądy duchowe, to moglibyśmy powiedzieć, że ani bezpośrednio przed wojną nie widzieliśmy, ani nie widzimy obecnie żadnego, któryby posiadał warunki trwalsze i, jeżeli tak można powiedzieć, dostatecznie powszechnego zapanowania nad umysłami.

Możnaby mieć wrażenie, że jesteśmy pokoleniem, skazanem na życie na jakimś końcu epoki, w okresie, kiedy stare prawdy już się przeżyły, a nowe nie narodziły się jeszcze.

Powiadam — możnaby takie mieć wrażenie. Ale któż nas zapewni, że nie jest to wrażenie złudne? Brak perspektywy historycznej sprawia, że zawsze jest najtrudniej postawić słup graniczny dla okresu, w którym samemu się żyje. I dlatego sądzę, że nikt z nas wiedzieć nie może napewno, czy to na schyłku starej epoki, czy też na progu nowej — żyć nam w udziale przypadło.

Ale jeżeli odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa, gdy chodzi o dzieje tak zwanej zachodnio-europejskiej, czy też wogóle zachodniej cywilizacji, — to napewno nie jest ona trudna, gdy chodzi o dzieje wyłącznie naszego narodu.

Dla narodu polskiego wielka wojna jest bez żadnej wątpliwości zamknięciem jednej epoki dziejów i otwarciem innej.

Przejście od stanu niewoli do stanu niepodległości jest w życiu narodu zbyt wielką zmianą, aby to nie pociągnęło za sobą zmian w najważniejszych dziedzinach zbiorowego życia społeczeństwa.

Ale musimy sobie dobrze zdawać sprawę z tego, że wielkość i wartość tych zmian jest zależna przede wszystkim od wartości i — że tak powiem — od du-

chowej wielkości pokolenia, które los na rubieży dwóch epok postawił.

Trzeba przyznać, że zadania tego pokolenia nie są łatwe. Największe trudności są w tem, o czym — jak to zwykle bywa — mówi się najrzadziej. Pokolenie to, pokolenie nasze, jeżeli chce stanąć na wysokości swych zadań, musi się zdobyć na taki wysiłek, aby jakości i wielkości zmian w losach zewnętrznych narodu odpowiadała jakość i wielkość przemiany w życiu wewnętrznym, w psychice, w zbiorowej duszy narodu.

Czy nasze pokolenie na ten wysiłek się zdobędzie?

Czy sprostą zadaniu, jakie postawiła przed niem historia?

Czy zda egzamin dojrzałości przed surowym trybunałem dziejów?

Jeżeli sądzić z dotychczasowych doświadczeń pierwszego dziesięciolecia naszej niepodległości, to na tej maturze wykazujemy nie same tylko celujące postępy.

Zbyt wielu jeszcze z pośród nas, zbyt liczne grupy naszego społeczeństwa swojemi uczuciami, swoim światopoglądem, gatunkiem swego patryotyzmu tkwią jeszcze zbyt głęboko w okresie niewoli.

Nie wszyscyśmy się dość wcześnie obudzili, nie wszyscyśmy się dość wcześnie zorjentowali w tej zasadniczej zmianie położenia, która dokoła nas zaszła.

Zapytajmy, ilu to rutynowanych pedagogów polskich wobec odzyskania niepodległości zadało sobie pytanie, co i jak należy zmienić w celach i środkach wychowania młodzieży, młodzieży, która przecież już nie do walki z narzuconą obcą organizacją państwową, ale do ochrony własnego państwa wychowywaną być powinna.

Zresztą, co tu mówić o poszczególnych pedagogach, kiedy nawet w oficjalnych programach nie zdobyliśmy się na dostateczną dawkę oryginalności, któraby odpowiadała zaszłej w naszych oczach wielkiej dziejowej przemianie i chwyciliśmy się przedewszystkiem tego materiału wychowawczego, który był źródłem odżywczym dla kilku pokoleń walczących w niewoli, ale któ-

ry niekoniecznie jest najodpowiedniejszy dla pokoleń, mających żyć i pracować w wolności!

Stąd też pochodzą te z pozoru dziwne nieporozumienia pomiędzy nami, pokoleniem starszym, a pomiędzy pokoleniem, które wychowujemy w swych szkołach.

Dziwimy się, albo i gniewamy niekiedy, że np. na trylogję Sienkiewicza dzieci nasze nie reagują tak gorąco, tak entuzjastycznie, jak reagowały nasze serca przed trzydziestu czy czterdziestu laty.

Nie zawsze chcemy spostrzec, że to, co w tych powieściach było największym dla nas urokiem, owa tradycja święta własnej mocy i świetności, że to właśnie dla naszych dzieci jest, a śmiem twierdzić, że i być powinno — normalną prozą ich życia.

Ale powróćmy do zagadnienia ideału wychowawczego. Już z tego, co powiedziałem dotychczas, wnosić można, że i z własnym ideałem wychowawczym musi nie być u nas zupełnie dobrze.

Istotnie! Aczkolwiek w Polsce niepodległej dla spraw oświaty i wychowania znajdujemy naogół bardzo dużo jak najlepszej woli, a w sferach pedagogicznych, w szeregach nauczycielskich — nawet entuzjazmu — trzeba sobie jednak postawić pytanie, czy dotychczas nie nazbyt jednostronnie, nie nazbyt wyłącznie kierowaliśmy swoją uwagę na formy zewnętrzne, t. j. na ustrój szkolnictwa, oraz na środki, sposoby i metody nauczania, i czy nie zapomnieliśmy trochę o tem, od czego może należałoby zacząć, t. j. o konieczności postawienia własnego i nowego, bo odpowiadającego naszym zmienionym warunkom, ideału wychowawczego.

Dodam, że w Polsce sprawa skryształizowania się własnego ideału wychowawczego jest pilniejszą, niż gdzie indziej nie tylko ze względu na wielką zmianę w naszym położeniu politycznem, ale i z innych powodów.

Spółeczeństwa o starej i przez cały okres ich życia swobodnie rozwijającej się kulturze posiadają znaczny zasób wspólnych dla większości obywateli pojęć, poglądów i przyzwyczajzeń i wzrastające w tem społeczeństwie młode pokolenie drogą naturalną nabywa tych sa-

mych pojęć i przyzwyczajzeń i nawet bez świadomego współdziałania wychowawców szkolnych wyrasta na odpowiadających potrzebom swego kraju i państwa obywateli.

My jesteśmy w innym zgoła położeniu:

1) w czasach niewoli, wciśnięci w trzy odmienne organizmy państwowe, nie mogliśmy wytworzyć sobie tego wspólnego bogactwa pojęć i przyzwyczajzeń, o którym wspomniałem, a

2) ze znanych powodów jesteśmy zmuszeni chronić duszę naszej młodzieży od niektórych cech starszego pokolenia.

Inne szczęśliwsze społeczeństwa mogą bez większej troski przeżyć okres przełomu między ideałem starym a nowym. One ten ideał mają zawsze w dostatecznym zapasie, aby nim lukę chwilową zapełnić.

My nie jesteśmy tak bogaci, więc i potrzeba nasza jest o wiele pilniejsza.

Ale może w tem miejscu ktoś chciałby mi przerwać i zawołać:

„Dobrze, ale przecież przed chwilą sam Pan powiedział, że ideału wychowawczego nie można wymyślić ani w zbiorowych deliberacjach wykalkulować! Że prawdziwy ideał wychowawczy może się zjawić tylko jako wynik warunków historycznych, jako konsekwencja prądów duchowych epoki. Jakże więc można mieć do nas pretensję, żeśmy go dotychczas nie wymyślili?!“

Za pozwoleniem! Gdy mówię, że ideał wychowawczy musi wyrastać z podłoża warunków, w jakich żyje dane społeczeństwo, to tem samem stwierdzam, że istnieje u nas pilna potrzeba posiadania nowego ideału wychowawczego, bo dawne ideały, jako nieodpowiadające warunkom dzisiejszym, straciły dla nas swą wartość żywotną.

Gdy zaś mówię, że ideał wychowawczy powinien organicznie się wiązać z prądami duchowymi epoki, to z tego jeszcze nie wynika, że może się on zjawić do-

piero po rozpowszechnieniu się takiego czy innego prądu.

Właśnie my, Polacy, na wymownym przykładzie Komisji Edukacji Narodowej mamy niezbity dowód, że nowy ideał wychowawczy zjawić się może już wówczas, gdy nowe idee nie przenikną jeszcze do szerokich mas. Wystarczy, gdy zapłodnią one umysły niewielkiej garści najlepszych w narodzie.

Biorąc to pod uwagę, nie możemy być pewni, czy w tej chwili nie jesteśmy bardzo bliscy skryształizowania się ideału wychowawczego Odrodzonej Polski.

Kto wie, czy wszystkie jego elementy nie są w tej chwili wśród nas tu zebranych i czy jego idea nie unosi się już w tej sali, czekając tylko na odpowiednią chwilę, aby się ujawnić w słowie.

Pierwszem jednak naszym zadaniem powinno być oczyszczenie miejsca dla nowego ideału wychowawczego. Trzeba ze szkół naszych wyżenąć upiory przeszłości w postaci starych, przeżytych ideałów, zwłaszcza tych, które naszymi nie powinny być nigdy, gdyż były zawsze tylko narzuconemi nam ideałami zaborców.

A jednak zazwyczaj niedostrzegalnie dla otoczenia tuła się jeszcze tu i owdzie po naszych szkołach stary carski ideał pokornego poddanego. Poznamy go po tem, że wychowawca nie pozwala uczniowi rozumować i sądzić samodzielnie, że drażni wychowawcę każda podniesiona przez ucznia wątpliwość, a doprowadza do pasji każda próba oporu.

Na szczęście typ ten dość szybko uchodzi w przeszłość, i nie wydaje mi się, by był dziś dla nas jeszcze niebezpieczny.

Natomiast władnie króluje jeszcze w bardzo wielu szkołach naszych tak dobrze nam znany ideał sprawnego a posłusznego biurokraty.

Już co się tyczy biurokratyzowania naszego życia szkolnego, tośmy się okazali szczególnie pojętnymi uczniami. Ale, proszę Państwa, nie sądźmy, że główne zło polega na tem, iż kancelarje szkół są zmuszone prowadzić zbyt obfitą korespondencję i że kierownicy są

za bardzo obarczeni pisaniną papierków. Zbiurokratyzowanie szkół naszych sięgnęło o wiele głębiej, bo sięgnęło do samej istoty wychowania, bo objęło ono i po-
żarło naturalny stosunek wychowawcy do wychowanka. Oddzieliliśmy się od swoich wychowanków murem regulaminów i wszelakich przepisów. Patrzymy na swoich wychowanków przez gęstą siatkę reguł i paragrafów, oceniamy ich nie według zdrowego rozsądku i ojcowskiego serca, ale według wymyślnego kodeksu szkolnego i również według kodeksu często wydaliśmy ze szkoły i łamiemy im życie. Mimo to sumienie nasze jest spokojne, bo postępujemy „według prawa“.

Gdy o tem mówię, to zawsze przychodzi mi na myśl następujący klasyczny przykład z prawdziwego, niestety, i to nie bardzo dawnego zdarzenia. Gdy jeden z wychowanków pewnej szkoły, wydany z niej, odebrał sobie życie, kierownik tego zakładu naukowego nadesłał swej władzy przełożonej wyjaśnienie, że szkoła nie ponosi odpowiedzialności za zmarnowanie młodego życia, ponieważ samobójca w chwili popełnienia rozpaczliwego czynu już był zupełnie formalnie wydany, a więc nie był już uczniem tej szkoły!

Umysł tego nieszczęsnego pedagoga tak już znałogował w ocenie każdego zjawiska przez pryzmat formalnych przepisów, że zatracił zdolność dostrzegania bijącej w oczy i krzyczącej wielkim głosem rzeczywistości.

A pamiętajmy, że nasi wychowankowie bardzo szybko zarażają się od nas duchem biurokracji, i że postępując w ten sposób, wychowujemy pokolenie, które potem w ważnych momentach historycznych pyta nie o to, czy Ojczyzna została zbawiona, tylko o to, czy wybacza postępował zgodnie z przepisami.

Na miejsce tych przeżytych i dziś nam tylko szkodę przynoszących ideałów musimy postawić własne. Nie możemy przecież spokojnie patrzeć na to, że w Polsce każda szkoła, ba, nawet każdy pojedynczy pedagog, zakreśla sobie odmienne cele wychowawcze i konstruuje

sobie własny ideał, albo wogóle o żadnym ideale nie myśli.

Oczywiście, w krótkim okolicznościowym przemówieniu nie będę się kusił o wyczerpujące przedstawienie ideału wychowawczego dzisiejszej szkoły polskiej.

Myślę, że spełnię swoje zadanie na dzisiaj, podkreślając potrzebę posiadania tego ideału i co najwyżej wskazując na pewne jego elementy.

Z bogatego zasobu szczegółów, składających się za zwyczaj na pojęcie ideału wychowawczego, wybieram te, które dotyczą typu psychicznego. Zadaję sobie mianowicie pytanie: który z dwóch znanych zasadniczych typów psychicznych ze szczególną pieczołowitością hodować mamy? Mam tu na myśli te dwa wiecznie pod różnemi zresztą nazwami przeciwstawiane sobie typy, które wymienia między innemi i Claparède w przełożonym niedawno na język polski odczycie p. t. „Szkoła na miarę“. Chodzi tu o typy: pozytywistów z jednej strony i romantyków z drugiej, albo klasyków i romantyków, albo jeszcze praktyków i artystów, albo z podziałem powojennym — na żołnierzy z obowiązku i żołnierzy z zamiłowania, albo wreszcie, co nas tu dzisiaj najbardziej interesuje — podział na „pracowników“ i „bojowników“.

Claparède tak charakteryzuje każdy z tych typów: „pracownicy“ są powolniejsi, chłodniejsi, powściągliwsi, bojaźliwsi, ale za to bardziej dokładni, wytrwali, bardziej świadomi celu, do którego dążą; „bojownicy“ pracują dobrze tylko wówczas, gdy są podnieceni; wtedy są zdolni do znacznego wysiłku, ale ich praca nie trwa długo; są zmienni, działają tylko wybuchowo“.

Proszę Państwa! Ten podział to jest tylko teoria, abstrakcja. A jednak, gdy o nim myślę, to staje mi się jaśniejsze całe mnóstwo ważnych objawów naszej polskiej, ubiegłej i dzisiejszej, rzeczywistości.

Romantyk albo bojownik, albo, jeśli kto woli, żołnierz z zamiłowania — to w czasach niewoli konspirator, powstaniec, rewolucjonista. Odegrał on swoją zaszczytną i zbawienną rolę w dziejach porozbiorowych,

a w chwili wybuchu wielkiej wojny on przedewszystkiem zapełnił szeregi legionów, a w szczególności najbardziej spiskową i rewolucyjną ich część, t. j. Pierwszą Brygadę.

Typ drugi — pozytywista, albo pracownik, żołnierz z obowiązku, był dla pierwszego kulą u nogi w bezpośredniej walce z zaborcą, ale przez swą wytrwałość i upór w pracy walnie przyczynił się do przetrwania czasów niewoli. W czasie wojny szedł do tej armji, do której go powoływał przymus i przeważnie należał do tego obozu politycznego, który przez dłuższy czas był przeciwny czynnej akcji ze strony Polski.

Pierwszy, t. j. typ bojownika, w większej liczbie występował przed wojną, głównie w tej części Polski, w której najwięcej nagromadziło się elementów rewolucyjnych, t. j. pod zaborem rosyjskim, drugi — typ pracownika, zapanował prawie powszechnie w tej dzielnicy, w której walka z zaborcą weszła na teren pracy organicznej, t. j. w b. dzielnicy pruskiej.

Mógłby mi tutaj ktoś zarzucić, że zbyt uogólniam zjawiska i zbyt upraszczam zagadnienia.

Być może! Muszę tu uczynić bardzo mocne zastrzeżenie, że szkicuję sprawę w bardzo grubych zarysach. Przytem pamiętam także o tem, że mówię do kolegów pedagogów, a więc do ludzi obeznanych z głównymi prawdami psychologii. Liczę więc na to, że łaskawi moi słuchacze sami dopowiedzą sobie, iż te dwa zasadnicze typy psychiczne, o których mówię, w konkretnych jednostkach ludzkich bardzo rzadko, albo prawie nigdy nie występują w swojej klasycznej czystości. O typie psychicznym jednostki decyduje nie wyłącznie jedno-rodnych pierwiastków, ale przewaga jednych elementów nad drugimi.

Jeżeli pomimo tego decyduję się na to — przyznaję — nieco ryzykowne uogólnienie, czynię to z tego powodu, ponieważ wiem, że w swej codziennej praktyce szkolnej postępujemy tak, jakgdybyśmy albo o tych zasadniczych różnicach psychicznych nie nie słyszeli, albo jakgdyby prawo do życia miał tylko jeden z tych ty-

pów, mianowicie t. zw. typ „pracownika“. Idziemy chętnie po linii najmniejszego oporu i za jedynie wartościowy typ skłonni jesteśmy uważać ten, który jest dla nas łatwiejszy, bo bojaźliwszy, a więc posłuszniejszy, bo powściągliwszy, a więc mniej sprawiający kłopotu, bo równocześnie dokładniejszy i wytrwalszy w pracy, a więc podatniejszy do wypełnienia zadań, które mu na terenie szkoły narzucamy.

Proszę mi wierzyć, że ta nasza jednostronność jest przyczyną bardzo wielu naszych wychowawczych pomyłek, a niekiedy nawet nad wyraz smutnych tragedj szkolnych.

Jestem również przekonany, że wskutek tej swojej jednostronności złe, bo wręcz szkodliwe, pracujemy dla głównego naszego celu, którym jest wychowanie wolnego obywatela dla wolnego państwa. Przecież, jeżeli nie z innych powodów, to choćby już z tego względu należy pamiętać o wielkich wartościach psychicznych typu „bojownika“.

To przecież jest typ, który nie mógł się zżyć z niewolą, nie mógł znieść niewoli. On w czasach największego ucisku był duchem wolny. I dlatego w nim to przedewszystkiem są te pierwiastki, które dla naszego dzisiejszego zadania są najcenniejsze.

Typ drugi, typ „pracownika“ — z natury rzeczy łatwiej się poddawał ujemnym wpływom niewoli. On przedewszystkiem chciał pracować i za cenę możliwości pracy nieraz paktował, godził się z niewolą. Gdy tamten w stosunku do wroga był nieprzejednany i w dążeniach swych maksymalistyczny, ten niekiedy skłonny był zadowolić się jakąś niby pół-wolnością.

I dlatego rozkładowe czynniki niewoli głębiej przeniknęły do jego duszy i dlatego też dziś typ ten wymaga naszej szczególnej czujności.

Na dwie tylko takie ujemne cechy pozwolę sobie tutaj zwrócić uwagę.

Jednem ze znamion duszy niewolnika jest brak wiary we własne siły; wiążące się z tem słabe poczucie

godności osobistej i równocześnie przesadne pojęcie o znaczeniu i potędze pana.

Proszę Państwa! Gdy sobie przypomnę, co pisano i co czasami jeszcze dziś się pisze w części naszej prasy o tem, komu należy przypisać zasługę zwycięstwa nad bolszewikami w roku 1920, jak się tę zasługę wydzierają genjuszowi polskiemu, aby ją złożyć u stóp genjusza obcego, to nie w tem, że się tak pisze, bo pobudki tak właśnie piszących są zbyt dobrze znane, ale w tem, że takie pisanie jest skwapliwie przyjmowane przez całe odłamy społeczeństwa, — w tem widzę dowód, że stuletnia niewola nie pozostała bez wpływu na jakość duszy polskiej.

Przykład drugi. Inną znów, zresztą podobną cechą duszy niewolniczej jest potulna pokora wobec silnych, a równocześnie buta, czasem nawet okrucieństwo wobec słabszych. Proszę Państwa! Gdy widzę pewne koła naszej młodzieży, padające plackiem przed stołem, na którym silni tego świata spisali Traktat Wersalski, a wkrótce przedtem czy potem widzę te same koła młodzieży butnie bijące szyby w oknach sklepów i mieszkań słabych Żydków poznańskich, to proszę Państwa, jestem głęboko zaniepokojony, bo widzę w tem dowód, że bakcyle chorób duszy niewolniczej dają się przeszczepliać i na młodsze pokolenie Polaków.

Tym bakcyloem każdy dzisiejszy wychowawca polski musi wypowiedzieć nieubłaganą walkę.

Musimy rzetelnie pracować nad rozwinięciem poczucia godności i zdrowej ambicji narodowej.

Byłbym szczęśliwy, gdyby mi kto przedstawił konsekwentnie i racjonalnie pod względem pedagogicznym pomyślany program kształcenia uczuć, wzmagający wiarę we własne siły i rycerskie poczucie własnej godności.

Wysoko sobie cenię w programie ćwiczeń cielesnych nawet elementy walki fizycznej, jeżeli one mogą przyczynić się do usunięcia bojaźliwości i wzmożenia uczucia pewności siebie w chwili niebezpieczeństwa. Liczę na to, że do serca, wychowanego w poczuciu własnej siły i szlachetnie rozumianej godności osobistej Polaka,

nie będą miały dostępu upokarzające pozostałości niewoli, i że naród nasz w całej swej masie poczuje się równowartościowym członkiem w rodzinie wszystkich narodów świata.

Ten wielki nasz cel powinien nas skłonić do poddania rewizji naszego dotychczas najczęściej spotykanego stosunku do trudniejszego pod względem wychowawczym typu „bojownika“. Dodam, że do tej rewizji powinien nas skłonić również i całkiem praktyczny wzgląd na skuteczność naszej pracy wychowawczej.

Albowiem my dziś już wiemy, że dusza dziecka, które rodzice przyprowadzają do szkoły i oddają nam w ręce, nie jest bynajmniej „tabula rasa“! Jeżeli nie jest nią jego umysł, to tem mniej jest nią podłoże jego charakteru, jego typu psychicznego. Dziecko, zanim my, wychowawcy szkolni, nad niem pracować zaczniemy, posiada już takie lub inne elementy typu psychicznego i to najczęściej już i z przewagą jednych nad drugimi.

Co więcej, wiemy dobrze, że niepodobna wypróżnić duszy wychowanka z jednych elementów i napełnić ją innymi. Wiemy, że wychowanie jest czynnością o wiele bardziej skomplikowaną i wymaga innych zupełnie metod, niż proste tylko wylewanie i nalewanie albo obcinanie i przyprawianie.

Wiemy, że chcąc dziecko wychować w pożądanym przez nas kierunku, musimy pod grozą zupełnego niepowodzenia, pod grozą kary, jaką jest praca mozolna a bezużyteczna, nawiązać właśnie do tych pierwiastków, które znajdujemy w duszy wychowanka. O nie trzeba zaczepić, na nie obliczać i z nich rozwijać istotę, jaką mieć pragniemy.

Elementy pożądane mamy ochraniać, zasilać i kształcić, inne — przytłumiać, osłabiać i niszczyć. Na tem właśnie polega nasze zadanie i nasza racja bytu.

Nie będziemy z nią w zgodzie, jeżeli w pracy swej będziemy uznawali tylko ten typ psychiczny, który jest dla nas wygodniejszy.

Czy jednak przez to, co mówię, chcę powiedzieć, że

ideałem naszym powinien być wyłącznie t. zw. typ „bojownika“ ze wszystkimi temi cechami, w które go zaopatruje Claparède?

Gdyby kto tak zrozumiał, źleby zrozumiał.

Zagadnienie, niestety, jest nieco bardziej skomplikowane.

Dotychczas przeze mnie przeważnie krytykowany typ drugi, typ „pracownika“ posiada cechę, której wartość jest niezmiernie wielka: typ ten posiada większą wytrwałość i systematyczność w równej pokojowej pracy.

Proszę Państwa! Gdyby mi kto kazał wymienić dwa najważniejsze zadania dzisiejszej szkoły polskiej, to jako jedno z dwóch wymieniłbym napewno wyrabianie zamięłowania do pracy i uczenie umiejętności pracowania.

Pamiętajmy, że owo tak bardzo sławne powiedzenie Marszałka Piłsudskiego o wyścigu pracy jest chyba najgłębszą prawdą, jaką od czasu wielkiej wojny wypowiedziano w mowie polskiej.

Pamiętajmy, że jeśli chcemy dobrze spełnić swój obowiązek wychowania takiego nowego pokolenia Polaków, któreby dorosło do czekających je obowiązków, to musimy je nauczyć — kochać pracę i umieć pracować.

Niestety! Nie mogę mieć pewności, że nasze dzisiejsze szkoły dobrze to zadanie spełniają. Dotychczas stanowczo za mało zwracaliśmy uwagi na to zagadnienie.

Z braku czasu nie mogę tu wchodzić w osobiście bardzo ciekawe dla mnie rozważania o możliwościach i sposobach kształcenia zamięłowania do pracy.

Odkładam na bok kwestję, czy zamięłowanie do pracy można wyrabiać przez sam tylko przymus, czy, słowem, można je ćwiczyć tak, jak się ćwiczy na przykład siłę mięśni.

Na jedno tylko zwrócę uwagę. Wydaje mi się, że jednym z nieodzownych warunków kształcenia zamięłowania do pracy jest wytwarzanie w duszy ucznia zadowolenia z osiągniętych przez pracę rezultatów. Uczeń musi dostrzegać, że dzięki danej ilości włożonego wy-

siłku posiadał na trwałe dane wiadomości lub daną umiejętność.

Otóż pod tym względem — jak mi się zdaje — szkoły nasze jeszcze bardzo szwankują. Realne i trwałe wyniki w dziedzinie wiedzy czy umiejętności są w szkołach naszych niewspółmiernie małe z ilością wysiłku nauczyciela i ucznia i zupełnie nie odpowiadają wymaganiom obowiązujących, zresztą bardzo wysoko zakreślonych programów.

Może właśnie te zbyt wysoko zakreślone, a w wielu partjach wprost za trudne programy, nie pozwalają naładować ucznia na dostateczne utrwalenie w głowach uczniów przerabianego materiału — są tego przyczyną.

Wskazywałby na to ten dość powszechnie obserwowany objaw, że w uczniach naszych uderza przede wszystkim brak dobrego opanowania rzeczy podstawowych, elementarnych.

Obiecuję sobie, że w najbliższym czasie zbadam dokładniej tę chorobę. Zamierzam mianowicie już w najbliższym roku szkolnym w różnych klasach szeregu szkół powszechnych i średnich zarządzić sprawdzenie, co nasi uczniowie umieją naprawdę.

Wyniki tych badań wykażą może niektóre braki naszych dotychczasowych programów, ale wykażą niewątpliwie i to, o ile solidna i porządna jest praca nauczyciela.

I tu pozwolę sobie na pewne szczere wyznanie.

Z podziwem i głęboką radością patrzę na entuzjazm dla spraw szkolnych w szeregach nauczycielstwa polskiego; z podziwem i głęboką radością obserwuję ten potężny i łamiący wszelkie przeszkody pęd do dalszego kształcenia się.

Ale gdy chodzi o solidność, o — że tak powiem — porządność pracy nauczyciela na terenie szkoły, ja proszę Państwa, nie mogę być o to zupełnie spokojny. Realne wyniki pracy nauczycielskiej i uczniowskiej nie usposabiają do spokoju.

Być może, że za bardzo jesteśmy zaabsorbowani myślami o formalnym ulepszaniu swej pracy. Być

może zbyt wyłącznie koncentrujemy swoją uwagę na teoretycznej wartości naszych programów i metod, a za mało patrzymy na to, jakie są praktyczne rezultaty naszych wysiłków.

Szanowni Państwo! Niech mi tu wolno będzie się odezwać, Szanowne Koleżanki i Szanowni Koledzy! Jesteśmy tu oto na Powszechnej Wystawie Krajowej. Z dumą i radością możemy patrzeć na tak bogate owoce dziesięcioletniej pracy narodu. Zwłaszcza my, pedagodzy, ze szczególną dumą i radością możemy patrzeć na to, czegośmy w ciągu tych lat dziesięciu dokonali na polu oświaty i szkolnictwa! Pomnożyliśmy niepomniernie samą liczbę szkół, szybko podnosimy ich poziom organizacyjny, dokonaliśmy kolosalnej pracy w dziedzinie wydoskonalenia swojego przygotowania fachowego, wprowadziliśmy naprawdę piękne i bardzo nowoczesne metody nauczania.

Ale proszę Państwa! Zróbmy jeszcze jeden wielki wysiłek: podnieśmy dokładność i skuteczność swojej pracy na terenie szkoły.

I niech mi tu nikt nie mówi, że żądam za wiele, że nauczyciel już więcej nie może, bo jeszcze nie jest zniesiona ustawa „sanacyjna“, i jeszcze za mało jest dobrych i dobrze zaopatrzonych lokali szkolnych.

Proszę Państwa! Gdy niedawno temu jednemu z naszych wybitnych finansistów wyjaśniłem, jakie sumy pieniężne należy wydobyć ze społeczeństwa, aby zaspokoić wszystkie potrzeby w zakresie budownictwa szkolnego, ów finansista rozłożył ręce bezradnie i powiedział, że trudno żądać, aby jedno nasze pokolenie zdobyło się na ofiary, które powinno było ponieść kilka poprzednich pokoleń.

Mnie ten argument nie przekonał zupełnie, bo wiem, że my jesteśmy właśnie tem pokoleniem, które powinno pracować i ponosić ofiary za kilka poprzednich. Bo mnie się wydaje, że wyrok dziejów naszemu właśnie pokoleniu dał szczęście oglądania Odrodzonej Ojczyzny nie poto tylko, byśmy w spokoju i normalnej pracy mogli dar ten spożywać. Bo mnie się

wydaje, że nasi ojcowie i dziadowie nie poto ginęli w nierównej walce w leśnych ostępach i nie poto umierali w tajgach sybirskich, by właśnie jednemu naszemu pokoleniu było na świecie wygodnie. Bo mnie się wydaje, proszę Państwa, że nasi bracia rówieśni nie poto rozsiadli swoje kości po wszystkich pobożowiskach Europy i Azji, abyśmy to my tylko, którym się zdarzyło ich przeżyć, plon mieli lepszy.

I dlatego, pomimo iż jestem członkiem Rządu, który dotychczas nie zniósł ustawy sanacyjnej, pomimo że jestem członkiem Rządu, który dotychczas nie znalazł pięciu miliardów na budownictwo szkolne, myślę, że mam prawo moralne nawoływać nauczycielstwo polskie do jeszcze bardziej wytężonej pracy.

Myślę, że mam to prawo, bo, gdy to mówię, to czuję, że mi wtóruje głos kilku pokoleń, że mi wtóruje szum naszych pól i lasów, że mi wtórują kamienie polne, wśród których może tu i owdzie bieleją kości naszych braci.

A szkoły nasze naprawdę wymagają jeszcze intensywniejszej naszej pracy.

Ale oto, proszę Państwa, znów pozornie odbiegłem od tematu i zgubiłem gdzieś po drodze ideał wychowawczy.

Mam go jednak blisko.

Pozwoliłem sobie na tę dygresję w dziedzinę pracy nauczyciela, gdyż jestem przekonany, że bez solidnej i porządnej pracy na terenie szkoły, bez osiągania rzetelnych i trwałych jej wyników nie wykształcimy dla Ojczyzny typu solidnego pracownika.

A o to właśnie chodzi.

Ostatecznie więc, który z dwóch zasadniczych typów psychicznych mamy włączyć do swego ideału wychowawczego?

Na szczęście, nie potrzeba i nie powinniśmy stawiać sprawy tak radykalnie. Jeżeli mamy myśleć o ideale, to musimy pamiętać, że za ideał może być uważany tylko

typ trzeci, a mianowicie taki, który zawiera elementy dodatnie obu poprzednich.

I nie mówmy, że jest to rzecz niemożliwa. Boć prawdziwie wielcy ludzie dochodzą do wielkości właśnie dlatego, że elementy obu rodzajów grają w ich duszach. Ale nie tylko wielcy, t. j. ci najwięksi. Być może, że kiedyś wspomagana przez psychologję historia dokona tej analizy, a wtedy się okaże, że wszyscy ci, którzy naprawdę przyczynili się do odzyskania naszej niepodległości, ci, którzy dziś czuwają nad jej bezpieczeństwem i pracują nad jej utrwaleniem, że wszyscy ci byli to ludzie nieugiętej walki i niezmordowanej pracy.

Taki właśnie typ, typ bojownika i pracownika w jednej osobie — jest potrzebny naszemu Odrodzonemu Państwu, bo potrzebny mu jest typ obywatela, któryby dzielną pracą powszednią, ale w potrzebie i świętym zapałem walki stwierdzał swój czynny, szczery patriotyzm.

Osiągnąć można ten typ przez umiejętny rozwój jednych i drugich elementów, o których tak długo mówiłem.

Możemy być pewni, że zadatki obu rodzajów tych elementów, aczkolwiek nie w jednakowej ilości i sile, znajdziemy jednak prawie w każdym dziecku polskiem.

Oto, proszę Państwa, są myśli, które mi się nasunęły w związku z zadaniem mi zgóry tematem. Jak Państwo widzą, jest jeszcze daleko do jego wyczerpania.

Mówiąc o ideale wychowawczym, nie mówiłem ani o zdawkowej moralności, ani o demokratyzmie, ani o pacyfizmie, ani o innych tego rodzaju pięknych rzeczach, w które zazwyczaj przystraja się grzeczne dziecko, zwane ideałem wychowawczym. Nie czyniłem tego, bo się obawiałem, że mi się dziecko w tych licznych strojach udusi.

Zresztą, zgodnie z tytułem, nie było moim celem dać całkowitego zarysu polskiego ideału wychowawczego.

Będę uważał swoje zadanie za spełnione, jeżeli te luźne uwagi, jakie tu sobie pozwoliłem wypowiedzieć,

popudzą moich szanownych słuchaczy do myślenia o potrzebnym naszej szkole ideale wychowawczym.

Proszę mi także wybaczyć i dygresję, których w tem przemówieniu nie starałem się uniknąć. Widząc przed sobą tak liczny zastęp pracowników szkoły polskiej, nie mogłem się powstrzymać od poruszenia zagadnień, które dla tej szkoły uważam za szczególnie w chwili obecnej aktualne.

Wyda mi się zresztą, że niepodobna ich pomijać wówczas, gdy mówimy o głównym celu naszej pracy szkolnej — o wychowaniu nowego człowieka dla nowej Polski.

KONSTYTUCJA A WYCHOWANIE PUBLICZNE

Odczyt, wygłoszony w Wilnie, w dn. 28 listopada 1929 r.

Szanowni Państwo! Nadając swemu przemówieniu tytuł „Konstytucja państwa a wychowanie publiczne“, nie miałem na myśli tylko tych nielicznych artykułów ustawy konstytucyjnej, które bezpośrednio zawierają pewne zasadnicze normy urządzenia wychowania publicznego w państwie.

Politycy i mężowie stanu pierwszych lat Polski Odrodzonej wykazali naogół dość małe zainteresowanie dla zagadnień wychowania młodych pokoleń, czym — nawiasem mówiąc — różnią się bardzo od swoich poprzedników z czasów Polski przedrozbiorowej, a zwłaszcza Polski upadającej, którzy, jak wiadomo, sprawę edukacji narodowej wysunęli na czoło problemów państwowych i usiłowali uczynić z niej jeden z głównych środków ratowania konającej Rzeczypospolitej.

Jeżeli pomimo to konstytucja z dn. 17 marca całym swoim ciężarem zaważyła i na losach wychowania publicznego, jeżeli wytworzyła pewne zasadnicze warunki, w których to wychowanie w Polsce się odbywa, to przyczyną tego zjawiska są głównie nie te artykuły ustawy konstytucyjnej, w których o wychowaniu czy nauczaniu jest mowa, ale te, które treścią swoją pozornie jak najdalej odbiegają od wszelkich zagadnień wychowawczych.

Wychowanie publiczne jest ważną funkcją państwa,

regulowaną i wykonywaną w głównej mierze przez organa państwowe.

Ustosunkowanie więc wzajemne i zakres kompetencyj tych organów, a przedewszystkiem legislatywy i egzekutywy określa zasadniczo warunki, w jakich wychowanie publiczne się odbywa.

Naczelny kierownik wychowania publicznego w państwie jest członkiem rządu, i od tego, w jakich warunkach pracuje rząd, zależą warunki, w jakich funkcjonuje naczelna władza wychowania publicznego.

Zanim przejdziemy do odpowiedzi na pytanie, jaki stan rzeczy jest pod tym względem młodemu państwu polskiemu potrzebny, zastanówmy się przez chwilę nad jednym przynajmniej celem, do którego zmierzać powinno wychowanie publiczne w Polsce, celem, który zwłaszcza w Polsce dzisiejszej wydaje mi się najważniejszym, a równocześnie najogólniejszym, ale, niestety, i najtrudniejszym.

Tym głównym celem — a chciałbym wierzyć, że w sprawie tej w społeczeństwie naszym nie może być dwóch zdań — powinno być wychowanie dobrych obywateli państwa.

Nazywam ten cel najogólniejszym, bo zawiera on w sobie wszystkie inne cele bardziej szczegółowe, jak wychowanie dobrego syna narodu, człowieka moralnego w znaczeniu etyki jednostkowej i społecznej, o silnym charakterze i t. d. i t. d.

Cel ten trzeba uważać za najogólniejszy i w tem znaczeniu, że można i należy go postawić, jako cel wychowania wszystkich przyszłych obywateli państwa bez względu na ich narodowość i wyznanie.

Nie możemy i nie chcemy wymagać od szkół i innych instytucyj wychowawczych w Polsce, aby Niemców lub Ukraińców wychowywały na Polaków, albo ewangelików i prawosławnych na katolików, ale mamy prawo i obowiązek żądać zupełnie kategorycznie, stanowczo i konsekwentnie, aby wszystkie formy i wszystkie czynniki wychowania publicznego, na obszarze naszego państwa działające, w zgodnym trudzie pracowały nad założe-

niem w sercach dziatwy i młodzieży mocnej podwaliny pod rozkwit i potęgę Rzeczypospolitej.

Cel, o którym mówię, nazwałem najważniejszym, bo chodzi przy nim o zachowanie najcenniejszego dobra, które tak niedawno odzyskaliśmy, a którego utrzymania bez ciągłej troski i czujności z naszej strony nikt nam zapewnić nie może.

Wszystkie czynniki, od których istotnie zależy poziom i kierunek wychowania publicznego w Polsce, mogą się narazić na ciężką odpowiedzialność przed trybunałem dziejów, jeżeli nie uczynią wszystkiego, co jest w ich mocy, aby całe to wychowanie było nastawione na najważniejszy cel — utrwalenia i rozwoju sił żywotnych Rzeczypospolitej.

Cel wychowania dobrych obywateli państwa nazwałem wreszcie celem najtrudniejszym, bo aby go osiągnąć, trzeba docierać do głębszych pokładów duszy wychowanka, co więcej — trzeba zmienić, przetworzyć psychikę zbiorową olbrzymich mas obywateli.

Cel ten jest nieskończenie trudniejszy do osiągnięcia w Polsce, niż gdzie indziej, bo wskutek wiekowej przerw w życiu państwowem nasze tradycje państwowe są raczej natury intelektualnej, niż emocjonalnej.

Wskutek tego, że przez szereg pokoleń byliśmy zmuszeni bronić swego bytu narodowego bez pomocy państwa przeciw obcym potencjom państwowym, w dzisiejszem naszym pokoleniu pojęcia dobra narodu i państwa tak dalece nie zidentyfikowały się jeszcze, że u nas, jak smutne doświadczenie wskazuje, w imię hasła narodowych są możliwe nawet zbrodnie przeciw majestatowi państwa.

A cóż dopiero, gdy ogarniemy myślą nasze mniejszości narodowe, wśród których praca państwowotwórcza zaledwie gdzie niegdzie się rozpoczyna i gdzie jest jeszcze tak dużo czynników, nie posiadających nawet najelementarniejszej lojalności państwowej.

A jednak to wielkie i trudne zadanie musi być wykonane. Pod grozą utraty niepodległości państwa wychowanie publiczne w Polsce musi być tak prowadzone,

żeby każdy Polak, zanim zostanie członkiem stronnictwa politycznego, był przedewszystkiem państwowcem. Pod grozą nieosiągnięcia nigdy trwałego mocarstwowego stanowiska Polski wychowanie publiczne musi być tak prowadzone, aby każdy w Polsce urodzony i w Polsce żyjący Ukrainiec, Żyd, czy Niemiec, zanim zostanie świadomym pracownikiem na polu kultury swojego ściślejszego społeczeństwa, czuł i rozumiał, że ma być przedewszystkiem dobrym obywatelem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Ale jeżeli zgodzimy się na to, że głównym celem wychowania publicznego w Polsce powinno być wychowanie dobrych obywateli państwa, musimy przyjąć i to, że ten, kto wychowanie ma ku temu celowi prowadzić, musi wiedzieć, jakim ma być ten obywatel państwa, musi mieć jakieś idealne tego obywatela wyobrażenie, musi mieć jakiś swój ideał wychowawczy.

W tem miejscu swoich rozważań możemy już sobie postawić pytanie, w czyje ręce i na jakich warunkach, t. j. z jakim zakresem kompetencji, ma być oddane wychowanie publiczne w Polsce.

Z czterech czynników, mogących tu teoretycznie wchodzić w grę, t. j. społeczeństwa, samorządu, rządu i parlamentu, odrazu możemy odsunąć z pierwszego planu dwa pierwsze, nie dlatego, aby one nie miały brać żadnego udziału w pracy nad wychowaniem publicznem, ale dlatego, że w naszych polskich stosunkach rola społeczeństwa i samorządu może być w tej dziedzinie tylko wtórna i pomocnicza.

Wprawdzie roli tej nie należy sobie nigdy lekceważyć. Przeciwnie, wydaje mi się, że w stosunku do stanu obecnego należy ją znacznie rozszerzyć. Uważam, że należy przebudować i rozbudować samorząd szkolny, związać go ściślej z samorządem terytorjalnym, a w pewnych działach szkolnictwa również i z samorządem gospodarczym.

Uważam, że byłoby wielkim błędem odgradzenie administracji szkolnej murem chińskim od społeczeństwa

i zrezygnowanie z opinii i współpracy zainteresowanych czynników społecznych.

Aby niekorzystny pod tym względem stan dzisiejszy zmienić, osobiście noszę się nawet z myślą powołania do życia instytucji, o której oddawna się mówi, t. j. naczelnej rady wychowania publicznego.

Wszystko to nie zmienia jednak faktu, że czynniki nie pomocnicze, ale decydujące w sprawach wychowania publicznego w Polsce mogą być tylko dwa: parlament i rząd.

Rozkład kompetencji i obowiązków każdego z tych dwóch czynników nasuwa się sam według teoretycznego szablonu: parlament daje normy ogólne, wskazuje kierunek i uchwala środki realizacji w postaci kredytów budżetowych, rząd zaś, jako władza wykonawcza, prowadzi pracę w ramach obowiązujących ustaw. Szablon bardzo piękny, tylko, niestety, zupełnie nie daje on nam odpowiedzi na najbardziej interesujące nas tu pytanie, w jakiej mierze parlament ma być tem źródłem, z którego mają płynąć pozytywne wskazówki co do kierunku wychowania publicznego. Doświadczenie poucza, że odpowiedzi na to pytanie nie dają i uchwalane przez parlament ustawy. Musimy więc sobie odpowiedzieć sami.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że wskazanie kierunku wychowania jest niemożliwe bez posiadania pewnego własnego ideału wychowawczego. Wiele jestem gotów dać temu, kto mi powie, jaki jest ideał wychowawczy polskich ciał ustawodawczych. Niestety polega na tem, że jest tam tych ideałów za dużo, że jeżeli jest ich tam mniej, niż panów posłów i senatorów razem wziętych, to napewno więcej, niż klubów, których — jak wiadomo — jest tam poddostatkiem.

Różnice w pojmowaniu ideału wychowawczego są naturalną konsekwencją różnicy światopoglądów, i nikt osobiście nie jest winien temu, iż ideał wychowawczy przedstawiciela prawicy parlamentarnej jest odwrotnością ideału przedstawiciela lewicy.

Za długo i niepotrzebnie byłoby o tem mówić, dla-

czego tak jest, i jak daleko ideał wychowawczy np. zakonu Jezuitów odbiega od ideału wychowawczego Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego.

Dla naszych potrzeb wystarczy stwierdzenie, że dziś i w dającej się przewidzieć przyszłości nasz parlament nie może mieć wspólnego ideału wychowawczego, a co za tem idzie, nie może być czynnikiem decydującym o kierunku wychowania publicznego, ani dać rzeczowych pozytywnych wskazówek w sprawie zasad i treści tego wychowania.

Poczucie słuszności każe przyznać, że sejm nasz widocznie zdaje sobie z tego sprawę, bo, o ile mi wiadomo, dotychczas sobie tych kompetencji nie erogował.

Ale jeżeli zdaje sobie z tego sprawę, jeżeli się godzi, że nikt inny w państwie, tylko rząd może zbudować całkowity i konsekwentny system wychowania państwowego, to znaczy przez państwo dla państwa, to powinien dać rządowi takie warunki pracy, aby mu wykonanie tego zadania umożliwić. A sejm rządowi nigdy tych warunków nie dał i dziś dać nie chce, i w tem jego wina.

Aby zdać sobie sprawę z tego, jakimi cechami obdarzony rząd i w jakich warunkach pracy może to — zdaniem mojem — podstawowe zadanie państwowe pełnić, odwróćmy pytanie i powiedzmy, jaki rząd i w jakich warunkach nigdy tego zadania wykonać nie zdoła.

Odpowiedź na to pytanie będzie o tyle nietrudna, że pod tym względem aż nadto wystarczającą naukę daje nam tak świeża jeszcze historia pierwszego dziesięciolecia Odrodzonej Ojczyzny.

Szanowni Państwo! Gdy zostałem powołany na urząd, który w tej chwili mam zaszczyt sprawować, życzliwe mi osoby pośpieszyły mi przypomnieć, że jestem już dwudziestym z rzędu ministrem oświaty Polski niepodległej. Te życzliwe mi osoby niewątpliwie chciały mi w ten sposób dodać otuchy, abym się tą nominacją zbyt nie przejmował, bo i tak niedługo będzie tego zachodu.

Pamiętam wszystkich swoich poprzedników. Mieni się

przede mną wszystkimi kolorami tęczy cała szeroka skala ich światopoglądów. Od socjalizmu do nacjonalizmu. Niewątpliwie byli wśród nich tacy, którzy mieli szlachetną ambicję stworzenia celowo pomyślanego i konsekwentnie zbudowanego systemu wychowania państwowego.

Ale o próbach realizacji przed majem 1926 r., mam wrażenie, że poważnie nie myślał żaden z ministrów. I trzeba przyznać, że dobrze czynili. Bo cóżby to było za widowisko, gdyby przeciętnie co 5 miesięcy w dziedzinie tak subtelnej i tak wymagającej stabilizacji trzeba było przedstawiać drogowskazy i zmieniać kierunek. A zresztą każdy z tych ministrów, jeżeli chciał liczyć się z sejmem albo jeżeli chciał być wobec sejmu poprostu lojalnym, musiał widzieć całą beznadziejność swoich zamierzeń, które przecież nie mogły być takie, aby dogadzały wszystkim. I sprawa leżała odłogiem, zresztą wraz z wieloma innymi, wymagającymi uregulowania od podstaw.

Dopiero od drugiej połowy 1926 r. poczęły chodzić po ministerstwie podmuchy nadziei, poczęto wyciągać z archiwów leżące tam od r. 1918 projekty ustaw zasadniczych, a stopniowo i omawiana tu przez nas sprawa nabrała aktualności.

P. premier Świtalski w swoim odczycie w gmachu Filharmonji Warszawskiej zwrócił uwagę na to, że słabość i nietrwałość rządów wzmacnia i podnosi znaczenie biurokracji.

Ta wielka prawda znajduje swoje wymowne potwierdzenie w dziejach młodej polskiej administracji szkolnej.

Istotnie, jeżeli ministrowie oświaty mogli zrobić tak mało i jeżeli pomimo to w zakresie i organizacji wychowania publicznego wogóle zrobiono w Polsce dotychczas sporo, to należy to zawdzięczać tej okoliczności, że wśród urzędników ministerstwa i podwładnych mu organów znalazło się dość ludzi, którzy za cel swego życia uważali pracę nad postępowaniem oświaty w Polsce i wkładali w tę pracę całą swoją inicjatywę i energję.

Pamiętam, jak po każdym upadku ministra, pociesza-
liśmy się słowami: „Nic to, niema ministra, ale jest
ministerstwo“.

Tylko, że tą pociechą na dłuższą metę pocieszać się
nie można. Bo przy takim chronicznem bezkrólewiu
występuje w szeregach t. zw. biurokracji pewne zjawis-
ko wtórne, którego następstwa już bardzo wyraźnie
szkodzą życiu publicznemu, wyjąławiają urzędy i urzęd-
ników i poważnie zagrażają interesom państwa.

Oto biurokracja, nie mogąc się nigdy doczekać roz-
strzygnięć w sprawach zasadniczych, które przekraczają
już zakres jej kompetencji, powoli od tych podstawo-
wych zagadnień odchodzi i skupia swe zainteresowanie
na sprawach coraz bardziej formalnych i coraz drob-
niejszych. Przyzwyczajają się postępować bez kierowni-
ka, a więc i bez kierunku. Czyż można się dziwić, że
wkońcu poczyną dreptać na miejscu?

Byłbym wysoce niesprawiedliwy, gdybym twierdził,
że polska administracja szkolna doszła już do tego
stadium rezygnacji.

Ale ten kilkoletni brak zasadniczych dla celów i tre-
ści wychowania państwowego rozstrzygnięć wydał już
pewne swoiste rezultaty. Jednym z nich jest dający się
zauważyć i w administracji szkolnej, i w szerokich ko-
łach pedagogów brak chęci przystosowywania celów wy-
chowawczych do warunków, w jakich nas postawiła
obecna chwila dziejowa, do oczywistych dzisiejszych
i jutrzejszych potrzeb naszego państwa.

Jeżeli np. weźmiemy do ręki wydawane przez mini-
sterstwo programy nauczania, zobaczymy, że wskazany
przy każdym z przedmiotów cel pracy szkolnej jest
ujęty w formuły tak ogólne, tak pozbawiony jakiegokol-
wiek aktualności w stosunku do potrzeb naszego dzi-
siejszego życia zbiorowego, iż może być podany każde-
mu społeczeństwu, pod każdą szerokością geograficzną,
a bodajże nawet w każdej epoce historycznej.

Ta sama niechęć do aktualności sprawia, że skądinąd
bardzo słuszne hasło o niewprowadzaniu polityki do
szkoły w poglądach niektórych naszych pedagogów jest

rozumiane jako konieczność wyrzeczenia się zapoznawania uczniów z wypadkami historycznymi ostatnich lat kilkunastu. Mówienie o Legionach Piłsudskiego, to polityka, wyjaśnianie, jaki powinien być stosunek Polaków do mniejszości narodowych w państwie, to polityka, mówienie o Naczelnym Wodzu w wojnie 1920 r., to oczywiście jaskrawa polityka.

Gdyby się chciało ściśle przeprowadzić tę tak pojętą zasadę niewprowadzania polityki do szkoły, należałoby historję Polski kończyć na r. 1913, a na pytanie dzieci, skąd się wzięło dzisiejsze państwo polskie, odpowiadać wstydliwie, że bocian je przyniósł.

Szanowni Państwo! Trzeba, żebym był dobrze rozumiany. Uważam, że zbrodnię popełnia ten wychowawca, który w młode i niezatrute serce swego wychowanka wszczepia jad politycznego partyjnictwa. Ale co innego jest wprowadzanie do szkoły miazmatów partyjnej walki politycznej, a co innego obowiązek szkoły zorjentowania wychowanka w zjawiskach życia społecznego i politycznego jego kraju i wszczepienia w jego umysł pojęć, a w jego serce uczuć takich, które go uzdolnią i uzbroją na ofiarny, święty trud dla własnego państwa.

Obejrzujmy się na to, że nasi sąsiedzi ze wschodu i zachodu dobrze pamiętają o tej sprawie. Bolszewicy w szkołach swoich aż do absurdu posunęli wychowanie w ideałach komunistycznych i w uwielbieniu Republiki Sowieckiej, w Niemczech powojennych wprowadzono, lub niesłychanie rozszerzono zakres nauki o państwie, przy której poleca się zapoznawać z programami istniejących partij politycznych, dyskutować z uczniami o kryzysie demokracji, upadku parlamentaryzmu i t. d. My uważamy, że naszym uczniom wystarczą logarytmy i accusativus cum infinitivo. Nawet z wprowadzonej do programów szkół naszych nauki o Polsce współczesnej potrafilismy zrobić drewnianą piłę suchych liczb statystycznych, wypuszczając z niej wszystkie żywotne soki nauki obywatelstwa.

Czyżby naprawdę miało aż tak być źle, czyż nie można mieć tyle zaufania do polskiego nauczyciela, aby

wierzyć, że wobec dziecka polskiego potrafi stanąć na stanowisku wychowawcy, a nie hieny partyjnej? Jestem najgłębiej przekonany, że to zaufanie mieć można, tylko trzeba nauczyciela wyciągnąć z obłądnego wiru partyjnego tańca i postawić mu przed oczy ideę państwa, a nie interes koterji politycznej.

Ale dopóki będzie działała nasza konstytucja marco-wa, nie powstanie dostatecznie trwała instancja, która tej przemiany dokonać będzie mogła.

Skutki tego wyeliminowania z naszych szkół pier-wiastka społeczno-państwowego nie dały na siebie długo czekać.

Zapewne niejedna i niejeden z Was staje zdumiony, patrząc na najbardziej rzucający się dzisiaj w oczy typ młodzieńca polskiego, wychowanego już w gimnazjum Polski niepodległej i wstępującego do szkoły wyższej. Widziałem osoby, które patrząc na te jaskrawe „dekle“ i „bandy“, albo czytając czy słysząc o zdarzających się coraz częściej na naszych wszechnicach „krawalach“ niemieckich — pytały z przerażeniem: Jakże to? Więc poto trzeba było odzyskania niepodległości, poto trzeba było spolszczenia szkolnictwa, na całym obszarze ziem naszych, aby wzorem dla polskiego studenta stał się bursz niemiecki?

Ale proszę Szanownych Państwa, nie należy oskarżać o to młodzieży. Nie należy również zbyt wierzyc tym, którzy dzisiejszej młodzieży zarzucają zmaterjali-zowanie, brak ideałów i t. p. grzechy.

Zapewne, młodzież ta ma nieco inny, niż my mieli-smy, stosunek do życia i jego spraw, ale to jest prze-cież naturalny porządek rzeczy, i w tem niema nic dziwnego. Jestem przekonany, że ta pomawiana o brak ideałów młodzież w chwili grożącego Polsce niebezpie-czeństwa bez wahania zamieniłaby owe barwne „dekle“ na szare rogatywki i poszłaby złożyć swoje młode ży-cie na ołtarzu ojczyzny tak samo, jak szła młodzież nasza w czasie walk o niepodległość państwa i o jego granice.

Więc nie o brak ideałów tu chodzi i nie o obojęt-

ność wobec niebezpieczeństwa, któreby groziło ojczyźnie, tylko o to, aby ta młodzież wiedziała, gdzie to niebezpieczeństwo naprawdę jest, i jak z niem walczyć należy. A tego jej właśnie w szkole nie powiedziano, bo byłyby to „polityka“.

Wszyscy doskonale pamiętamy, jak w czasach niewoli młodzież polska poza szkołą oficjalną stworzyła sobie drugą szkołę w postaci t. zw. kółek i różnych organizacji ideowych. Ta druga szkoła była właśnie szkołą życia obywatelskiego. Dzięki niej młodzież nasza owych czasów wstępowała w to życie tak dobrze umysłowo i uczuciowo do niego przygotowana, jak chyba żadna inna młodzież na świecie. Wówczas „burszenszafty“ niemieckie nie mogły nam doprawdy niczem imponować.

Dziś w ojczyźnie niepodległej nie powinniśmy żądać od młodzieży, aby stwarzała sobie taką poboczną szkołę, którą my przechodziliśmy. Ale za to wszystkie młodzieży w tej dziedzinie potrzeby powinna, i to znacznie lepiej, zaspokoić ta pierwsza, polska przecież i państwowa lub dla państwa i narodu pracująca szkoła.

Tymczasem wskutek owego hasła o niewprowadzaniu rzekomej „polityki“ do szkoły młodzież nasza nie otrzymuje w szkole prawie żadnego solidniejszego przygotowania do oceny tych zjawisk życia społecznego i politycznego, przed którymi po wyjściu ze szkoły staje i na które naprawdę reagować.

Czyż można się dziwić, że znaczna część tej młodzieży rozumuje w tych sprawach kategoriami wulgarnie prostymi i że reaguje w sposób najprymitywniejszy, jaki można sobie wyobrazić? Czyż można się dziwić, że do pojęć części tej młodzieży najłatwiej przemawia zoologiczny nacjonalizm, owa jedna z najniższych, ale i jedna z najprostszych reakcyj społecznych człowieka? Czyż można się dziwić, że młodzież ta nie rozumie, iż dla rozwiązania kwestji żydowskiej w Polsce ojczyzna wymaga od tej młodzieży innego rodzaju wysiłku, niż fizycznej przewagi nad pilnie się uczącą studenterką żydowską?

Patrząc na te nieprawdopodobne nastroje wśród czę-

ści naszej młodzieży akademickiej, niektórzy politycy prawicowi widzą w tem renesans nacjonalizmu i już naprzód śpiewają hymny triumfalne, wierząc, że przyszość do nich należy.

Przyszłość? Ja tę przyszłość widzę inaczej.

Ja nie zapominam, że w tym samym czasie, gdy wśród młodzieży naszych szkół akademickich próbuje święcić triumfy nacjonalizm, w tym samym czasie na szerokich obszarach Polski, w cieniu kominów fabrycznych i szybów górniczych, w cieniu sadów wiosek naszych rośnie także nowe pokolenie polskie.

Co będzie, gdy dwie warstwy jednego pokolenia, ta ze szkołą akademicką i ta ze szkołą powszechną, spotkają się kiedyś i nie znajdą wspólnego języka, by się porozumieć? Nie znajdą wspólnego języka, bo nikt ich tego języka nie nauczył w szkole, gdyż sprawa nie wygląda tak prosto, jak to się wydaje niektórym politykom prawicowym. Łudzi się ten, kto sądzi, że w w. XX wystarczy mieć w ręku większość inteligencji zawodowej, aby mieć w ręku wszystkie warstwy narodu. W w. XX warstwy, idące od kominów fabrycznych i sadów wioskowych, potrafią już mieć własnych przywódców, a w najlepszym razie całkowicie im wystarczy skromna mniejszość inteligencji zawodowej. Nasz wschodni sąsiad cośby mógł o tem powiedzieć. I dlatego owego wspólnego języka i owego wspólnego „credo“ państwowego trzeba uczyć. Trzeba go uczyć i w szkole powszechnej, i w gimnazjum, i w akademji.

Tego wspólnego języka nie ma jeszcze dzisiaj społeczeństwo polskie, i nie ma go i parlament. Może go znaleźć tylko poczuwający się do odpowiedzialności za całość państwa i operujący jednakowymi kategorjami ideowymi rząd Rzeczypospolitej. A parlament powinien mieć tyle poczucia odpowiedzialności za państwo, by czuł, że mu nie wolno w tej pracy rządowi przeskakać.

Dziś w parlamencie naszym panują inne pojęcia. Dziś, gdy minister oświaty uderzy w jaką szkołę, będącą ghettem szowinizmu i nietolerancji, polityk pra-

wicy krzyknie mu oburzony: „Wara ci od tego, ty masz tylko sprawdzić, czy dobrze tam uczą „*accusativus cum infinitivo*“. Dziś, gdy minister oświaty uderzy w nauczyciela, znanego ze swych skłonności komunistycznych, liberalny polityk z lewicy postawi ministra w stan oskarżenia za zamach na prawa obywatelskie nauczyciela.

Bo są politycy, którzy w swoim ślepem dążeniu do ograniczenia roli i kompetencji rządu, dochodzą do tego punktu, z którego ludzie nie ślepi widzą, że w danym dziale pracy państwowej każdy obywatel ma większe możliwości, niż resortowy minister. Bardzo przecież lewicowy i liberalny polityk, b. minister oświaty francuskiej, Herriot wyraził się kiedyś w przystępie gorzkości, że od ministra żąda się w sprawach jego resortu bezstronności, dochodzącej do ignorancji. Ta choroba przyjęła się tak doskonale na gruncie polskim, że wszystkie nasze dotychczasowe sejmy, oraz zrodzona przez jeden z nich konstytucja, w swoich konsekwencjach doprowadzają do wniosku, że wychowywać przyszłych obywateli państwa może każdy, byleby tylko nie odpowiedzialny za to wychowanie minister.

Ale co smutniejsze, że przez tych 11 lat panowania takich stosunków te potworne w swojej absurdalności poglądy poczęły zdobywać dla siebie prawo obywatelstwa i w umysłach szerszych sfer społecznych.

Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie użyć takiego przykładu. Wychowanie publiczne w Polsce odbywa się, oczywiście, nie tylko w szkołach. Jedną z ważnych, a przecie, ściśle biorąc, pozaszkolnych organizacji wychowania tego jest harcerstwo. Szczęśliwy pomysł patryjoty angielskiego rozwinął się w wykonaniu nad wyraz pięknie i już dotychczas oddał nieocenione usługi właśnie w kierunku wychowania państwowego przede wszystkim samej Anglii, a następnie i wielu innym krajom.

W Polsce niepodległej przy pomyślnym pod względem ilościowym, a tu i owdzie nawet przy bardzo pomyślnym pod względem — że tak powiem — fachowym rozwoju głównego trzonu harcerstwa z biegiem czasu

poczęły występować objawy, które muszą głęboko niepokoić wszystkich, myślących o przyszłości naszego państwa. Oto mianowicie, prócz głównego związku harcerstwa polskiego, poczęły powstawać inne niezależne od niego ośrodki harcerstwa. Powstało więc t. zw. „czerwone harcerstwo socjalistyczne“, powstały odrębne związki harcerskie żydowskie i ukraińskie.

Nie potrzeba być jasnowidzącym, żeby widzieć i rozumieć, że bierne przyglądanie się takiemu rozwojowi sprawy harcerskiej jest równoznaczne z pozwalaniem na wbijanie klinów w podstawy naszego państwa.

Wyda mi się rzeczą niewątpliwą, że społeczeństwo, w którym pojęcia o zadaniach i obowiązkach rządu byłyby zdrowe, wielkim głosem domagałoby się od rządu, aby niezwłocznie wkroczył, ujął te wszystkie ośrodki wychowania w taką formę organizacyjną i nadał im taką treść wychowawczą, aby z nich uczynić mocny węzeł, wiążący duchowo dorastających obywateli jednego państwa.

Jestem pewien, że u nas reakcja byłaby inna. Jestem pewien, że u nas, gdyby minister oświaty posunął się ku tym związkom, aby tam sobie zapewnić wpływ nie trzeciorzędny, ale decydujący, natychmiast różne partje i partyjki podniosłyby wielki krzyk na zachłanność rządu i na jego wtrącanie się do rzeczy, które do niego nie należą. I nie jestem pewien, czy to właśnie Ukraińcy i Żydzi krzyczeliby najgłośniej.

Bo część naszej, t. zw. opinji publicznej, nastrojona na kamerton sejmowy, rozumuje tak: „Wolność ma być w Polsce, a więc niech każda grupa społeczna urabia ducha swojej młodzieży na przeciwnym biegunie. A ty, Rządzie Rzeczypospolitej, czekaj pokornie, aż kiedyś te przeciwne duchy rzucą się na siebie i rozwalą państwo“.

Szanowne Panie i Szanowni Panowie! Proszę mi wybaczyć, że wytaczam tu przed Wami różne szczegółowe troski i kłopoty jednego działu zarządu państwem. Myślę jednak, że może nie jest bez pożytku zobaczenie na wyjętych z jednego resortu kilku żywych przykładach, do jakich konsekwencyj doprowadza zasada da-

wania rządowi jak najmniej władzy, trwałości i siły. Podane tu przykłady pochodzą z resortu, o którym rzadko się myśli, gdy się podnosi potrzebę rewizji konstytucji w kierunku wzmocnienia władzy wykonawczej. A przecież, jeżeli w jakim dziale pracy państwowej potrzebną jest ciągłość, stałość i konsekwencja, to przede wszystkim w tym dziale, w którym się trzeba całe lata, aby plon oglądać po dziesiątkach.

Musimy to sobie powiedzieć jasno i otwarcie: bez silnego i trwałego rządu nie stworzymy nigdy systemu państwowego wychowania publicznego. Możemy mieć wtedy oświatę, ale tej oświacie jednolitego ducha państwowego zbraknie.

Co więcej, jeżeliby miało nie dojść do rewizji konstytucji w kierunku, o którym mówię, i gdyby pod względem siły i trwałości rządu miały znów zapanać stosunki z okresu przedmajowego, z nieubłaganą konsekwencją musielibyśmy dojść do anarchji w wychowaniu publicznem. Bo choćbyśmy nawet mieli piękny ustrój szkolny, piękne budynki, a w tych budynkach piękne lekcje i wykłady, nacóżby się to zdało, gdyby równocześnie na duszach naszej młodzieży żerowały wszystkie idee i doktryny z wyjątkiem jednej: idei wytrwałej i ofiarnej pracy dla zachowania państwa.

Coraz bardziej rozpyływałyby się odpowiedzialność za wychowanie publiczne, coraz bardziej bezduszną i apatyczną stawałaby się administracja szkolna, coraz silniej i swobodniej działałyby czynniki odśrodkowe. Aż dziw, że te rzeczy trzeba dzisiaj Polakom tłumaczyć, że trzeba przekonywać o niezbędności silnego rządu w państwie.

Toć to przecież takie niedawne jeszcze czasy, kiedy — jak przypomina Żeromski — czytając historję dawnej Polski, tłukliśmy pięściami w karty tej książki, a spytując ową sławną mądrość „Nierządem Polska stoi“, chwyтали się za głowę w rozpacz, nie mogąc zrozumieć, jak można było być takim durnym! A cóż tu powiedzieć, gdy się widzi, że miazmaty tego duru przetrwały niewolę.

Gdy się widzi, że są oto Polacy, którzy kurczowo chwytają się każdego kruczka, każdego pozoru, każdego cienia pozoru, aby tylko odwlec i odwrócić to coś, co idzie, co się zbliża, co nie chce ustąpić.

Nie ustąpi!...

Bóg dobry nie na to nas wywiódł z domu niewoli, aby nam tylko przypomnieć okropne nasze dzieje z przed półtora wieku.

I dlatego Bóg dobry na dni naszego odrodzenia zesłał nam Człowieka, któremu dał siłę woli nadludzką, taką, aby rosła w miarę, jak rosną przeciwności. I w serce tego Człowieka włożył Bóg dobry odwagę wielką, aby w chwilach najcięższych brał na siebie za cały naród brzemień decyzji i odpowiedzialności.

I kazał Bóg dobry temu Człowiekowi iść do Wolnej Ojczyzny drogą daleką i trudną, ciernistą i krwawą.

I Człowiek ten doszedł.

Dziś ma tę swoją wolną Ojczyznę, ma władzę w rękę, ma miłość wojska i zaufanie olbrzymich mas narodu.

I uznał ten Człowiek, w zgodzie ze wszystkimi rozumnymi mężami kraju, że dla szczęścia i chwały Ojczyzny trzeba zmienić Jej zasadnicze prawa.

I pomyśleć, że są w Polsce ludzie, którzy chcą Mu w tem przeszkodzić. Ci ludzie także przejdą do historii, ale zaprawdę nie z wieńcem laurowym na czole.

PRZEMÓWIENIE, WYGŁOSZONE NA ZJEŹDZIE WALNYM ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO,

w dn. 28 grudnia 1929 r.

Uważałem za swój obowiązek przybyć na zjazd organizacji, prowadzącej ważny dział wychowania publicznego w Polsce, przytem — organizacji, która, choć istnieje na ziemiach polskich zaledwie od lat kilkunastu, ma już za sobą chlubne karty w dziejach polskiego wychowania narodowego.

Ale skoro już przyszedłem, skoro już głos zabrałem, to pozwólcie, Szanowni Państwo, że nie ograniczę się do zdawkowego powitalnego frazesu, ale pozwolę tu sobie wypowiedzieć przynajmniej dwie uwagi, które proszę rozumieć jako dowód czynnego zainteresowania się kierownika wychowania publicznego w Polsce pracą instytucji wychowawczej tej miary, co Związek Harcerstwa Polskiego.

Jest rzeczą naturalną, że tego kierownika wychowania publicznego musi interesować zwłaszcza społeczna strona tej pracy, którą Szanowni Państwo z tak chwalebłą gorliwością prowadzicie.

Wychowanie społeczne w statutach i programach pracy harcerskiej zajmuje miejsce poczesne.

Prawo harcerskie głosi: „Harcerz służy Ojczyźnie i dla Niej spełnia sumiennie swoje obowiązki“.

Szanowni Państwo wiecie napewno lepiej ode mnie, na jak wielkie natrafiać trudności, gdy chcecie ten dział swojej pracy należycie wykonać.

Życie publiczne albo, mówiąc wyraźniej, życie polityczne chwili bieżącej wszystkimi porami wciska się do organizacji i niekiedy łamie prostą linię wychowawczą. Wiem, iż istnieje wśród niektórych pracowników harcerstwa przekonanie, że, aby harcerstwo od ujemnych wpływów życia bieżącego uchronić, należy je od tego życia możliwie izolować, że należy uczynić z harcerstwa cichą wyspę, wznoszącą się nieruchomo ponad bystrym nurtem życia współczesnego.

Nie sądzę, aby ta droga ratunku była właściwa i celowa. Dziś, jak to już gdzie indziej miałem sposobność zaznaczyć, w państwach, w których ruch pedagogiczny jest szczególnie ożywiony, nawet szkoły nie odgradza się od zagadnień chwili bieżącej. Zupełna izolacja z czasach dzisiejszych może mieć tylko ujemne skutki: może zrodzić kastową ekskluzywność i społeczną martwość.

Środków zaradczych trzeba szukać w czym innym. Trzeba ich szukać przede wszystkim w sumieniu wychowawczem pracowników harcerskich, trzeba mieć wiarę w to, że w potrzebie potrafią oni zejść ze swojej platformy partyjno-politycznej i stanąć na platformie wychowawczej.

A tak się szczęśliwie dla nas wychowawców składa, że niekiedy zagadnienia, które, brane z politycznego stanowiska, wydają się nierozwiązalne albo dają dwa wzajemnie wykluczające się rozwiązania, stają się proste i jasne, gdy je przenieść na platformę wychowawczą.

Pozwolę tu sobie użyć jednego, mam wrażenie, bardzo aktualnego przykładu.

Sprzecząją się niekiedy ludzie, jakie wychowanie jest dla młodzieży polskiej potrzebniejsze: narodowe czy państwowe.

Mam dowody na to, że spór ten przenika i do szeregów wychowawców harcerskich.

Czytałem niedawno książkę, napisaną przez jednego z zasłużonych, jak mi się zdaje, harcistrzów, a poświęconą harcerskiej służbie Polsce. Nie można czytać tej książki bez uczucia szczerzej sympatji dla autora, bo książka ta ujmuje czytelnika wiejącą z każdej kartki

mocną wolą jak najlepszego służenia Ojczyźnie i szlachetną ambicją odrodzenia narodu przez moralne wartości nowego pokolenia.

Ale właśnie dlatego z tem większym żalem obserwuje się, jak w pewnem miejscu, gdy autor nie zdołał w porę uwolnić się od nawianych mu w duszę wpływów politycznych, uwikłał swoją myśl w bezwartościowy z punktu widzenia praktyki wychowawczej spór na temat, co ważniejsze: naród czy państwo.

Gdyby autor i w tym wypadku utrzymał się na stanowisku czysto wychowawczem, to wogóle to zagadnienie jako dylemat dla niego by nie istniało.

Bo to tylko w kłótni partyjno-politycznej tak wygląda, że ten, kto podnosi ważność wychowania narodowego, musi być endek, a ten, co forsuje wychowanie państwowe, napewno sanator.

Dla wychowawcy zaś zagadnienie rozwiązuje się prosto.

Jest dla niego rzeczą oczywistą, że nie można się wyrzec wychowania narodowego ani jako celu, ani jako podstawy historycznej, kulturalnej, wreszcie psychologicznej. Ale równocześnie wychowawca polski nie może zapominać, że wskutek całego szeregu przyczyn historycznych, jak długa niewola, odsunięcie szerokich mas ludowych od życia publicznego, brak zrozumienia interesu państwowego przez masę szlachecką jeszcze za czasów dawnej Polski, że wskutek tych przyczyn — powtarzam — zachodzi obawa, iż nowe pokolenie narodu może mieć w swej duszy zbiorowej również niedostatek elementów patryjotyzmu państwowego, że więc ten patryjotyzm państwowy, a nie tylko narodowy, należy w niem ze wszystkich sił budzić i rozwijać.

Oto jest proste i jasne rozwiązanie wychowawcze.

Moja pierwsza uwaga czy też, jeżeli kto woli, moja pierwsza rada, sprowadza się do tego: niech wszystkie zagadnienia z dziedziny wychowania społecznego będą rozstrzygane w harcerstwie z jedynie tutaj właściwego stanowiska, t. j. ze stanowiska wychowawczego, ale oczywiście z myślą o dobru Ojczyzny, pojętej nie tylko jako

Naród i nie tylko jako Państwo, ale jako i Naród i Państwo.

A teraz uwaga druga. Jest to właściwie prośba. Chciałem mianowicie prosić, aby czynniki prowadzące wychowanie harcerskie, starały się być w możliwie bliskim i ścisłym kontakcie z władzami państwowymi, kierującymi wychowaniem publicznym.

Pozwolę sobie tutaj przestrzec Szanownych Państwa przed jednym błędem, który jest wielkim grzechem, który jest przekleństwem naszego życia publicznego. Grzech ten wielki polega na tem, że częstokroć najważniejsze zagadnienia państwowe rozstrzyga się nie ze stanowiska zasad, nie ze stanowiska dobra narodu i państwa, ale ze stanowiska niechęci czy nienawiści do swojego przeciwnika politycznego.

Nie potrzebuję tu chyba przypominać, jaka jest geneza największych wad naszej Konstytucji, o której naprawie tak wiele się dzisiaj mówi.

Otóż trzeba, aby tego grzechu nie popełniali ludzie, pracujący w harcerstwie. Trzeba, aby utrzymywali bliski i ścisły kontakt z władzami szkolnymi, bez względu na to, czy rząd, który w danym czasie sprawuje władzę w Polsce, jest dla nich więcej lub mniej sympatyczny. Trzeba, żeby rozumieli, że jeżeli dziś żąda się od szkoły, aby utrzymywała możliwie bliski kontakt z rodzicami uczniów, to nie można równocześnie wymagać od władz szkolnych, aby nie żądały współpracy i współdziałania od władz harcerskich.

Liczę na to, że wszyscy Szanowni Państwo mnie dobrze zrozumieją. Jeżeli państwowe władze szkolne tego kontaktu i współdziałania żądają, to czynią to nie tylko w imię tej siły i władzy, jaką mają w ręku, ale przede wszystkim w imię stojącego za nimi prawa moralnego, bo w imię tego dobra publicznego, któremu i Wy, Szanowni Państwo, służycie.

Oto jest moja druga i ostatnia uwaga.

Proszę mi ją wybaczyć, podobnie jak poprzednią.

Podyktowała mi je szczerza życzliwość dla Waszej, Szanowni Państwo, organizacji i zrozumienie odpowie-

działności, jaka na Was, jako na wychowawcach harcerskich, spoczywa.

Bierzecie, Szanowni Państwo, w ręce swe duszę wychowanka, jak kwiat delikatny, który się z pączka rozwija.

Spółeczeństwo patrzy na Was, co z nim uczynicie. Czy pod tchnieniem Waszem zamieni się on w piękny i zdrowy owoc, czy też po opadnięciu zewnętrznych dekoracyjnych płatków zostanie z niego tylko suchy badyl bez rzetelnej wartości.

Życzę Wam, Szanowni Państwo, by w Waszym ogrodzie same tylko zdrowe i piękne rodziły się owoce.

Życzę temu Walnemu Zjazdowi, aby do otrzymania tych plonów walnie się przyczynił.

PRZEMÓWIENIE Z OKAZJI X ROCZNICY ZWYCIĘSKIEGO ODPARCIA NAJAZDU ROSJI SOWIECKIEJ

w radjo w dn. 18 października 1930 r.

Przemawiając w dziesiątą rocznicę zwycięskiego zakończenia ostatniej wojny polskiej — chcę mówić do nauczycielstwa.

Chcę mówić do tej olbrzymiej, bo prawie stutysięcznej armji pracowników i pracowniczek, którzy przyszość Polski w duszach jej młodych pokoleń kształtują. Ale nie chcę dziś mówić jako przełożony, wydający polecenia i rozkazy, tylko jako jeden z żołnierzy tej armji, jako jeden z tych, którego serce — śmiem to twierdzić — bije rytmem zgodnym z rytmem, bijącym w szeregach.

A wolę mówić w tym właśnie charakterze, bo nie wszystko, co jest pracą armji nauczycielskiej, da się załatwić rozkazem; bo do wielu, bardzo wielu tej pracy działów potrzebny jest nietylko rozkaz, ile trafność głosu sumienia pedagogicznego i szczerzy zapał każdego żołnierza.

A ja właśnie o tych rzeczach chcę dziś w tem krótkim przemówieniu parę słów powiedzieć.

Koledzy i Koleżanki!

Gdy czasem, siedząc w ciszy swego gabinetu, przy mykam oczy i myślę o Was wszystkich, przy warsztatach swej pracy stojących, gdy liczę w myśli te miliony

dusz dziecięcych i młodzieńczych, które chlebem własnego ducha karmicie, gdy mi się wydaje, że słyszę Wasz głos, nauczający na całej przestrzeni od Pucka do Zaleszczyk i od Cieszyńska do Dżisny, to doznaję wrażenia, jakgdybym czuł dotykalnie tę wielką potęgę, jaką Wasz wysiłek zbiorowy być może.

I wówczas proszę Boga gorąco, aby mi w usta włożył czarodziejskie słowo, któreby w piersiach Waszych rozpałiło tyle niegasnącego ognia, tyle trwałego zapału, ile go potrzeba do wykonania tych wielkich zadań, jakie przed naszym pokoleniem polskich pedagogów postawiła historia.

A o jakichże to zadaniach mamy myśleć i mówić w ten wieczór dzisiejszy, przypominający nam, że zaledwie lat dziesięć minęło od chwili, gdy pierwsza od odzyskania niepodległości nawała ze Wschodu została zwycięsko odparta?

Już w wiekach minionych przodkowie nasi rozumieli dobrze, że Polska, której „ani morza, ani góry bronią“, musi budować twierdze w sercach swych obywateli.

O ileż baczniejsi na te twierdze powinniśmy być dzisiaj my, którzy możemy czerpać naukę z doświadczeń upadku Polski i z bolesnych goryczy niewoli!

Dlatego też wychowanie dzielnych i ofiarnych obywateli Państwa, jako najważniejszy i najogólniejszy cel pracy wychowawczej w Polsce, to nie żaden wymysł ani nowy wynalazek, ale wniosek, wysnuwający się z nieodpartą koniecznością z przeglądu zarówno naszej przeszłości, jak i naszego położenia dzisiejszego.

I nie dajcie się, Koledzy i Koleżanki, zwieść i obalamucić tym krzykiem nieszczerego oburzenia, jaki się dokoła hałas t. zw. wychowania państwowego z niektórych stron podnosi.

Nieprawdą jest, że hasło to nie godzi się z celami religijnymi Kościoła Katolickiego. Kościół Katolicki jest przeciwny tylko temu, co się nazywa monopolem państwa w dziedzinie wychowania młodzieży, wychodząc z założenia, że w tej dziedzinie On także, a w pewnym zakresie On przedewszystkiem ma szczególnie ważne,

wskazane Mu przez Boga zadania. Ale tylko zawzięty wróg Kościoła albo beznadziejnie niemądry Jego obrońca może usiłować wmówić w polską opinię publiczną, że dążenie Państwa do wychowania sobie dobrych obywateli jest sprzeczne z interesami Kościoła.

„Państwo może wymagać, a stąd i starać się o to, żeby wszyscy obywatele posiadali konieczną znajomość swoich obywatelskich i narodowych obowiązków“. To ostatnie zdanie nie jest moje; cytuję je dosłownie z Encykliki Jego Świątobliwości Papieża Piusa XI o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży.

Również nie ze szczerej troski o dobro Ojczyzny, ale i z demagogji partyjno-politycznej pochodzi krzyk, że hasło wychowania w duchu państwowym jest niezgodne z zasadami wychowania narodowego.

Rzecz się ma wręcz przeciwnie.

Dziś dla nas, Polaków, wychowanie narodowe winno być całe przeniknięte i ukoronowane t. zw. wychowaniem państwowem. Pojęcie wychowania narodowego ma bezwątpienia zakres szerszy, niż wychowanie państwowe, na które można patrzeć, jako na część tamtego. Ale równocześnie trzeba sobie jasno uświadomić, że prawie cała praktyczna treść wychowania obywatelskiego, wychowania dla życia w Państwie i do życia dla Państwa zawiera się dopiero w wychowaniu państwowem.

Pod grozą niespełnienia jednego z naszych najważniejszych zadań musimy doprowadzić do tego, by nowe pokolenie polskie wchodziło w życie publiczne z tem poczuciem i przekonaniem, że deklamacja patryjotczono-narodowa bez ofiarnej służby Państwu jest komedją i kłamstwem.

Celu tego nie dopniemy przez samo tylko właściwe postawienie jakiegoś osobnego przedmiotu nauki, np. nauki bywatelstwa czy nauki o Polsce współczesnej, ani też przez sztuczne wstawki i doczepki do istniejących w dzisiejszym programie szkolnym przedmiotów nauczania.

Idea wychowania dla państwa musi przeniknąć całe nasze życie szkolne, musi znaleźć swój naturalny wyraz

w każdym przedmiocie nauki, w każdym podręczniku, nieomal w każdym zabiegu wychowawczym. Ta cała wielka praca stworzenia systemu wychowania państwowego jeszcze jest przed nami.

Ale i dziś już przy dobrej woli i głębszem odczuciu potrzeby możemy zrobić wiele.

Dzisiejsza rocznica wielkiego polskiego zwycięstwa powinna nam to głośno w naszych sercach przypomnieć. Bo w każdym systemie wychowania państwowego, jakibyśmy sobie wyobrazić mogli, w każdym, jaki wypracować możemy, właściwe zbliżenie młodzieży do naszej przeszłości, do ważnych wypadków i postaci historycznych zawsze będzie musiało wielką odgrywać rolę.

Głębokie poczucie obowiązku szarej służby codziennej oraz kult wielkiej ofiary, kult bohaterstwa na rzecz tego najwyższego dobra naszego, jakim jest własne odzyskane państwo, muszą być żywe i gorące w duszach naszych wychowanków.

A gdy się o tem myśli, gdy się w tę prawdę pedagogiczną tak jasną i bezsporną wierzy, to bunt i gniew wzbiera w piersi przeciwko tym, którzyby serca i umysły naszej młodzieży chcieli zamknąć dla tych wydarzeń historycznych, w których wyraziło się i skrytykizowało najwytrwalsze, najofiarniejsze, a przedewszystkiem najskuteczniejsze dążenie do zdobycia i utrzymania naszej niepodległości państwowej.

Koledzy i Koleżanki! Jak w naszym życiu publicznem, tak i w naszej dzisiejszej pedagogice praktycznej ciągle trwa walka o właściwy stosunek wychowawców i młodzieży do postaci i czynów Józefa Piłsudskiego.

Złośliwą brednią jest twierdzenie, że chodzi tu tylko o kult dla przywódcy jednego z obozów politycznych w Polsce. Kto tak twierdzi, ten albo świadomie kłamie, albo składa dowód, że nic nie rozumie z tego, co się w Polsce przez ostatnich parę dziesiątków lat działo i co się dzieje obecnie.

Bo w walce o stosunek młodych pokoleń do dzieła Józefa Piłsudskiego ma się rozstrzygnąć pytanie, czy z kapitału polskiego wychowania obywatelskiego mają

być skreślone pozycje, które dla tego wychowania, zwłaszcza w Polsce odrodzonej, są najcenniejsze.

Bo w osobie Józefa Piłsudskiego zbiegło się i spersonifikowało to wszystko, co było dawniej dążeniem do niepodległości, a co jest dzisiaj pracą i walką o utrwalenie i pomnożenie siły odzyskanego Państwa.

I dawniejszy Jego bój podziemny z caratem, i ratujący honor narodu czyn legionowy, i krwawy trud pierwszych dwóch lat niepodległości, i uderzenia majowe, i obecne wzięcie bezpośredniego udziału w walce o naprawę ustroju, i wydanie przez to swej osoby na jad i błoto nienawiści zaślepienców partyjnych — wszystko to — to jedna wielka zaiste, prawie nadludzka ofiara, złożona na ołtarzu tej idei, która w sercach Polaków ma tworzyć owe twierdze, zastępujące granice naturalne naszego państwa.

Powiedcież tym, którym w szkole trudno jest wymówić nazwisko Piłsudskiego, niech z dziejów zdobycia i dotychczasowego istnienia naszej niepodległości wypłyną i usuną pasmo zdarzeń, trudów i wysiłków, związane z imieniem Piłsudskiego i z reszty, która pozostanie, niech spróbują wybrać materiał szlachetny, aby służył za wzór, przykład i naukę dla młodych obywateli odrodzonej Polski.

Co z tego ma najsilniej przemówić do młodzieży? Czem ma się ona szczególnie przejąć i zachwycić? Czy pokorną czołobitnością wobec zaborców? Czy hasłem niewolniczej bierności w dziejowej godzinie wojny ludów? Czy morderstwem pierwszego Prezydenta odzyskanej Rzeczypospolitej? Czy gorliwością pracy sejmowej, obalającej każdy rząd, zanim ten przystąpił do systematycznej pracy? Czy pchaniem państwa do beznadziejności i anarchji w imię szczytnych haseł obrony parlamentaryzmu i demokracji?

Nie daj Bóg, aby wychowanie młodych pokoleń odrodzonej Polski opierać się miało na tej strasznej ewangelji!

Nie możemy do tego dopuścić. Nie możemy dopuścić, aby pod maską bezpartyjności i apolityczności szkoły

kradziono nam najpiękniejszą i najcenniejsze walory wychowawcze niosącą prawdę historyczną.

Więc nie obawiajmy się tej prawdy i otwórzmy serca młodzieży dla wszystkiego tego, co w naszych dziejach współczesnych jest piękne, ofiarne i mocne.

Ślubujmy to sobie w tę dzisiejszą rocznicę, bo najlepszym uczczeniem zwycięstwa i najpiękniejszym hołdem dla tych, co z pola chwały w wieczność odeszli, będzie wzmożenie pracy nad utrwaleniem w sercach młodzieży tych ideałów, za które oni życie swe oddali.— Do pracy więc, Koledzy i Koleżanki! Do skrzętnej i gorliwej pracy, aby nie powiedziała o nas kiedyś historia, że Bóg nam dał Ojczyznę wolną, a myśmy fundamentów pod jej trwałość założyć nie umieli.

Myśl o krwi serdecznej, w r. 1920 przelanej, niech nam będzie głosem sumienia, nakazem obowiązku i niegasnącem ogniskiem zapału.

STWORZENIE POLSKIEGO SYSTEMU WYCHOWANIA OBYWATELSKO-PAŃSTWOWEGO TO NAJWAŻNIEJSZE ZAGADNIENIE WYCHOWAWCZE W DZISIEJSZEJ POLSCE

*Artykuł drukowany w Nr. 311 „Gazety Polskiej”
w dn. 12 listopada 1930 r.*

W dziedzinie wychowania publicznego mamy w tej chwili jeszcze cały szereg podstawowych, a dotychczas nierozwiązanych zagadnień, które jednak — wierzę w to mocno — zostaną rozwiązane w ciągu drugiego dziesięciolecia istnienia odrodzonej Polski.

Gdy pominiemy warunki materialne i pewne niezupełnie jeszcze ustalone formy organizacyjne szkolnictwa i gdy myśl swą skierujemy wyłącznie na treść wychowania publicznego, to za najważniejsze w tym zakresie zadanie musimy uznać stworzenie własnego, z naszych polskich potrzeb wyrastającego systemu wychowania obywatelsko-państwowego.

Rozumiem przez to stworzenie systemu środków i czynności wychowawczych, któreby w wychowankach naszych urabiały dyspozycje psychiczne, usposabiające ich do służby państwu, a nie do życia z państwa.

Nie przestanę powtarzać, że zadanie to w Polsce dzisiejszej jest wprawdzie trudniejsze, ale i stokroć ważniejsze, niż w jakimkolwiek innym narodzie i państwie.

Na spotęgowanie trudności i ważności tego zagadnienia w Polsce wpływa zarówno nasza przeszłość historyczna, jak i warunki wewnętrzno-polityczne, jakie zapanały w odrodzonym państwie polskim od pierwszych dni jego nowego bytu.

W dawnej Rzeczypospolitej fatalnie pojęte dobro jednej warstwy społecznej, spaczona pojęcie wolności szlacheckiej tragicznie zaciążyły na losach państwa i sprowadziły jego upadek, zanim w świadomości narodu utrwaliło się zrozumienie tej prawdy, że są chwile w dziejach, kiedy najlepszą obroną egoistycznych interesów jakiejś grupy społecznej jest zrezygnowanie z nich na rzecz tego wspólnego dobra, jakim jest własne państwo.

Długi okres niewoli z natury rzeczy nie mógł się przyczynić do wyrobienia w masach naszego narodu czynnego patriotyzmu państwowego.

Przeciwnie, musieliśmy ratować się partjotyzmem, bez — czy nawet antypaństwowym, musieliśmy nauczyć się żyć wspomnieniami, kultem grobów, obrzędami narodowych zaduszek, a w najlepszym razie marzeniami o przyszłości, do której jednak przez wiele lat nie umieliśmy przerzucić żadnych realnych mostów od smutnej rzeczywistości niewoli.

W okresie tym celem polskiego wychowania narodowego nie mogło być ćwiczenie w służbie dla państwa, lecz ćwiczenie w czemś wręcz przeciwnem; ćwiczenie w tem, jak można być dobrym patriotą, nietylko nie czyniąc żadnych ofiar dla państwa, ale nawet zwalczając państwo lub co najmniej wyzyskując je dla swojej grupy czy poprostu dla swoich własnych osobistych celów.

Poza tem okres niewoli wprowadził do naszej świadomości narodowej tak głębokie, jak chyba u żadnego innego narodu na świecie, rozszczepienie pojęć interesów narodu z jednej strony, a interesów państwa z drugiej. Rozszczepienie to, zbawienne dla narodu, pozostającego w niewoli, mogło okazać się zgubne po odzyskaniu wolności.

Czyż o istnieniu tego niebezpieczeństwa nie krzyczy wielkim głosem fakt, że pierwszy Prezydent odrodzonej Rzeczypospolitej został zamordowany przez szaleńca, który w swej nieszczęsnej głowie wykombinował, że, podnosząc rękę na Majestat Państwa, czyni to w imię interesów Narodu. A czyż nie wzmaga tego krzyku ostrzegawczego fakt drugi, że grób tego pierwszego zbrodniarza stanu odrodzonego państwa polskiego był przez szereg lat zarzucany kwiatami przez osoby narodowości polskiej, które w swej okropnej naiwności czyniły to... z pobudek patriotycznych.

Już to, o czym wspomniałem dotychczas, wystarczyć mogło do powzięcia obaw, że po odzyskaniu niepodległości instynkty państwowe w szerokich masach naszego społeczeństwa nie wystąpią z dostateczną siłą, zwłaszcza, gdy będzie chodziło nie o jednorazowy poryw patriotycznego entuzjazmu, do czego zazwyczaj bywaliśmy zdolni, ale o szarą, codzienną, żmudną a wytrwałą pracę dla państwa, połączoną z ofiarami z własnych korzyści i wygod, o co u nas zawsze bywało najtrudniej.

Obawy te muszą jednak wzrosnąć wielokrotnie, gdy się zważy, jakich to wpływów ideowych obiektem stało się społeczeństwo polskie w tej chwili dziejowej, kiedy trzeba stawiać i wzmacniać zręby odzyskanego państwa.

Ten moment dziejowy wypadł w okresie przeżywania się na świecie ustroju parlamentarnego, opartego na partjach politycznych, jako na wyrazicielkach potrzeb i aspiracji różnych grup społecznych.

Od pierwszego dnia swego nowego życia państwowego odziedziczyliśmy odrazu chorobę, z którą z wielkim trudem borykają się silnie zmontowane i w znacznie wygodniejszych warunkach zewnętrznych pozostające państwa.

Stojący na czele naszych stronnictw politycznych „mężowie stanu“, pozostali na ten fakt ślepi i jak za czasów pierwocin parlamentaryzmu, gdy z rąk panującego trzeba było z trudem wyrywać okruchy władzy i wywalczać prawa i „przywileje“ dla reprezentowanych przez nich „stanów“, poczęli ciągnąć Państwo każdy

w swoją stronę, rozwijając przytem w masach społecznych energiczną pracę „wychowawczą“, polegającą na krzykliwym i najczęściej potwornie demagogicznym uświadamianiu o prawach, ale z zupełnem pominięciem nauczania o obowiązkach.

I zaprawdę nie potrzeba być jasnowidzem, ażeby widzieć jasno, że nie mogłoby się zbyt długo ostać młode i ze wszystkich stron na niebezpieczeństwo narażone Państwo, którego obywatele znalazłyby tylko swoje prawa a wcale nie myśleli o swych obowiązkach.

Na szczęście, dzięki wielkiej łasce Opatrzności, w Polsce odrodzonej znalazło się coś, czego, niestety, była pozbawiona Polska przedrozbiorowa w okresie swego staczania się do upadku. Na ten raz znalazła się w Polsce Siła, która to moralne, a w konsekwencji i materialnie rozdrapywanie Ojczyzny powstrzymać zdołała.

Sile tej na imię Piłsudski.

Około Jego potężnej indywidualności skupia się coraz zwartszy i coraz silniejszy obóz, któremu — jestem tego pewien — uda się zbudować mocny gmach praw społeczeństwa na granitowym fundamencie ofiarnie pełnionych obowiązków.

Do budowy tego fundamentu jest powołana przedewszystkiem szkoła.

Nawet wychowanek szkoły powszechnej musi być nietylko uświadomiony o swych obowiązkach wobec państwa i rozumowo uodporniony na żerujące na ciemności mas głosy demagogów, ale również w możliwym dla jego wieku i położenia socjalnego zakresie wprowadzony na drogę świadczenia usług dla państwa.

Oczywiście stworzenie własnego systemu t. zw. wychowania państwowego nie jest rzeczą łatwą. Nie możemy się tu oprzeć na żadnym wzorze zagranicznym. Nie może on być wzorowany na niemieckiej „Heimatkunde“, ani w niczem przypominać bolszewickiej „politgramoty“.

Nie może on również polegać na samej tylko deklamacji patryjotycznej. Przeciwnie, z tą deklamacją trzeba być bardzo ostrożnym. Uczucie patryjotyzmu, uczucie poświęcenia się i ofiary na rzecz wspólnego dobra należy

do tej subtelnej dziedziny życia duchowego, którą wrażliwa, a naprawdę głęboko czująca młodzież odsłania w słowach niechętnie i niechętnie w słowach odsłanianą widzi.

Pojęcia obywatelskich obowiązków wobec państwa powinny przenikać do duszy młodzieży drogą możliwie najbardziej naturalną i nietylko na t. zw. godzinach jakiegoś jednego specjalnego przedmiotu nauki, ale w najróżnorodniejszych momentach i okolicznościach pracy szkolnej i życia szkolnego wogóle.

Ze strony szkoły jednak musi tu być zastosowane działanie celowe i systematyczne.

Nad ułożeniem tego systemu podjęliśmy pracę w Ministerstwie i poza niem i mam wrażenie, że na dobrej jesteśmy drodze.

Ale tak, jak prawie w każdej dziedzinie życia państwowego, wypracowanie tego systemu, a tem bardziej jego wprowadzenie w życie zależeć będzie od pomyślnego rozwiązania tego najbardziej podstawowego zagadnienia, które podjął Marszałek Piłsudski, t. j. naprawy ustroju państwa.

Gdyby to nie nastąpiło, i gdybyśmy mieli powrócić do sytuacji wewnętrzno-politycznej z przed maja 1926 roku, zamierzenie zbudowania polskiego systemu wychowania państwowego utonęłoby w ogólnym chaosie naszego życia politycznego. Bo partjom politycznym wcale nie zależy na posiadaniu przez Państwo własnego systemu wychowania. Natomiast bardzo im zależy na możliwości prowadzenia za pieniądze państwowe ich własnych partyjnych instytucyj wychowawczych oraz na wolności partyjnego żerowania w instytucjach wychowawczych, utrzymywanych przez Państwo.

Od Ministra Oświaty partje żądają tylko dwóch rzeczy: pieniędzy na ich własne imprezy „wychowawcze“ i nieprzeszkadzania w działalności „wychowawczej“ ich członkom i zwolennikom. Eufonicznie nazywa się to żądaniem bezstronności Ministra i apolityczności szkoły.

To też jasno widzę obraz, jakiby przedstawiało nasze

wychowanie publiczne, gdyby do władzy powróciły partje.

Dziś już nietylko Narodowa Demokracja rozumie znaczenie przygotowywania sobie młodych kadr przez pracę partyjną wśród młodzieży. Socjaliści zdradzają zapędy werbowania wychowanków do swych instytucji partyjnych nawet wśród uczniów szkół powszechnych.

Gdyby więc w naszym życiu państwowem znów zatriumfowały partje, mielibyśmy tyle głównych celów wychowania publicznego, ile byłoby partyj. Jeden tylko cel główny pozostałby w zaniedbaniu i opuszczeniu. Celem tym byłoby dobro Państwa jako całości.

Do celu tego napewno nie mógłby dążyć steroryzowany przez partje Minister Oświaty. Co najwyżej, jeżeli sam był partyjnikiem, mógłby chyłkiem przemycić cele własnej partji.

Na szczęście różne znaki na niebie i ziemi wskazują, że to niebezpieczeństwo już nam dziś nie grozi.

Z konsolidującego się dookoła osoby Marszałka Piłsudskiego obozu idzie na Polskę coraz potężniejszy prąd ideowy.

Wierzę w zbiorowe sumienie i w zdrowy rozum naszego narodu i dlatego jestem głęboko przekonany, że niedaleko jest chwila, kiedy siła tego prądu zmyje i uniesie z powierzchni naszego życia zarazę partyjnictwa.

Wówczas w życiu tem interes Państwa stanie wysoko ponad interesami grup i klik partyjnych.

Nikt nie ma prawa wątpić, że w triumfie tym weźmie czynny udział również i szkoła polska.

PRZEMÓWIENIE NA POSIEDZENIU SEJMU

w dn. 10 lutego 1931 r.

Wysoka Izbo! W dyskusji, jaka się tutaj toczyła, znalazł swój dobitny wyraz zwyczaj, że przy okazji dyskusji budżetowej mówi się nietylko o sprawach mniej lub więcej ściśle z budżetem związanych, ale i o wszelkich innych, danego resortu dotyczących.

Aczkolwiek ta metoda pracy budżetowej parlamentu nie wydaje mi się najlepsza, nie chcąc jednak pozostawić bez odpowiedzi całego szeregu zarzutów, jakie w tej dyskusji pod adresem władz szkolnych padły, muszę być niekonsekwentnym i wkroczyć na teren spraw, które nawet luźno nie wiążą się z budżetem.

Zarzuty, które mam na myśli, możnaby w najkrótszym sformułowaniu ująć tak: pod kierunkiem obecnego Ministra Ministerstwo Oświaty i podległe mu organa wprowadzają politykę do szkoły. To wprowadzanie polityki do szkoły wyraża się: 1) w hasle t. zw. wychowania państwowego, przyczem państwo utożsamia się z rządem i 2) w szykanowaniu nauczycieli nie będących zwolennikami obecnego rządu.

Odpowiadając na te zarzuty, będę się starał nie ograniczać się do bezpośredniej tylko polemiki i gołej negacji, ale postaram się przedstawić pozytywnie odpowiednie zamierzenia i tendencje Ministerstwa, gdyż liczę na to, że w ich świetle wystąpi dość wyraźnie właściwa wartość samych zarzutów.

Proszę mi jednak wybaczyć, jeżeli w tym celu przynajmniej na chwilę wkroczę w te dziedziny rozważań, które dotychczas, t. j. w poprzednich kadencjach i sesjach sejmowych, dość rzadko były przedmiotem zainteresowania tej Wysokiej Izby.

Oczywiście, ze swojego punktu widzenia ten wzrost zainteresowania traktuję jako objaw dodatni, nie ujemny.

Wysoka Izbo! Gdyby ktoś znający się na rzeczy, uważnie obserwował z boku ruch, jaki w Polsce po odzyskaniu niepodległości ujawnił się w dziedzinie wychowania publicznego młodzieży, tego zapewne uderzyłoby dziwne napozór zjawisko.

Oto cały ten bardzo żywy, pełen ognia i zapału obywatelskiego ruch obracał się dokoła zagadnienia form wychowania, prawie zupełnie nie dotykając głębszej tego wychowania treści.

Dyskutowano z ożywieniem, staczano homeryckie boje polemiczne o formy organizacyjne naszego ustroju szkolnego, dokonano wielkiej i pożytecznej pracy w zakresie unowocześnienia form i środków wychowania i nauczania w szkole, ale co się tyczy celów tego wychowania, celów, które nadają tej pracy właściwy sens i wytyczają zasadniczy kierunek, to w tę dziedzinę prawie wcale nie wkraczano, jakgdyby te cele rozumiały się same przez się, jakgdyby tu wszystko było dane, jakgdyby w tej dziedzinie nie było żadnych pytań do odpowiedzi, ani żadnych zagadnień do rozstrzygnięcia.

Nikomu z tego nie czynię zarzutu, bo gdy się nad tem zastanawiam, to mi się wydaje, że wówczas nie mogło być inaczej.

Jesteśmy jednym z członków wielkiej rodziny narodów cywilizowanych i nie tylko w dziedzinie materialnej, ale i w sprawach ducha podlegamy wspólnym w tej rodzinie przejęciom i kryzysom.

A Europa powojenna przedstawia naogół bardzo pstry obraz ideowego rozgardjaszu, z którego naszemu narodowi, pośpiesznie urządzającemu swe nowe życie w od-

zyskanem państwie, dość trudno było znaleźć dla siebie jasne a niezawodne wskazania.

To też gdy chodzi o samo nasze społeczeństwo, to było ono tylko wierną minjaturą tego ogólnego obrazu.

To rozbieżenie ideowe było znakomicie pogłębiane przez wewnętrzne życie polityczne naszego państwa, całkowicie wypełnione nieustanną walką partyj, których przywódcy to zasiadali przy wspólnym stole, by dzielić między siebie pozory władzy, to znów rozchodzili się, by wzajemnie odsądzać się od czci i wiary.

Oczywiście, że w takich warunkach ludzie, pracujący nad ustaleniem zasad naszego wychowania publicznego, nie mogli się oprzeć na żadnej zasadniczej idei przewodniej, bo każda, jakaby wybrali, groziła wypadnięciem w kolizję nie tylko z częścią społeczeństwa, ale najprawdopodobniej również z częścią albo całością aktualnego lub najbliższego rządu.

Mogli ci organizatorzy naszego szkolnictwa sięgać co najwyżej do bardzo ogólnych ludzkich wartości, takich, jak wiedza, inteligencja i t. p., ale przecież ta wiedza i ta inteligencja zyskują swój właściwy walor i sens dopiero wówczas, gdy nie są celem same dla siebie, ale gdy służą do pewnych wyższych, ogólniejszych, poza-jednostkowych i nieegoistycznych celów.

Nawet religia nie mogła tu być jedynym regulatorem, bo religia, niosąca ludom najwyższą mądrość etyczną wieków, ma cele nie tylko doczesne, ale i dalsze, pozaziemskie i nie może przystosowywać swych zasad do potrzeb jednego państwa.

Również jakiś abstrakcyjny ideał człowieka w ogóle, człowieka, który za swoją ojczyznę uważa cały świat cywilizowany, nie mógł być ideałem, wystarczającym dla organizatorów naszego szkolnictwa, bo nam potrzeba wychować ludzi, którzy z naszej gleby wyrosli naszym polskim służyliby celom i którzy byliby obywatelami cywilizowanego świata przez to i dlatego, że są dobrymi obywatelami Polski.

Ten brak skryształizowanego ideału wychowawczego, brak dostatecznie sprecyzowanego celu pracy szkolnej

i konieczność ograniczenia swojej uwagi do form i środków wychowawczych nie pozostał bez szkodliwego wpływu na same te środki i na stosujący je personel wychowawczy.

Młyn, który jest w ruchu, a któremu nie dosypują ziarna, poczyną wkońcu mleć sam siebie.

Zapatrzeni w poszczególne przedmioty nauczania, traciliśmy z oczu właściwy przedmiot naszej pracy — duszę wychowanka. Formy dydaktyczne poczęły się stawiać czemś oderwanem od głównego celu, dla którego miały być tylko środkiem. W sferach pedagogicznych począł się utrzymywać typ szkolarza biurokraty, dla którego szkoła nie tylko z konieczności czy niedoskonałości swojej, ale z zasady i reguły miała pozostać czemś, stojącym ponad i poza życiem.

Muszę teraz mówić rzeczy, które nie przypadną do gustu panom posłom z opozycji, a może nawet ich podrażnią. Nie mogę jednak tych rzeczy nie mówić, bo bez nich poglądu, który tu staram się wyłuszczyć, nie mógłbym przedstawić dostatecznie jasno.

Wiem, że Panowie nie lubią, gdy się stwierdza, że coś zmieniło się w Polsce na lepsze od maja 1926 r.

Dla mnie, proszę Panów, jednym z najdonioślejszych skutków przełomu majowego jest historycznej doniosłości przemiana, jaka się dokonała w naszych wewnętrznych stosunkach politycznych, a polegająca na tem, że kosztem, a częściowo i na gruzach partij politycznych, zwróconych ku obronie swych grupowych interesów, powstał obóz ideowy, hołdujący temu przekonaniu, iż pierwszą i najważniejszą obroną interesów zarówno poszczególnych grup społecznych, jako też interesów ogólnonarodowych jest wzmocnienie zrębów odzyskanego Państwa.

Wysoka Izbo! Gdyby szkoła polska miała pozostać poza życiem naszego narodu i państwa, to przemiana historyczna, o której mówię, przeszłaby nad nią, jak fala nad martwym kamieniem.

Wiem, że są tacy, którzyby sobie właśnie życzyli,

a taką skamieniałość szkoły wobec życia za rzecz normalną i pożądaną uważali.

Ludzie ci jednak są albo nieszczerzy, albo grubym ulegają złudzeniom.

Normalnej szkoły dzisiejszej nie da się ani chińskim murem od życia oddzielić, ani pod kloszem szklanym utrzymać.

I wychowujący, i wychowywani to przecież ludzie żywi, przynoszący do szkoły swoje uczucia i myśli, wzajemnie na siebie oddziaływający i poddający się działaniu otoczenia pozaszkolnego.

Czyż mam przypominać wymowne a smutne przykłady, w sposób nader jaskrawy dowodzące, jak wielkiem kłamstwem — chciałbym wierzyć, że tylko wielką ułudą — była apolityczność szkoły przed majem 1926 r.?

Od prądów, nurtujących życie zbiorowe społeczeństwa, nie da się szkoły uchronić. Chodzi więc tylko o to, czy szkoła ma być bezbronną wszelakich prądów igraszką, jak Łódź bez steru i busoli, czy też powinna jej przyswiecać jakaś jasna gwiazda przewodnia, ku której baraka szkolna winna dążyć wytrwale i konsekwentnie.

Sądzę, że tylko tak postawione pytanie może nam dać odpowiedź na rzeczywistości, a nie na fikcji opartą i myślę, że byłoby wskazane, aby wszyscy moi szanowni krytycy mieli tę rzeczywistość na uwadze, jeżeli chcą obiektywnie ocenić tendencje, które tak ostro atakują.

Z prądu ideowego, który wyzwoliły wypadki majowe, wzięliśmy do szkoły to, co uważaliśmy za posiadające główną wartość wychowawczą: postawienie dobra państwa ponad wszystkie inne doczesne pożytki.

Stąd zrodziło się hasło, formułowane w popularnym skrócie jako hasło wychowania państwowego. Rozumie my przez nie takie zorganizowanie i takie nastawienie pracy w instytucjach wychowania publicznego, aby rezultatem tego wychowania był obywatel przygotowany fizycznie, umysłowo, a zwłaszcza moralnie do ofiarnej służby dla państwa.

Jesteśmy przekonani, że w ten sposób stawiamy przed szkołą polską cel, według którego może ona

z całą świadomością dobierać materiał i środki wychowawcze i nie tylko być w ruchu, ale i poruszać się w pewnym określonym kierunku.

Wydaje nam się przytem, że cel, który stawiamy, jest zgodny z najistotniejszymi potrzebami narodu, który, po długiej niewoli odzyskawszy wolność, powinienby wszystko uczynić, aby tę wolność utrwalić i zabezpieczyć.

Jeszcze jedna uwaga. Proszę, niech ona nie będzie mi poczytana za megalomanię, bo ani mi przez myśl nie przechodzi, by nasze skromne i w bardzo początkowym stadium znajdujące się próby oceniać z perspektywy historycznej. Chcę tylko jaśniej oświetlić nasze tendencje.

Otóż sądzimy, że wysuwając jako cel wychowania publicznego dobro i potrzeby państwa, nawiązujemy nie do najlepszych naszych w dziedzinie wychowania tradycji, bo do wysiłków Komisji Edukacji Narodowej.

Ale panowie oponenci mówią: No, dobrze! Ostatecznie możnaby się zgodzić na to wasze hasło wychowania państwowego, ale cóż, kiedy wy w tem hasle utożsamiacie państwo z rządem, i w praktyce wasze wychowanie państwowe staje się wychowaniem partyjnym w kulcie dla będącego dziś u władzy rządu.

Przypuszczam, że zarzut ten pochodzi stąd, że z hasłem wychowania obywatelskiego łączymy kult dla osoby i czynów Marszałka Piłsudskiego. Ale trudno, proszę Panów, w mojem przekonaniu tylko zaślepione nienawiścią polityczną partyjnictwo może żądać wykreślenia z programu wychowania obywatelskiego postaci, która całowyciowej służby ofiarnej dla Państwa jest najlepszym symbolem i przykładem.

W mojem przekonaniu tylko zaślepione nienawiścią polityczną partyjnictwo może żądać od polskiego wychowawcy, by wychowywał młodzież w kulcie dla obcych bohaterów wojny światowej, a równocześnie ponurem milczeniem pokrywał postać największego bohatera naszej własnej wojny wyzwolenczej.

Wyznam szczerze i otwarcie, że takich zasad wychowania narodowego nigdy nie zrozumieć i że, dopóki

tylko będę miał wpływ na te sprawy, zawsze te zasady zwalczać będę.

Stawiając zarzuty o wprowadzaniu polityki na teren szkoły, panowie posłowie powołują się zazwyczaj na politykę personalną władz szkolnych, na przenoszenie i zwalnianie nauczycieli z powodów politycznych.

W sprawie tej miałem już sposobność określić swoje stanowisko, m. in. nawet i z tej trybuny, więc dzisiaj pozwolę sobie tylko dodać parę uwag w związku z głównym tematem mojego dotychczasowego przemówienia.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że wobec sfery zagadnień, w jakich dotychczas głównie obracała się szkoła polska, hasło wychowania obywatelsko-państwowego nie natychmiast i nie wszędzie liczyć może na pełne zrozumienie.

Nie chcemy go forsować wyłącznie przymusem; przeciwnie, pragniemy, aby zasady realizacji tego hasła były rezultatem zbiorowego wysiłku możliwie szerokich sfer nauczycielstwa.

Widocznie jednak hasło to niezupełnie pokrywa się z teorią, a zwłaszcza z praktyką wielu partij politycznych, skoro w sferach nauczycielskich natrafia ono na opór przede wszystkim ze strony tych pedagogów, którzy organizacyjnie i ideowo tkwią w walczących z rządem obozach politycznych.

Co w takich wypadkach mają czynić władze szkolne? Panowie oponenci powiedzą zapewne, że powinny ten stan rzeczy przyjąć do wiadomości i w imię wolności przekonań personelu nauczającego przyglądać się biernie szerzeniu się w szkolnictwie ideowej anarchii. Ja zaś uważam, że czynnikom odpowiedzialnym za stan rzeczy w Państwie dana jest do rąk władza nie dla fikcji, ani fałszywej zewnętrznej dekoracji, ani dla żonglerki w przetargach partyjnych, ale w celu dania im możliwości wykonania programu, jaki dla dobra państwa uważają za niezbędny.

Hasło wychowania państwowo-obywatelskiego ma dla nas m. in. i tę wartość i to znaczenie, że stanowi ono

naturalną platformę, na której możemy rozwiązywać zagadnienie t. zw. szkolnictwa mniejszościowego zgodnie z interesami Państwa i ogółu naszych obywateli niepolskiej narodowości. Jesteśmy dalecy od wszelkich zamiarów używania szkoły jako narzędzia do wynaradawiania.

Przeciwnie.

Utrzymujemy pewną liczbę szkół dla mniejszości narodowych bezpośrednio na koszt Skarbu Państwa, innym w miarę rozporządzalnych środków przychodzimy z pomocą.

Ale przedstawiciele mniejszości narodowych, a przede wszystkim wszyscy ich rzecznicy w polskim Sejmie i Senacie, powinni wreszcie uwierzyć, że możemy się porozumieć tylko na platformie wychowywania młodzieży w aktywnie lojalnym stosunku do Państwa Polskiego.

Wyznam szczerze, że gdy tu z tej trybuny przemawia jakikolwiek poseł, przedstawiciel ludności niepolskiej, o którego lojalnym stosunku do Państwa Polskiego jestem przekonany, to słucham go uważnie i zastanawiam się rzeczowo, co z wysuwanych przez niego postulatów można i należy uwzględnić.

Natomiast, gdy przemawia np. p. poseł Węłykanowicz lub kto inny z jego klubowych kolegów, to wyznam, że dość trudno mi się zdobyć na rzeczowy do tego przemówienia stosunek, bo nie wiem, czy to przemówienie jest dla mnie, czy wogóle dla polskiego Rządu przeznaczone, czy też na inny wewnętrzny lub zewnętrzny użytek. P. poseł Węłykanowicz wyrażał tu do mnie żal, że zamknąłem trzy gimnazja ukraińskie. Żal ten pod złym jest zwrócony adresem. To nie Wy, Szanowni Państwo, do Rządu, ale Rząd do Was ma prawo moralne mieć słuszną pretensję za ten stan umysłów wśród części młodzieży ukraińskiej, który zmusza Ministra Oświaty, po wyczerpaniu wszystkich innych środków, do zamykania szkół.

Albo — albo, Szanowni Państwo! Albo szczerze pragniecie możliwości spokojnej pracy kulturalnej w grani-

cach Państwa Polskiego, albo chcecie walki. *Tertium non datur!*

Ja ze swej strony przyrzekam Wam, że będę przeciwdziałał hodowaniu w młodzieży elementów walki z Narodem i Państwem Polskiem wszystkimi środkami, jakie mi prawo daje w ręce.

Z zagadnień, ściśle związanych z budżetem, chcę poruszyć jedno tylko, ale zasadnicze i dla całego budżetu Ministerstwa Oświaty i w roku najbliższym i w latach następnych zupełnie centralne.

Chcę mianowicie poinformować Wysoką Izbę, jak zapatruję się na możliwość realizacji powszechnego nauczania, pomimo anormalnie wielkiego przyrostu dzieci w wieku szkolnym.

Nie będę tał, że sytuacja, zwłaszcza w najbliższym roku szkolnym oraz w 2—3 latach następnych, będzie ciężka i trudna. Równocześnie jednak z najgłębszym przekonaniem stwierdzam, iż dziś niema jeszcze dostatecznych podstaw, by ją uważać za beznadziejną.

Jeszcze raz rzućmy okiem na cyfry.

Anormalny przyrost dzieci w wieku szkolnym rozpoczął się w 1928/29 r. i aczkolwiek trwać będzie aż do 1939/40 r., to jednak wzmagać się będzie tylko do 1932/33 r. Lata od 1930 do 1932 są latami największego przyrostu. Przyrost ten wynosi ponad 8% wobec $1\frac{1}{2}\%$ uważanego za normalny. W liczbach bezwzględnych wyraża się to przyrostem rocznym od 320.000 do 360.000. Ale już od 1933 r. przyrost, aczkolwiek ciągle jeszcze nienormalnie duży, pocznie jednak maleć. W 1933 r. wynosić ma już tylko 220.000 dzieci, w następnym 205.000, jeszcze w następnym 185.000 i t. d., aż w 1939/40 r. przyrost ma być już normalny, t. j. wynosić mniej, niż 100.000 dzieci.

Z liczb tych wynika, że największe trudności mamy w roku bieżącym oraz w dwóch latach najbliższych i, jeżeli nie zdobędziemy się na żadne nadzwyczajne środki zaradcze, pewna liczba dzieci w tych latach do szkół się nie dostanie.

Sądzę jednak, że gdy mamy stawiać sobie pytanie,

czy szkolnictwo powszechne w Polsce załame się, czy nie, to należy ten problem rozpatrywać nie w perspektywie 2—3 lat najtrudniejszych, ale w perspektywie przynajmniej całego tego okresu nienormalnego przyrostu liczby dzieci, t. j. w okresie najbliższego dziesięciolecia.

W ciągu tego okresu liczba dzieci w wieku szkolnym wzrośnie bardzo znacznie, bo o 2.000.000. Jakich nakładów potrzeba, aby cały ten przyrost dzieci objąć nauką szkolną?

Występują tu zagadnienia etatów nauczycielskich i lokali szkolnych.

Na owe 2.000.000 dzieci, licząc po 50 dzieci na nauczyciela, trzeba by liczbę sił nauczycielskich powiększyć o 40.000, czyli powiększać ją rocznie o 4.000.

Jest to liczba poważna, ale nie fantastycznie duża w porównaniu z tem, co dawaliśmy dotychczas.

W tej więc dziedzinie normalne rozwiązanie będzie zależało od tego, czy Skarb Państwa ten ciężar udźwignie.

Z tych dwóch potrzeb, t. j. potrzeby etatów nauczycielskich i potrzeby lokali szkolnych, uwagę pp. posłów zazwyczaj o wiele bardziej zaprzętała ta druga potrzeba.

W komisjach Sejmu i Senatu i przed rokiem i obecnie musiałem wyjaśniać, że z dwóch kryzysów, jakie nas czekają, kryzys braku etatów będzie znacznie ostrzejszy, niż kryzys braku lokali.

Zdaje mi się, iż z liczb, które podam, wyniknie jasno, że miałem rację.

Na owe 2.000.000 dzieci, jakie nam przybędą w ciągu najbliższego dziesięciolecia, licząc po 50 dzieci na jedną izbę szkolną, potrzeba nam tyleż izb, co i sił nauczycielskich, t. j. 40.000.

Oczywiście, nie znaczy to, żebyśmy musieli tyle tych izb w ciągu tych lat 10 zbudować.

Nie wszędzie, oczywiście, ale w pewnej liczbie wypadków można lokal na szkołę wynająć.

Poza tem na ten okres najgorszy można się pogodzić z tem, co normalnie nie jest pożądane, ale co już dzi-

siaj, zwłaszcza w większych miastach, jesteśmy zmuszeni stosować, mianowicie prowadzić naukę w jednej izbie na dwie zmiany, co daje nam możliwość obciążenia tej izby nie 50, ale setką dzieci.

Jeżeli więc przypuścimy, że z tych 40.000 izb nam potrzebnych $\frac{1}{4}$ zostanie wynajęta, a $\frac{1}{4}$ będzie pracowała na dwie zmiany, pozostaje nam do wybudowania w ciągu lat dziesięciu 20.000 izb, czyli po 2.000 izb rocznie.

Jest to liczba, do której już bardzo przysunęliśmy się w ostatnich latach. W 1930 r. wybudowano w kraju 1.756 izb szkolnych.

Przy rozpatrywaniu sprawy budowy szkół powszechnych występuje jeszcze jedno zagadnienie, w sferach pracowników Ministerstwa Oświaty, przyznam się, dość drażliwe. Chodzi o jakość i o związaną z tem kosztowność budynków szkolnych.

Nie zamierzam tu w najmniejszym nawet stopniu krytykować dotychczasowej w tej sprawie polityki Ministerstwa, za którą przecież, przynajmniej za ostatnie dwa lata, jestem sam odpowiedzialny.

Ale równocześnie jestem zdania, że na okres szczególnie wielkiego zapotrzebowania lokali szkolnych, który to okres, niestety, zbiega się u nas z okresem trudnego położenia gospodarczego, że na ten czas, powiadam, w mniej zamożnych gminach i miejscowościach możemy zejść z dotychczasowego typu budynku na typ tańszy, w koniecznych wypadkach nawet na typ prowizoryczny.

Obliczamy, że przy większem uwzględnieniu budownictwa drewnianego, przy zastosowaniu przytem częściowo robocizny szarwarkowej, koszt budowy jednej izby szkolnej można obniżyć bardzo znacznie, bo prawie do $\frac{1}{3}$ tych kosztów, jakie są podawane w ogłoszonych drukach publikacjach Ministerstwa.

Odpowiednie instrukcje są przez Ministerstwo przygotowane i będą mogły być zastosowane już w tegorocznym sezonie budowlanym.

Przy tak znacznem obniżeniu kosztów liczba potrzeb-

nych do wybudowania 2.000 izb rocznie nie wydaje się niemożliwa do zrealizowania.

Tak mniej więcej wygląda sytuacja, którą niektórzy nazywają załamaniem się szkolnictwa powszechnego w Polsce. Klucz jej, jak powiedziałem, leży w liczbie sił nauczycielskich.

Jeżeli liczba etatów w budżecie w najbliższych latach będzie się mogła podnosić w stosunku przeze mnie wskazanym, będziemy mogli opanować falę przyływu dzieci do szkół sposobem normalnym.

Jeżeli nie — będziemy musieli chwycić się środków nadzwyczajnych, przynajmniej w stosunku do potrzeb tych rzesz dzieci, które przez szkołę normalną przejść nie będą mogły.

Chciałbym w tej chwili tylko o jednym zapewnić Wysoką Izbę. Wobec tej trudnej, zwłaszcza na lata najbliższe, sytuacji — Ministerstwo, oczywiście, nie zachowuje się biernie.

Jeszcze przed rozpoczęciem się zapisów na najbliższy rok szkolny będą wydane zarządzenia, co czynić należy, aby możliwie wielka liczba dzieci znalazła się w szkołach.

Jeżeli się okaże, że dla opanowania tego t. zw. kryzysu szkolnego są niezbędne pewne normy prawne, wymagające decyzji tej Wysokiej Izby, przyjdziemy tu z niemi w czasie właściwym.

Na zakończenie tej sprawy pragnę jeszcze udzielić paru słów odpowiedzi tym szanownym oponentom, którzy byli łaskawi wyrazić tu swoje niezadowolenie z tego, że Rząd obecny jakoby zbyt mało uwagi i troski poświęcał sprawie szkolnictwa powszechnego.

Jeżeli o mnie chodzi, to ja nigdy nie ośmielę się twierdzić, że jakikolwiek Rząd uczynił dla spraw oświaty dostatecznie dużo. Potrzeby oświaty w Polsce są tak wielkie, że znalezienie jakiejś obiektywnej miary ich dostatecznego zaspokojenia jest niezwykle trudne. Sąd można sobie ułatwić chyba przez porównanie. Znowuż więc podzielmy dzieje odrodzonej Polski na dwa okresy: do i od 1926 r.

Wtedy się okazało, że w czteroleciu od 1922 do 1925 r. łącznie wybudowano izb szkolnych powszechnych 2.800, a w czteroleciu od 1927 do 1930 r. łącznie wybudowano tych izb 5.600. W czteroleciu od 1922 do 1925 r. łącznie Skarb Państwa udzielił gminom zasiłków i pożyczek na budowę szkół powszechnych w ogólnej sumie 14¹/₂ miliona zł., a w czteroleciu od 1927 do 1930 r. Skarb Państwa udzielił gminom zasiłków i pożyczek na ten sam cel w ogólnej sumie 38.200.000 zł.

W jednym 1929 r. Skarb dał na ten cel o 3 miliony więcej, niż w ciągu czterech lat okresu z przed 1926 r.

Oczywiście, jak powiadam, trudno jest stwierdzić, czy w którymkolwiek z tych okresów zrobiono wszystko, co należało, ale gdy chodzi o porównanie, to przytoczone przeze mnie liczby mają także swoją chłodną wymowę.

PRZEMÓWIENIE NA POSIEDZENIU SENATU

w dn. 5 marca 1931 r.

Wysoko Izbo! W dyskusji, która się tu toczyła, możnaby wyróżnić dwie części, dwie metody czy dwa typy. Jedna część była przeniknięta istotną troską o możliwie najlepsze rozwiązanie zagadnień oświaty i kultury w Polsce, o możliwie najlepsze rozwiązanie w tych naprawdę ciężkich pod względem ekonomicznym czasach. Oczywiście, do tej części pozytywnej zaliczam także i krytykę postępowania władz czy preliminarza budżetowego, o ile była to krytyka rzeczowa. Była i część druga czy też metoda druga dyskusji, polegająca na tem, że chodziło o to, ażeby Rządowi czy Ministrowi przedewszystkiem dokuczyć lub o ile możliwości zręcznymi posunięciami Rząd pod tym czy pod innym względem skompromitować. Wysoka Izba pozwoli, że wyżej będę sobie cenił tę pierwszą część dyskusji, ten typ pozytywny i dlatego przedewszystkiem do tej części przystąpię, odkładając odpowiedź na zarzuty, które z tej drugiej metody wynikają, na koniec swojego przemówienia. Nawet w tej pierwszej części dyskusji były tutaj poruszone zagadnienia naturalnie i takie, które były już poruszone w tym roku w dyskusji w naszej Izbie poselskiej. Panowie senatorowie może pozwolą, że jeżeli chodzi o te sprawy, w których przemawiałem już w Sejmie, to tutaj powtarzać się nie będę, natomiast swoje dzisiejsze przemówienie poświęcę tym zagadnieniom, o których tam nie mówiłem, a które w po-

zytywnej części dyskusji dzisiejszej znalazły swój wyraz wybitny.

Mam tu na myśli dział wyznań religijnych oraz działy nauki.

Wysoka Izbo! Znanie jest stare, dziś już chyba przestarzałe przekleństwo-przysłowie: „Bodajbyś cudze dzieci uczył!“ Uczyłem kiedyś dzieci cudze, i to w liczbie pokaźnej, a jednak czasy te wspominam mile i zupełnie nie wydaje mi się, żeby to złorzeczenie w czasach dzisiejszych było jeszcze uzasadnione i aktualne.

Natomiast, pełniąc obowiązki urzędu, który od lat dwóch mam zaszczyt sprawować, jeżeli nie z każdym dniem, to napewno z każdym miesiącem — mamy wszak budżetowanie miesięczne — coraz bardziej dochodzę do przekonania, że owo już dziś pozbawione złośliwej treści życzenie należałoby zmienić na następujące: „Bodajbyś był ministrem oświaty w czasie kryzysu gospodarczego!“

Oświata i wogóle kultura w zdrowym organizmie narodowym i państwowym mają to do siebie, że nie znoszą zastoju, ani cofania się wstecz.

Ich naturalnym ruchem jest nieustanny postęp, nieprzeparte dążenie wzwyż. Ale, niestety, ten rozwój, nawet najbardziej duchowy, nie może się obejść bez prozaicznych środków materialnych. Gdy te poczynają się kurczyć, potrzeby kultury odczuwają to jak działanie sztucznego a dokuczliwego hamulca, który naturalne prawa życia chce gwałcić przemocą.

Wysokiej Izbie dobrze wiadomo, że w takim właśnie okresie w tej chwili jesteśmy i że w takiej właśnie sytuacji ustalamy preliminarz budżetu na rok następny.

Ale gdy chodzi o troski i kłopoty dzisiejszego ministra oświaty w Polsce, to wynikają one nietylko z samego kryzysu gospodarczego. Potęgują się one niezmiernie wskutek szczególnie niefortunnego zbiegnięcia się w czasie dwóch zawadzających sobie wzajemnie zjawisk: z jednej strony kryzysu gospodarczego, a z drugiej — daleko od zwykłych norm odbiegającego przyrostu dzieci w wieku szkolnym.

Mógłby kto powiedzieć, że w chwili obecnej co najmniej dwóch ministrów w Polsce ciężko przeżywa klęskę urodzaju: minister rolnictwa, skłopotany nadmiarem płodów rolnych na szerokim świecie, i minister oświaty, mający trudności z pomieszczeniem w szkołach całego przybytku dzieci.

Ale jeżeli pomimo to niedorzecznością czy bluźnierstwem byłoby modlenie się do Boga o łaskę nieurodaju w rolnictwie, to stokroć większym bluźnierstwem byłoby narzekanie na nadmiar dzieci w Polsce. Przeciwnie, niechaj będą błogosławione te tysiące i miliony jasnych główek naszych najmłodszych obywateli, którzy się teraz tłumnie do krynicy oświaty garną, bo w wielkiej ich liczbie leży pierwszy zadek naszej — da Bóg — świetlanej przyszłości.

Słyszy się u nas czasem spory na temat, co przedewszystkiem powinno być otoczone szczególną opieką i troską Rządu: czy szkolnictwo najniższe, kultura szerokich mas, czy kultury tej szczyty — szkolnictwo najwyższe, nauka i sztuka.

Są to spory zupełnie akademickie. Odpowiedź może być tylko jedna: *et haec facienda, et illa non o mittenda*. Jedno dla drugiego jest konieczne, jedno z drugim jest organicznie związane.

Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy szczyty kultury można było budować jak wysokie a samotne latarnie morskie na fundamentach skał, schowanych pod poziomem morza. Dziś szczyty kultury wznoszą się trwale i pewnie tylko tak, jak najwyższe szczyty górskie: wyrastają one na bogatym fundamencie rozległych wyżyn, zawsze w licznej towarzystwie gór pomniejszych, zawsze w systemie całych łańcuchów gór.

To też błąd nie do darowania popełniałby ten, kto wpatrzony w potrzeby wierzchołków kultury, zapominałby o niezbędnych potrzebach kultury elementarnej. Człowiek ten budowałby na piasku.

Ale nie byłby mądrzejszym i ten, kto, wkładając cały wysiłek w podniesienie kultury najszerzych mas, zaspokojenie potrzeb wyżyn kulturalnych odkładałby na

później. Przypominałby on tego, o którym Mickiewicz powiedział:

„Głupiec mówi, niech sobie źródło wyschnie w górach, byleby mi płynęła woda w miejskich rurach“.

Bo przecież nawet ta najbardziej elementarna kultura duchowa, bo przecież praca nawet najniżej zorganizowanej szkoły powszechnej ma wtedy dopiero rację bytu i sens, gdy czerpie ze źródeł, co na wyżynach kultury się rodzą.

Ta konieczność pogodzenia obu rodzajów potrzeb, konieczność utrzymania tej specyficznej równowagi między potrzebami oświaty elementarnej a potrzebami twórczości naukowej i artystycznej — stanowi jedną z największych trudności przy układaniu preliminarza budżetu Ministerstwa W. R. i O. P.

Nie twierdzę, że nie kryją się tutaj żadne niebezpieczeństwa. Przeciwnie, już przed rokiem na komisji budżetowej Sejmowi pozwoliłem sobie zwrócić uwagę, że zwłaszcza w latach najbliższych przy układaniu preliminarza budżetu Ministerstwa Oświaty trzeba bacznie zwracać uwagę na to, by rozrastające się z siłą niemal żywiołową szkolnictwo powszechne nie unicestwiło możliwości należytego dotowania innych działów szkolnictwa, a w szczególności szkolnictwa wyższego.

Dotychczas szkolnictwo wyższe z tej *sui generis* walki wychodziło ręką obronną. Jego stan posiadania wzrastał dość szybko zarówno w siły pracownicze, jak i w zasoby materialne.

Naprzykład, w ciągu ostatnich lat czterech liczba katedr w naszych państwowych szkołach akademickich powiększyła się o 29. Liczba etatów pomocniczych sił naukowych, t. j. licząc tylko adjunktów i starszych asystentów, wzrosła w tym samym czasie o 183.

Nieomal od zarania naszej niepodległości w sferach naszych uczonych był i jest jeszcze duży niepokój z powodu zbyt małego przyrostu młodych sił naukowych. Jednakże intensywna akcja stypendjalna zarówno ze strony Ministerstwa, jak i Funduszu Kultury Narodowej sprawiła, że dziś, jeżeli sprawę tę brać, że tak powiem,

ryczałtowo i sądzić o niej na podstawie liczby dokonanych w ostatnich latach habilitacyj, niema zbyt uzasadnionych powodów do pesymizmu. W tem samem, ostatniem czterolecu, liczba zatwierdzonych przez Ministra aktów habilitacyjnych doszła do 237, co daje przeciętnie około 60 habilitacyj rocznie. W ostatnim roku liczba ta wynosi 66.

To są objawy raczej pocieszające.

Ale, niestety, są i takie, które przy przeglądaniu odpowiedniej części nowego preliminarza budżetowego dużą napełniają troską.

Przedewszystkiem więc smuci niskość sumy przeznaczonej na inwestycje budowlane. Pomimo dość żywej w tej dziedzinie dotychczasowej akcji Rządu, akcja budowlana nie mogła podążyć za wzrostem potrzeb. I dziś jest istotnie położenie takie, że prawie wszystkie nasze szkoły akademickie, jeżeli nie w całości, to w części, formalnie duszą się w dotychczasowych lokalach.

Szanowny Prezes Komisji Skarbowo-Budżetowej, p. senator dr. Popławski, w swoim świetnem przemówieniu, wygłoszonem w dniu wczorajszym z tej trybuny, chwalił naszego Ministra Skarbu m. in. za to, że ma on węża w kieszeni. Skwapliwie przyłączam się do tych wyrazów uznania, ale równocześnie sądzę, że to, co u Ministra Skarbu jest zasługą i cnotą, u Ministra Oświaty byłoby niekiedy grzechem. Takie mając przekonanie, przynajmniej w znacznej części usprawiedliwiam i siebie samego, i swych poprzedników, że z pozycji zasiłków na naukę w dobrych latach budżetowych szafowali wcale hojnie.

Dla przykładu podam, że w 1929/30 r. najpoważniejsza, ale i najzasobniejsza z naszych instytucyj naukowych, mianowicie Polska Akademia Umiejętności, otrzymała z budżetu Ministerstwa Oświaty zasiłków na ogólną sumę 352.000 zł. (liczę w to już wszystko, a więc i częściowo pokrycie przez Skarb Państwa wydatków na personel Akademji, na nasze stacje naukowe zagranicą, na udział w międzynarodowych związkach naukowych

i t. d.). W tym samym roku Warszawskie Towarzystwo Naukowe otrzymało jeszcze więcej, bo 426.000 zł., zresztą głównie na przebudowę pałacu Staszica i na Instytut Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego. Kasa im. Mianowskiego otrzymała w tymże roku 195.000 zł. i t. d.

Jak powiadam, trudno komukolwiek czynić z tego powodu zarzuty. Przeciwnie, cieszyć się należy, że sumy te zostały użyte tak produkcyjnie, bo na popieranie naszej twórczości naukowej.

Ale, gdy się tak poważne zasiłki ma na uwadze, jasnym się staje, że praca instytucyj, które z tych zasiłków korzystały, po znacznym tychże zasiłków obniżeniu może ulec pewnemu zahamowaniu. W gorszym jeszcze położeniu znajdują się te instytucje, dla których prawie jedynym źródłem dochodów były zasiłki ze Skarbu Państwa, a i takie istnieją.

Mówię to wszystko nie dla żalów i rekryminacyj, ale żeby wyprowadzić jeden wniosek praktyczny. Instytucje naukowe, korzystające z zasiłków państwowych, muszą posiadać organizację swej pracy o tyle elastyczną, aby bez powodowania dezorganizacji mogły się przystosować do aktualnych możliwości finansowych Skarbu, które to możliwości, jak nas twarde doświadczenie poucza, nie są ani stałe, ani zawsze zdolne do wzrostu.

Zresztą i w budżetach instytucyj państwowych są, niestety, również pozycje, o których trzeba powiedzieć to samo. Do nich należy przede wszystkim owa pozycja t. zw. dotacyj naukowych, przeznaczona właściwie na potrzeby laboratoriów, pracowni, seminarjów i t. p. Zbyt daleko idące okrawanie tej pozycji czy to w preliminarzu, czy w planach miesięcznych powoduje szkody trudne do powetowania, bo ograniczanie albo i zupełnie zahamowanie pracy profesorów i studentów.

Przyznam się, że gdy chodzi o radykalne zabezpieczenie się przed tego rodzaju ewentualnościami, to w tej chwili nie widzę innego sposobu, jak tylko podniesienie na ten cel dochodów ze źródeł pozabudżetowych.

Myslę, że po tem, co powiedziałem, nie potrzebuję

zapewniać, z jak wielkiem zadowoleniem, a nawet wdzięcznością, przyjmuję proponowaną przez Komisję Skarbowo-Budżetową poprawkę powiększenia obu omawianych przeze mnie pozycji na ogólną sumę 600.000 zł.

Ale równocześnie tem bardziej żałuję, że w ramach budżetu Ministerstwa W. R. i O. P. nie znajduję żadnych możliwości podniesienia preliminarza wydatków na sztukę.

Ani ja, ani moi współpracownicy w Ministerstwie nie chcemy traktować sztuki jako zbytku, którego w ciężkich czasach można się wyrzec. Przeciwnie, chcemy w niej widzieć najwyższy wykwit kultury, który przecież wobec następnych pokoleń świadczyć będzie o poziomie naszej epoki.

To też szczerze wyznaję, iż nie daje nam spokoju myśl, że odrodzone Państwo Polskie dotychczas nie znalazło odpowiednich form i środków na roztoczenie dostatecznej opieki nad sztuką. Rozumiemy zaś, dlaczego tylko częściowo usprawiedliwiać nas może fakt, że problem opieki państwa nad sztuką należy do najtrudniejszych i że można bez przesady powiedzieć, iż niema państwa, w którymby ten problem był uregulowany w sposób wzorowy.

Prawda, że w państwie o ustroju demokratycznym przewaga wysiłków rządu w opiece nad sztuką musi opierać się raczej na szerzeniu kultury artystycznej w szerokich masach, niż na pomocy indywidualnej dla artystów.

Rezultaty, osiągnięte w podniesieniu kultury artystycznej mas, wpływają na konsumpcję sztuki, która pośrednio odbija się na dobrobycie artystów. A właśnie to podniesienie kultury artystycznej mas łączy się ściśle z działalnością oświatową Ministerstwa W. R. i O. P.

W ten sposób zamyka się to koło wzajemnie zasilających się prądów, o którym mówiłem na początku. Ale, oczywiście, to nie wyczerpuje należycie pojmowanych obowiązków państwa wobec sztuki, jako potężnym wpływem obdarzonej wychowawczyni społeczeństwa.

Zresztą, nie do wszystkich działów sztuki stosunek państwa w jednakowych może wyrażać się formach.

Gdy chodzi np. o plastykę lub muzykę, to państwo śpieszy im z pomocą m. in. w formach podobnych, w jakich pomaga nauce, t. j. przede wszystkim przez utrzymanie zakładów naukowych, będących warsztatami pracy dla twórców i szkołami dla młodych adeptów.

W innych warunkach pozostaje literatura.

W tej dziedzinie jest jeszcze prawie wszystko do zrobienia. To też z uwagą przysłuchuję się postulatam, wysuwanym przez nasze bezpośrednio zainteresowane sfery literackie.

Nie mogę nie stwierdzić, że niektóre z tych postulatów wydają mi się zupełnie celowe i słuszne.

A jeżeli jeszcze w tej chwili waham się z nimi już jako z gotowymi projektami ustawowemi wystąpić, to przede wszystkim dlatego, iż nie chciałbym, aby towarzysząca obecnemu kryzysowi gospodarczemu niechęć opinii publicznej do wszelkich nowych wydatków zaciążyła zbytnio na tych projektach i zepchnęła pomysły na ten niski stopień realizacji, na którym nie miałyby już one rzetelnej wartości.

Przechodzę teraz do dziedziny wyznań religijnych. Mówię o nich na końcu nie dlatego, abym nie doceniał olbrzymiej moralnej i politycznej wagi tych spraw, ale dlatego, że w rozległym resorcie, którym mam zaszczyt kierować, jest to dziedzina z państwowego punktu widzenia odrębna, wymagająca odmiennych metod działania i zakresem swych zagadnień wybiegająca daleko poza resort, za który osobiście odpowiedzialność ponoszę.

Przytem jest to dziedzina w naszych polskich stosunkach niezwykle złożona i trudna.

Występują tu co najmniej trojakiemu rodzaju trudności.

Przedewszystkiem państwo nasze przedstawia pod względem wyznaniowym rzadko spotykaną mozaikę.

Prawda, że mniej więcej $\frac{2}{3}$ ludności naszego państwa wyznaje jedną religję, której też konstytucja nasza

przyznaje naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań, ale nawet w katolicyzmie mamy do czynienia z trzema oficjalnie uznanymi obrządkami, z których jeden, grecko katolicki, tworzy swoisty $3\frac{1}{2}$ miljonowy odłam o wyodrębnionej hierarchji, o bardzo specyficznych właściwościach i o wybitnej fizjognomji narodowościowej.

Pomijam w tej chwili próby wytworzenia w naszym katolicyzmie nowego, nieprzewidzianego w konkordacie, czwartego obrządku, t. j. wschodnio-słowiańskiego, zwanego też przez czynniki watykańskie bizantyńskim.

Pomijam tę sprawę dlatego, że, jak to już oświadczył p. Minister Spraw Zagranicznych w komisji sejmowej, jesteśmy obecnie w stadjum rozmów z Stolicą Apostolską w sprawie tego obrządku i deklarowanie stanowiska Rządu w tej Wysokiej Izbie byłoby w tej chwili przedwczesne.

Poza katolicyzmem mamy u nas do czynienia z licznymi bardzo odłami ludności prawosławnej i żydowskiej, wynoszącymi razem prawie czwartą część zaludnienia Państwa. Mamy dalej odłam protestancki, podzielony na pięć głównych denominacyj. Mamy wreszcie cały szereg pomniejszych związków wyznaniowych, jak staroobrzędowcy, karaimi, mahometanie, oraz kilkadziesiąt sekt i nieuznanych grup wyznaniowych, liczących od kilkudziesięciu tysięcy zwolenników do dosłownie kilkunastu osób.

Ta różnorodność wyznaniowa tworzy pierwszy rodzaj napotykaných w tej dziedzinie trudności.

Drugi wynika z faktu, że w każdej części Rzeczypospolitej mamy nietylko odrębne ustawodawstwo wyznaniowe, lecz że spotykamy się tam również z odrębnością typów wyznaniowych w łonie prawie wszystkich wyznań. Na wytworzenie tego stanu rzeczy złożyło się 150 lat niewoli pod panowaniem trzech zaborców, którzy reprezentowali co najmniej dwie zupełnie różne kultury, co najmniej trzy odrębne systemy i pozostawili nam w spadku cztery kodeksy prawne, regulujące

w cztery różne sposoby stosunki wyznaniowe na obszarze naszego dzisiejszego państwa.

Wreszcie trzeci rodzaj trudności w dziedzinie wyznaniowej jest skutkiem samej tej epoki przełomowej, którą przeżywa nasze powojenne pokolenie. W pojęciach i psychice nowoczesnego człowieka odbywa się głęboki proces przewartościowania tych przesłanek, na których budował on dotąd swe życie materialne i duchowe.

Nie jest mojem zadaniem przedstawiać tu całokształt tego niezmiernie ciekawego i pewno w daleką przyszłość sięgającego procesu, który niewątpliwie odbywa się również i w dziedzinie nas tu interesującej.

Jedynie dla przykładu zwrócę uwagę na dwa charakterystyczne momenty, dające się zauważyć w dzisiejszym życiu religijnym.

Przedewszystkiem więc spostrzec można pogłębienie tego życia wśród tak zwanych elit intelektualnych oraz szukanie wogóle nowych form ustrojowych dla organizacji religijnych. A gdy chodzi o samą religijność, to wydaje się, że coraz wyraźniej przestaje ona być wynikiem życia zbiorowego, tradycji, rutyny i uczuciowego sentymentalizmu. Natomiast otrzymuje się wrażenie, że coraz bardziej staje się ona rezultatem osobistej zdobyczy jednostki, która dochodzi do religii poprzez ciężki trud, a niekiedy i bolesne zmagania się z sobą.

Ale równocześnie występuje i inny charakterystyczny fakt naszej epoki, a mianowicie specyficzna trudność dla nowoczesnego człowieka zmieszczenia się w ramach wyraźnie postawionych dogmatów i poddania się dyscyplinie ściśle ustalonego systemu religijnego.

Te i tym podobne zjawiska i objawy spotykamy we wszystkich wyznaniach. Widzimy je w rozmaitych fazach, w rozmaitych postaciach i napięciach. Wytwarzają one ferment wewnętrzny i stan ciągle powtarzających się, a nigdy niezakończonych całkowicie procesów, co właśnie stwarza ten trzeci rodzaj trudności, spotykanych w dziedzinie wyznaniowej.

W tych wszystkich warunkach praca nad unormowaniem stosunków wyznaniowych w państwie jest trud-

niejsza niż kiedykolwiek. Ale pomimo to, a może właśnie dlatego, Rząd, do którego mam zaszczyt należeć, ma dobrą, a śmiem twierdzić, że i mocną wolę, aby ta praca możliwie szybko posuwała się naprzód.

Dotknę pokrótce najbardziej aktualnych zagadnień naszych najważniejszych wyznań.

Jeszcze w stosunkowo najbardziej uregulowanych warunkach znajduje się u nas katolicyzm. Stosunki z tem wyznaniem oparte są, jak wiadomo, na zawartym w 1925 r. konkordacie.

Niestety, nie mogę się tu powstrzymać od wypowiedzenia jednej uwagi. Proszę jej nie traktować jako krytyki pod adresem autorów konkordatu, gdyż z całym uznaniem myślę o tem, że w tak stosunkowo krótkim czasie zdołali oni wykonać wielką i niełatwą pracę.

Ale gdy się chce przedstawić rzeczywistość w całej jej prawdzie, to nie można przemilczeć faktu, że zawarty w 1925 r. konkordat bynajmniej nie wszystkie ważne i trudne sprawy uregulował i rozstrzygnął. Przeciwnie, ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że właśnie sprawy najtrudniejsze, a przynajmniej najdrażliwsze zostały odłożone do późniejszych pertraktacyj i układów.

Oto niektóre z nich: sprawa dostarczenia Kościołowi źródeł dochodu na potrzeby parafjalne przez specjalne opodatkowanie wiernych, sprawa tak zwanych dóbr poduchownych, sprawa budynków, znajdujących się dziś w posiadaniu Państwa, a których Kościół został pozbawiony przez rządy zaborcze, sprawa zastosowania do ziem kościelnych ustawy o reformie rolnej i t. d.

Każda z tych spraw ma to do siebie, że bardzo łatwo ją rozstrzygnąć, jeżeli się ma na widoku albo wyłącznie interesy Kościoła, albo wyłącznie interesy Państwa. Rząd, a ośmielę się twierdzić, że i Stolica Apostolska, stoją na stanowisku, że przy rozstrzyganiu każdej z tych spraw trzeba mieć na względzie równocześnie interesy Kościoła i Państwa. Ale właśnie znalezienie takiego rozstrzygnięcia w każdej z tych spraw wymaga już nie tylko dobrej woli, ale i dużej pracy i pewnego czasu.

Dlatego też wszystkich tych, którym zależy zarówno na interesach Kościoła, jak i Państwa, w tej chwili muszę jeszcze prosić o cierpliwość.

Dotychczasowy przebieg pracy przedstawicieli Rządu z delegatami Stolicy Apostolskiej pozwala mi sądzić, że ta cierpliwość nie będzie wystawiona na zbyt ciężką próbę.

Drugiem z kolei pod względem liczebności wyznawców jest u nas, jak wiadomo, wyznanie prawosławne. Rząd z całą stanowczością i świadomością rzeczy dąży do uregulowania położenia prawnego tego wyznania na nowych podstawach, odpowiadających jego rzeczywistym potrzebom i jego godności Autokefalicznego Kościoła. W trosce o dobro swych obywateli prawosławnych i uznając, że w wewnętrznym ustroju Kościoła prawosławnego jest wiele spraw dojrzałych, już do wprowadzenia w życie, zaś innych do poprawienia, — Rząd wszedł na drogę dokonania tych ważnych przemian zapomocą Soboru Generalnego. Umożliwi on najlepszym synom Kościoła prawosławnego — duchownym i świeckim — wykonanie tych prac swemi własnymi siłami pod kierownictwem swej hierarchji i w zgodzie z potrzebami zarówno samego Kościoła, jak i Państwa. Dla należytego przygotowania prac Soboru Generalnego powołane zostało Przedsoborowe Zebranie, które obecnie w swych komisjach przygotowuje odpowiednie materiały i referaty.

Odnosnie do postępu tych prac, a zwłaszcza terminu zwołania Soboru, również z niektórych stron spotykamy się z odgłosami zniecierpliwienia. Mogę Wysoką Izbę zapewnić, że Rządowi bardzo zależy na możliwie szybkim tych prac postępie. Ale Rządowi niemniej zależy i na tem, aby Sobór Generalny, który ma być doniosłym zdarzeniem historycznym w dziejach Kościoła prawosławnego w Polsce, był przygotowany naprawdę starannie i sumiennie. A ma on przecież być poświęcony zagadnieniom skomplikowanym i wymagającym gruntownego przepracowania. Dziwić się więc nie można, że prace te nie idą w tempie błyskawicznym. Sądzę nawet, że zbyt ni pośpiech mógłby tylko samemu Soborowi,

a w konsekwencji i sprawie Kościoła prawosławnego zaszkodzić.

Pozwolę sobie tutaj przypomnieć, że sprawy soborów nigdy nie szły i iść nie mogły zbyt szybkim tempem. Do Soboru Watykańskiego Rzym przygotowywał się długich kilka lat, mimo usilnej pracy całego szeregu wybitnych i uczonych specjalistów. W Rosji przedwojennej komisja, mająca opracować projekt zwołania Soboru, pracowała nad nim od 1905 do 1910 r. i tylko poto, aby projekt był wreszcie odrzucony. W Rumunii zużyto pięć lat na prace przygotowawcze, nim wreszcie Sobór doszedł do skutku. W Serbji aż lat osiem.

Ale proszę się nie przerażać temi przykładami.

Mam wszelką nadzieję, że potrafimy przygotować Sobór w czasie znacznie krótszym, niż wszystkie cytowane przeze mnie przykłady i że niedaleki już jest czas, kiedy wszystkie sprawy Kościoła prawosławnego w Polsce zostaną uregulowane ostatecznie.

Z pośród spraw, dotyczących innych wyznań chrześcijańskich, zaznaczę, że jesteśmy w trakcie przygotowywania, między innemi, projektu ustawy, regulującej położenie prawne wyznania ewangelicko-augsburskiego.

Położenie prawne wyznania mojżeszowego uregulowało zasadniczo rozporządzenie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z mocą ustawy z dnia 14 października 1927 r. Brakowało tu jednak również szeregu postanowień natury wykonawczej dla zupełnego unormowania całokształtu życia tego wyznania. W tym celu ostatnio wydane zostały dwa rozporządzenia: regulamin wyborczy organów zarządzających gmin wyznaniowych żydowskich i regulamin wyborów rabinów i podrabinów. Pierwsze z tych rozporządzeń umożliwia przeprowadzenie wyborów w tych gminach, w których kadencje organów gmin już upłynęły. Dotyczy to przedewszystkiem województw centralnych, gdzie wszystkie 400 gmin wyznaniowych żydowskich czekały na możliwość odnowienia swych organów. Drugie rozporządzenie umożliwia przeprowadzenie wyborów rabinów, które dotychczas dla braku odnośnych przepisów nie mogły się odbywać.

Wzmiankowane wyżej rozporządzenia nie wyczerpują całokształtu potrzeb wyznaniowych gmin żydowskich. Rozporządzenia te są pierwszymi z całego szeregu innych, które jeszcze wydane być muszą, a które obejmą resztę najbardziej żywotnych spraw z życia tych gmin.

Oto dobiegam końca w moim przeglądzie spraw wyznaniowych, które starałem się możliwie w pełnym skrócie Wysokiej Izbie przedstawić. Z tego przeglądu wynika, że prace w tej dziedzinie postępują etapami i rozciągają się na dłuższy okres czasu. Powody tego są zarówno natury ogólnej, jak specyficznie wyznaniowej.

Powody ogólne są dobrze znane, bo identyczne we wszystkich dziedzinach życia państwowego: musimy jako nowopowstałe Państwo w skomplikowanych warunkach nowoczesnego życia normować i często stwarzać rzeczy, na które w innych państwach składały się długie lata tradycji, badań i doświadczeń.

Dodać do tego należy, że każda polityka wyznaniowa jest szeregiem posunięć niezmiernie ważnych i nad wyraz delikatnych. Musi ona bowiem znaleźć sposób godzenia interesów Państwa z podstawowymi i często bardzo subtelnymi, a niezwykle zróżniczowanymi co do swego rodzaju i stopnia potrzebami obywateli. Trudności tej polityki są duże, a praca w tej dziedzinie bardzo odpowiedzialna. Dlatego też prawdopodobnie jeszcze lata całe przeminą, nim na tym odcinku życia sprawy wszystkie mieć będziemy uregulowane we wszystkich szczegółach i tak, że będą one odpowiadały potrzebom czasów dzisiejszych.

Chciałbym tylko na zakończenie tego swojego pobieżnego sprawozdania zapewnić Wysoką Izbę, że i w tej dziedzinie, jak zresztą w każdej innej, krokami Rządu kieruje nakaz moralny, który złotemi głoskami świeci i w tej Wysokiej Izbie.

Mam przekonanie, że w tym tak niezwykle obfitym kompleksie bardzo złożonych i trudnych zagadnień nie gubimy się i nie zgubimy, bo nas prowadzi wyraźny cel, któremu na imię

„salus Reipublicae“.

BUDOWA POLSKIEJ KULTURY

WYKONANIE PRAC

WYDAWCA

BUDOWA POLSKIEJ KULTURY

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI POŚWIĘCENIA KAMIENIA WĘGIELNEGO GMACHU SZKOŁY GRAFIKÓW

w dn. 14 września 1928 r.

W imieniu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wyrażam jak najgorętsze pragnienie, aby dzieło, które rozpoczynamy obecnie, rozwijało się jak najpomyślniej. Niech gmach, którego kamień węgielny dzisiaj zakładamy, rośnie jak najszybciej i jak najpiękniej, niech jak najprędzej nadejdzie chwila, kiedy w gmachu tym zapanuje życie, ruch i praca, skierowana do nader pożytecznego celu, jakiemu gmach ten ma służyć.

Przy tej sposobności niech mi wolno będzie wyrazić najwyższe uznanie Towarzystwu Kształcenia Zawodowego Grafików, a w szczególności jego kierownikom. Uznanie to wyrażam nie tylko z obowiązku urzędowego, ale i z poczucia obowiązku obywatelskiego, ponieważ wszyscy, przypuszczam, godzimy się na to, że w naszym kraju na szczególne uznanie zasługuje każda inicjatywa obywatelska, która nie jest t. zw. słomianym ogniem, ale która konsekwentnie i wytrwale zmierza do raz powziętego celu.

Towarzystwo Kształcenia Zawodowego Grafików, które 10-go roku swego istnienia zakłada murowane podwaliny pod dalszą swą działalność, składa najlepszy do-

wód, że do wytkniętego sobie celu wytrwale dążyć potrafi.

Jestem przekonany, że połączone wysiłki Rządu i inicjatywy społecznej w postaci Towarzystwa Kształcenia Zawodowego Grafików doprowadzą do tego, iż nastąpi chwila, kiedy zostanie nawiązana nić tradycji do tych pięknych czasów naszego Wieku Złotego, kiedy to grafika polska była chlubą naszej kultury, kiedy to z oficyn drukarzy polskich wychodziły dzieła budzące jeszcze dzisiaj podziw znawców i rozkosz miłośników.

Pełen nadziei, że chwila nawiązania tej nici nie jest daleka, jeszcze raz serdecznie gratuluję i życzę pomyślnej i pięknej przyszłości.

PRZEMÓWIENIE NA OTWARTCIU ODDZIAŁU WOLNEJ WSZECHNICY POLSKIEJ W ŁODZI

w dn. 28 października 1928 r.

W imieniu Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a jeśli mi wolno, to i w imieniu własnym, — składam serdeczne życzenia jak najpomyślniejszego rozwoju Wolnej Wszechnicy Polskiej wogóle, a jej Oddziału Łódzkiego w szczególności.

Składając te życzenia, pragnę bardzo, aby były one rozumiane nie jako spełnienie banalnego obowiązku urzędowej grzeczności, ale jako wynik właściwego — jak sądzę — pojmowania roli, jaką w życiu kulturalnym Polski Wolna Wszechnica odegrać może i jaką odegrać się stara.

Żyjemy w okresie głębokiego przewartościowania wartości pedagogicznych, zwłaszcza dydaktycznych i organizacyjno-szkolnych. Wołanie o reformę wychowania publicznego jest na ustach prawie wszystkich i to nie tylko w Polsce, ale na całym kulturalnym świecie.

Dziś można już twierdzić, że prąd reformy atakuje wszystkie stopnie ustroju szkolnego, ale trzeba przyznać, że nie z jednakową siłą i nie z równym skutkiem.

Stosunkowo szybkie postępy poczyniła reforma w ostatnich dziesięcioleciach i ciągle jeszcze czyni na terenie szkolnictwa początkowego. Idący z duchem czasu dzisiejszy nauczyciel szkoły powszechnej pracuje naogół inaczej, niż jego poprzednik z przed lat dwudziestu

pięciu, a jak u nas w Polsce, inaczej nawet, niż on sam pracował przed laty piętnastu, a nawet dziesięciu. Zmieniły się formy pracy wewnątrz szkoły początkowej, przede wszystkim jednak znaczne zmiany uległy poglądy na cele i zadania społeczne tej szkoły i na wartość jej różnych form organizacyjnych. Co ciekawsze, że cała ta reforma odbywa się stosunkowo gładko, t. j. bez większych trudności, chciałbym powiedzieć — bez większego bólu.

Nie można już tego powiedzieć o przebiegu reformy na terenie szkoły średniej. Na tym terenie reforma nie tylko natrafia na znacznie większy opór, nietylko wywołuje znacznie większą różnicę zdań, ale sprowadza za sobą dość ostre przesilenie samej szkoły, będące jednym z objawów tego złożonego zjawiska, które z dużą słuszością można nazwać chorobą dzisiejszej szkoły średniej.

Prąd reformy dotychczas prawie nie dotknął szkolnictwa wyższego, są już jednak znaki na niebie i ziemi, że nie zatrzyma się on u starych murów europejskich wszechnic. Potrzeby życia współczesnego wołać będą, wołają już dziś zbyt głośno i natarczywie, aby z lekkim sercem można było przejść nad nimi do porządku dziennego.

Ale jeżeli stwierdzamy, że niełatwą i nawet pewne przesilenie chorobowe wywołującą jest reforma szkoły średniej, to o ileż trudniejsze i o ile więcej oględności wymagające jest przeprowadzenie potrzebnych zmian na terenie szkolnictwa wyższego, t. j. tego szkolnictwa, które w znacznej mierze bezpośrednio decyduje o twórczości duchowej narodu.

I tu właśnie otwiera się bardzo wdzięczne pole pracy przed taką uczelnią, jak Wolna Wszechnica. Ona to przede wszystkim dlatego, że jest „wolna“, a więc nieskrępowana oficjalnymi przepisami, nieobarczona przytęmionymi z dalekiej przeszłości nałogami, może łatwiej i — powiedzmy — odważniej przystosowywać swą organizację i metody swej pracy do realnych potrzeb, o których zaspokojenie woła życie współczesne.

A ponieważ najlepszym dowodem możliwości rozwiązania trudnego zagadnienia jest zawsze przykład tego rozwiązania, Wolna Wszechnica Polska może odegrać niezmiernie pożyteczną rolę w trudnym problemie reformy szkolnictwa wyższego.

Jest mi szczególnie miło stwierdzić, że wszystko wskazuje na to, iż kierownicy tej uczelni dobrze sobie zdają sprawę z tych właśnie jej zadań. Takie fakty, jak istnienie na tej wszechnicy wydziałów, nieistniejących na żadnym z uniwersytetów państwowych, jak zorganizowanie w ramach Wydziału Pedagogicznego Studium Pracy Społeczno-Oświatowej — są najlepszym tego dowodem.

Oczywiście nie potrzebuję tutaj dodawać, bo kierownicy Wolnej Wszechnicy rozumieją to napewno nie gorzej ode mnie, że Wszechnica tylko pod tym warunkiem będzie mogła spełnić te doniosłe zadania, o których mówiłem, jeżeli zawsze utrzymywać będzie taki poziom pracy naukowej, jaki jej zapewni nie tylko uznanie całego oświeconego ogółu, ale i szacunek ze strony — że tak powiem — oficjalnych przedstawicieli nauki polskiej. Dlatego właśnie tem szczerzej życzę Wolnej Wszechnicy, aby poziom jej pracy był możliwie najwyższy.

Wreszcie, niech mi wolno będzie wyrazić jak najżywsze zadowolenie, że oddział Wolnej Wszechnicy powstaje właśnie w Łodzi.

Łódź, to ludne miasto, które za czasów zaborczych pod względem kulturalnym było traktowane gorzej, niż gdzie indziej traktuje się jakąś eksploatowaną kolonję zamorską, miasto, z którego chciano wszystko wycisnąć, by nic mu nie dać wzamian. A równocześnie przecież jest to miasto, które w czasie niewoli jak najżywiej reagowało przy każdej próbie zrzućcenia lub choćby rozluźnienia haniebnych więzów. Miasto, którego ulice są obficie zroszone krwią tych, którzy nie mogli żyć się z niewolą. Miasto, opromienione wspomnieniami podziemnej pracy wielkiego Wodza Narodu. Równocześnie jest to miasto, które już po odzyskaniu Niepodległości

świetnie wykazało swoją mocną wolę i szlachetną ambicję w dążeniu do podniesienia kultury duchowej swych mieszkańców choćby przez szybką i świetną organizację szkolnictwa powszechnego, pozostawiając pod tym względem daleko poza sobą wiele miast polskich, dumnych ze swych starych kulturalnych tradycji. Zaprawdę przyznać trzeba, że kulturze tego miasta należałoby poświęcić więcej uwagi, niż to dotychczas czyniono. Ale nawet tak myśląc, musimy się zgodzić, że kreowanie uniwersytetu państwowego w Łodzi w chwili obecnej nie byłoby ani możliwe, ani wskazane. Pod względem liczby wyższych uczelni państwowych doszliśmy, zdaje się, do ostatecznej granicy możliwości ich tworzenia bez równoczesnej konieczności niebezpiecznego obniżenia ich poziomu naukowego. Niektórzy twierdzą, żeśmy już nawet cokolwiek tę granicę przekroczyli.

Ale jeżeli tak jest, to tem żywsze uznanie należy wyrazić pod adresem kierowników Wolnej Wszechnicy za ich szczęśliwą inicjatywę ogarnięcia Łodzi pracą tej uczelni. Niechże więc ta praca rozwija się tu jak najpomyślniej, niechże wyda jak najpiękniejsze owoce dla tego miasta i całego kraju.

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE DOROCZNYM ZWIĄZKU ZAWODOWEGO NAUCZYCIELSTWA POLSKICH SZKÓŁ ŚREDNICH

w dn. 8 grudnia 1928 r.

Szanowni Państwo!

Porządek dzienny dzisiejszego Waszego, Szanowni Państwo, zjazdu obejmuje b. ważne tematy i zapowiada doniosłe dla dalszego życia Waszej organizacji decyzje. Zarówno ja, jak i obecni tu moi koledzy z Ministerstwa i Kuratorów, jesteśmy gośćmi wśród Was, więc nie wypada nam mieszać się do Waszych dyskusyj, ani wpływać na Wasze decyzje. Ale bądźcie, Panie i Panowie, przekonani, że bodaj żaden z Waszych dotychczasowych zjazdów dorocznych nie był śledzony przez nas z tak napiętą uwagą, jak będzie śledzony Wasz zjazd obecny. I to nietylko z powodu tego szczególnego porządku dziennego, o którym wspomniałem przed chwilą, ale i z innych powodów.

Podobnie jak Wasza organizacja stoi na progu ważnych rozstrzygnięć, i całe nasze szkolnictwo stoi przed koniecznością rozwiązania ważnych, zasadniczych problemów.

Wprawdzie narzucają się nam one już od pierwszego roku naszej niepodległości, a nawet nieco wcześniej, ale mam wrażenie, że nigdy nie były tak dojrzałe do realizacji, tak bliskie do uchwycenia, jak są w tej chwili.

Gdy chodzi o dziedzinę szkolnictwa powszechnego,

można się spierać, czy zagadnienia natury materialnej nie są dziś jeszcze pilniejsze, jeszcze bardziej naglące, niż zagadnienia natury duchowej. To wielkie historyczne zadanie znalezienia dostatecznych środków na budowę gmachów szkół powszechnych i na utrzymanie dostatecznej liczebnie armii nauczycieli jest problematem, który swym ogromem może przesłaniać zagadnienie duchowej reformy szkoły powszechnej.

Ale gdy chodzi o teren szkolnictwa średniego, sporu o to być nie może. Wszyscy — i my, pracownicy administracji szkolnej, i Wy, Panie i Panowie, stojący bezpośrednio przy warsztacie pracy pedagogicznej, i rodzice Waszych uczniów, a bodajże i niektórzy Wasi uczniowie — wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że na terenie szkolnictwa średniego najważniejsze są zagadnienia natury duchowej.

Trzeba ducha w tę szkołę tchnąć, trzeba go tchnąć, bo nazbyt często wcale znaleźć go tam nie można.

Sprawy szkolne natury materialnej, naogół biorąc, mogą być rozwiązywane nawet poza nauczycielstwem, najmądrzejsze ustawy i najracjonalniejsze rozporządzenia — ale myśleć o ich rozwiązaniu nie można bez czynnego współudziału całego nauczycielstwa.

Poza ścisłym środowiskiem nauczycielskim mogą powstawać najgenialniejsze pomysły, mogą być wydawane najmądrzejsze ustawy i najracjonalniejsze rozporządzenia — ale wszystko to pozostanie bez wartości, jeżeli nie będzie dobrze wykonane przez całe masy nauczycielstwa.

To też każdy, kto zdaje sobie sprawę z konieczności zmiany duchowego oblicza szkoły średniej, musi bacznie pytać i patrzeć, co się dzieje w środowisku nauczycieli szkół średnich, musi patrzeć i pytać, jakie tam wieją prądy, jakie panują nastroje, i wreszcie — co może najważniejsze — jaki tam jest stosunek do istniejącej rzeczywistości szkolnej.

Bo stosunek ten może być trojaki: może to być stosunek biernej aprobaty, marazmu, śpiączki; może to być stosunek bezpłodnej negacji, wyrażający się w mniej

lub więcej krzykliwem niezadowoleniu z tego, co jest, bez równoczesnej silnej woli i umiejętności zmiany istniejącego stanu, a wreszcie — może to być stosunek pozytywno-twórczy, polegający na trwałem konsekwentnem dążeniu i umiejętnej mrówczej pracy tworzenia nowej lepszej rzeczywistości.

Życzę Wam, Panie i Panowie, życzę całej Waszej organizacji, a temu zjazdowi Waszemu w szczególności, aby zawsze wśród Was panował ten trzeci, pozytywno-twórczy stosunek do rzeczywistości.

Życzenia te składam w imieniu Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w imieniu własnem i w imieniu całego Ministerstwa.

Bądźcie wszyscy Szanowni Państwo głęboko przekonani, że są to życzenia szczere i bardzo gorące.

PRZEMÓWIENIE NA OTWARCIU KURSU INSTRUKTORSKIEGO OŚWIATY POZASZKOLNEJ

w dn. 4 marca 1929 r.

Szanowni Państwo!

Chętnie skorzystałem z miłego mi zaproszenia przybycia na otwarcie tego kursu, gdyż pragnę przy tej sposobności przynajmniej w kilku słowach podkreślić znaczenie, jakie Ministerstwo W. R. i O. P. kursowi temu nadaje, i dać wyraz nadziejom, jakie Ministerstwo z kursem tym łączy.

Wszyscy wiemy, że zadania oświaty pozaszkolnej w Polsce są wielkie i trudne.

Są one tem większe i tem trudniejsze, że nie może tu chodzić tylko o przysporzenie społeczeństwu pewnej liczby nieco lepiej oświeconych członków, ale że musi tu chodzić o wychowanie dla państwa całych mas państwowo myślących i działających obywateli. Polsce dzisiejszej jest gwałtownie potrzebny ten państwowo myślący i działający obywatel, bo zbyt długo i zbyt wiele czynników doniedawna z wysiłkiem pracowało nad tem, aby Polska dzisiejsza takiego właśnie obywatela nie miała.

A któż to ma państwu naszemu tego obywatela wychować? Zwłaszcza, gdy chodzi nie o tego obywatela przyszłości, nad którym dziś pracuje szkoła, ale o tego obywatela dnia dzisiejszego, już dziś wykonywującego swe obowiązki obywatelskie i w swoim zakresie wpływającego na losy państwa. Któż go wychowa?

Prawda, że w Polsce jest wielu chętnych do społecznego wychowywania mas. Wogóle niebrak w naszej ojczyźnie ludzi, skwapliwie uwijających się po zagonach życia publicznego. Ale wśród tych społeczników, tych polityków, ilu jest siewców, którzy zdrowe tylko sieją ziarno, i to nie z myślą o różnych celach ubocznych, ale z intencją bezinteresownego służenia państwu?

Wy, Panie i Panowie, którzy przybyliście tu na kurs, wybrani z pośród mas nauczycielstwa, jako najżywiej interesujący się sprawami oświaty pozaszkolnej, niewątpliwie interesujecie się również pracą popularną, wydawaną dla najszerszych sfer naszego ludu przez różne organizacje społeczne, przez partje polityczne i t. p. Jeżeli dotychczas nigdy jeszcze tego nie uczyniliście, to zadajcie sobie trud i w pierwszych z brzegu rocznikach tej ilościowo bogatej literatury poszukajcie, ile tam znajdziecie artykułów, pouczających o obowiązkach obywatela wobec państwa. Nie o prawach, ale o obowiązkach i nie wobec warstwy czy klasy społecznej i nie wobec partji czy koterji politycznej, ale właśnie wobec państwa, t. j. tej organizacji, z której wzrostem my wszyscy rośniemy, a z której upadkiem my wszyscy padamy.

I jeżeli, Panie i Panowie, przekonacie się, że w tej prasie popularnej tego rodzaju artykułów jest nieskończenie mało, jeżeli Was przerazi pustka ducha obywatelskiego, z kart tej prasy wiejąca, to niech to będzie dla Was zachętą do tem żarliwszej pracy na tym w tej chwili otwieranym kursie.

Z całego serca życzę Wam, Szanowni Państwo, jak największych sukcesów w pracy na tym kursie. Życzę Wam dlatego, ponieważ wiem, że praca w dziedzinie oświaty pozaszkolnej wymaga już dzisiaj specjalnej wiedzy i specjalnych umiejętności. Nie Waszem zadaniem będzie iść do ludu z tanim bombastycznym frazesem. Wy, gdy Wam wypadnie orać, macie orać głęboko; Wy, gdy Wam wypadnie budować, macie budować z trwałego materiału.

Ministerstwo z wielką uwagą śledzić będzie przebieg

tego kursu, a z jeszcze większą postępy w pracy oświatowej tych, którzy kurs ten ukończą. Kto wie, czy od powodzenia tego kursu nie zależy stopień energii, z jakim Ministerstwo przystąpi do organizowania następnych, daj Boże, jak najliczniejszych kursów podobnych. Byłoby więc dobrze, by wszyscy słuchacze kursu zdawali sobie sprawę z tego, że wpływ ich pracy może sięgnąć daleko poza granice ich osobistej działalności.

Otrzymujecie, Szanowni Państwo, kurs, zorganizowany przez instytucję społeczną, bogatą w doświadczenia znakomitej pracy na polu oświaty pozaszkolnej, bo przez Instytut Oświaty Dorosłych w Warszawie. Na liście prelegentów kursu znajdziecie szereg nazwisk prawdziwie wybitnych, niekiedy wręcz najwybitniejszych w swojej dziedzinie nauki lub pracy publicznej. Niechże to wszystko pomoże Wam zostać produktywnymi pracownikami na niwie oświaty pozaszkolnej i niezłomnymi rycerzami tej wielkiej idei, której kurs ten ma służyć.

PRZEMÓWIENIE NA ZAKOŃCZENIE PRAC KOMISJI OPINJODAWCZEJ O USTROJU SZKOLNICTWA MUZYCZNEGO

w dn. 22 czerwca 1929 r.

Panie Dziekanie! Szanowni Państwo!

Przybyłem osobiście na zakończenie prac Komisji
poto:

- 1) aby przynajmniej w ten widomy sposób zaznaczyć zainteresowanie państwowych władz szkolnych dla wyników prac Komisji, a
- 2) aby osobiście podziękować wszystkim członkom Komisji za tak gorliwą i tak bogatą w rezultaty pracę.

Szanowni Państwo wypracowaliście realny projekt uporządkowania pewnego ważnego działu szkolnictwa.

Wogóle przyjemnie jest stwierdzić, że zagospodarowujemy się, że porządkujemy swoje gospodarstwo w Odrodzonej Ojczyźnie. Zadowolenie jest tem większe, im dziedzina uporządkowana — trudniejsza. A Państwo pracowaliście nad uporządkowaniem jednej z dziedzin najtrudniejszych. Przynosicie Rządowi konkretny projekt zorganizowania tej dziedziny, która w wielu krajach bardzo kulturalnych i żyjących w łatwiejszych, niż Polska warunkach — jeszcze uporządkowana nie jest.

Za to należy się Wam, Szanowni Państwo, uznanie ze strony Rządu, a w szczególności wdzięczność ze stro-

ny Ministra, do którego resortu ta trudna dziedzina należy.

Ale Komisja, jak ze sprawozdań o jej pracach mi wiadomo, wyszła poza ścisły zakres zadań, jakie Ministerstwo przy tworzeniu tej Komisji wskazało. Pragnąc wykonać swą pracę dostatecznie rzetelnie i dostatecznie głęboko, nie ograniczyliście się, Szanowni Państwo, do obmyślenia zewnętrznych ram, w jakie ustrój szkolnictwa muzycznego w Polsce ma być ujęty. Wkroczyliście, Szanowni Państwo, również w treść obrazu, który w te ramy ma być oprawiony, rozważyliście, Szanowni Państwo, samą treść nauczania muzycznego, rozważyliście sposoby i metody nauczania muzyki, oceniając je według ich wychowawczych wyników i zewnętrznego efektu.

Śpieszę Szanownych Państwa zapewnić, że ten dział Waszej pracy jest dla Ministerstwa niemniej interesujący, a dla przyszłości nauczania muzyki w Polsce niemniej ważny, jak sam projekt ustroju szkolnictwa muzycznego.

Nie będę przed Państwem tał, że jeżeli przedmioty nauczania, mające na celu wychowanie estetyczne młodzieży, nie zdobyły sobie jeszcze w szkole tej powagi i tego znaczenia, na jakie niewątpliwie zasługują, to bodaj w niemałej mierze przyczynia się do tego fakt, iż metody nauczania tych przedmiotów nie są jeszcze dostatecznie skrytalizowane, przynajmniej, jeżeli nie w teorii, to napewno — w zastosowaniu praktycznym. Bo, proszę Państwa, jeżeli jest złem przy każdym przedmiocie nauczania, to złem szczególnie wielkiem przy przedmiocie t. zw. artystycznym jest fakt, gdy przedmiot ten staje się jedną więcej drewnianą piłą, jedną więcej torturą dla wrażliwych dusz naszej młodzieży. I choćby kto z Państwa sądził, że niema w tem wielkiego nieszczęścia, albo że inaczej być nie może, nie przestanę twierdzić, iż nie wolno nam spocząć dopóty, dopóki przedmioty artystyczne nie staną się materiałem nauczania, wnoszącym radość życia w ciągle jeszcze zbyt pęsepy mury szkolne.

Z tych założeń wychodząc, z tem gorętszem uznaniem

podnoszę pracę Komisji w zakresie metod nauczania. Niech mi wolno będzie stwierdzić, że Komisja dobrze spełniła powierzone jej zadanie. W związku z tem niech mi wolno będzie złożyć wszystkim jej członkom serdeczną podziękę.

Osobno pozwalam sobie podziękować przewodniczącemu Komisji, Panu Dziekanowi Chybińskiemu, którego gorliwości, taktowi i umiejętności niewątpliwie w dużym stopniu zawdzięczać musimy te dobre wyniki prac Komisji.

W imieniu własnem i całego Ministerstwa W. R. i O. P. — a jeżeli mi wolno, to i w imieniu całego szkolnictwa muzycznego w Polsce, składam serdeczne podziękowanie.

PRZEMÓWIENIE NA AKADEMII JUBILEUSZOWEJ
KU CZCI
PROFESORA MIKUŁOWSKIEGO - POMORSKIEGO

w dn. 26 czerwca 1929 r.

Magnificencjo, Panie Rektorze!

Przybyłem tu na tę urządzoną przez Twych tak licznych przyjaciół i wielbicieli uroczystość, aby w imieniu najwyższej magistratury szkolnej wyrazić Ci publicznie słowa najszczerzej podzięk i najżywszego uznania.

Byłeś, Panie Rektorze, jednym z pierwszych, ba więcej — byłeś na czele pierwszego szeregu tych, którzy w czasach trudnych z nieugiętą wiarą w ostateczne zwycięstwo zabrali się do organizowania oświaty publicznej w wyzwalającej się z pęt Ojczyźnie. Byłeś następnie, Panie Rektorze, — nie jeden tylko raz — szefem centralnego urzędu i naczelnym kierownikiem szkolnictwa polskiego.

W długim, niestety — może aż nazbyt długim szeregu polskich ministrów oświaty, nazwisko Twoje będzie drukowane grubszymi czcionkami. Bo przyszedł badacz dziejów szkolnictwa w pierwszym dziesięcioleciu Polski odrodzonej na każdym kroku natrafiać będzie na ślady Twojej myśli i wyniki Twojej pracy.

W Ministerstwie Oświaty jest przechowana o Tobie pamięć jako o szefie, którego decyzje zachowują swą wartość na długo, i którego autorytet o wiele przeżywa okres oficjalnego sprawowania urzędu.

Ale Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego ma jeszcze inny tytuł do wdzięczności i uznania dla Ciebie, Panie Rektorze. Jesteś wybitnym w swojej dziedzinie uczonym. A z przeogromnej, niebotycznej góry, która się zowie nauką, wybrałeś sobie właśnie ten odcinek, z którego możesz wypracowywać i wypracowujesz bezpośrednio dobro dla kraju i jego ludności. Żar Twego serca nie pozwolił Ci na uwięzienie Twych naukowych zdolności w zbieraniu teoretycznych przyczynków, z którychby dopiero dalekie przyszłe pokolenia korzyść praktyczną odniosły. Idziesz do ludu z nauką nie tak, jak się idzie z jakąś wymyślną i dla wybranych tylko przeznaczoną potrawą, ale tak, jak się idzie do głodnych z chlebem powszednim. Czyż może być lepsza propaganda nauki?

Jesteś, Panie Rektorze, uczonym i równocześnie praktycznym organizatorem oświaty ludowej, jesteś uczonym i równocześnie praktycznym działaczem na niwie narodowej gospodarki materialnej. Tęcza Twoich myśli zakresła przepiękny łuk między poezją nauki i prozą codziennego życia. I łuk ten świeci już od lat trzydziestu pięciu, a świeci coraz jaśniej.

To też pozwól, Czcigodny Panie Rektorze, że w tym dzisiejszym dniu jubileuszowym, w dniu, w którym biegna ku Tobie myśli i uczucia wszystkich tych, którzy Cię znają i ocenić umieją, że w dniu tym i polski Minister Oświaty pochyli przed Tobą głowę tak, jak się pochyla przed nauką i przed rzetelną a wielką zasługą.

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI OTWARCIA KONGRESU MATEMATYKÓW KRAJÓW SŁOWIAŃSKICH

w dn. 23 września 1929 r.

W imieniu Rządu Rzeczypospolitej Polskiej witam ten świetny Zjazd i życzę Mu jak najowocniejszych obrad.

Szczególnie serdecznie witam naszych miłych Gości zagranicznych, którzy z krajów słowiańskich i innych przybyli do naszej Stolicy, aby wzmocnić węzły współpracy intelektualnej w bogatej dziedzinie wiedzy ludzkiej, w dziedzinie matematyki.

Jesteście, Szanowni Państwo, przedstawicielami nauki, która od nizin najelementarniejszych pojęć umysłu ludzkiego sięga na szczyty najwyższej tego umysłu spekulacji, — nauki, która, odrywając się od ziemi w dziedzinę najidealniejszej abstrakcji, powraca na ziemię, aby wzmocnić siły i umiejętność człowieka w jego walce z siłami najbardziej realnymi, bo siłami przyrody. Jesteście, Szanowni Państwo, przedstawicielami wiedzy, która swoim zakresem od najbardziej ścisłej, na pewnikach opartej nauki sięga w dziedzinę najczystszej sztuki — muzyki, sztuk plastycznych, a przez rytm nawet w dziedzinę poezji żywego słowa. To też niema w tem nic dziwnego, że wielki mędrzec starożytności, Pytagoras, w uprawianej przez Was matematyce widział rozwiązanie zagadki świata. Niema też nic dziwnego, że

dziedzina Waszej pracy od najdawniejszych czasów była i jest otoczona przez świat kulturalny szczególnie wysokim szacunkiem.

Wy, Szanowni Państwo, którzy tu przybyliście, jako przedstawiciele matematyków krajów słowiańskich, jesteście żywym zaprzeczeniem legendy o braku zdolności rasy słowiańskiej do ścisłego myślenia. A Wy, Szanowni Panowie, którzy, choć nie należąc do narodów słowiańskich, byliście łaskawi przybyć na ten Kongres, tym swoim współudziałem tem dobitniej przeczyście legendzie i dlatego tem milej i serdeczniej jesteście witani.

Witam Was wszystkich, Panie i Panowie, w ojczyźnie Mikołaja Kopernika, witam Was w stolicy kraju, którego najwyższa władza edukacyjna już w wieku osiemnastym ogłaszała konkursy państwowe na najlepsze podręczniki szkolne matematyki, witam Was w stolicy kraju, w którym choć w przeszłości niezawsze umiano rachować po kupiecku, jednakże w którym zawsze panował i panuje szczerzy i głęboki kult dla Waszej wiedzy czystej, dla matematyki.

Obradujcie, Szanowni Państwo, pracujcie wspólnie, a z tej pracy Waszej niech wyrasta słodki i zdrowy owoc na pożytek nietylko wszystkich narodów słowiańskich, ale i całej kulturalnej ludzkości.

— Kongres Matematyków Krajów Słowiańskich ogłaszam jako otwarty.

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI POŚWIĘCENIA KAMIENIA WĘGIELNEGO GMACHU SZKOŁY HANDLOWEJ I PRZEMYSŁOWEJ ŻEŃSKIEJ W STANISŁAWOWIE

w dn. 6 października 1929 r.

Wielką mi zawsze sprawia radość chwila taka, jak obecna, chwila, w której zakładamy fundamenty pod nowy gmach jakiejś uczelni polskiej. Wielką mi to sprawia radość, bo mi się wydaje, że odczuwam namacalnie, jak oto murujemy przyszłość Ojczyzny naszej. Cieszę się bardzo, jeżeli jest to gmach dla szkoły niepaństwowej, bo widzę w tem dowód, że poza Rządem i oficjalną administracją istnieje w społeczeństwie i zdrowa inicjatywa, i siły twórcze, we właściwym zwrócone kierunku. Cieszę się bardzo, jeżeli jest to gmach dla szkoły zawodowej, bo rozwój tego właśnie szkolnictwa zapewnia nam usunięcie jednego z naszych historycznych braków, mianowicie braku mocnego i solidnego mieszczaństwa.

Każdy taki moment jest powodem szczerego zadowolenia, a chwila obecna zawiera naraz wszystkie te momenty. To też wiercie mi, Szanowni Państwo, że nie tylko z urzędowego obowiązku i nie z konwencjonalnej kurtuazji, ale z głębi szczerego obywatelskiego serca gorąco życzę tej placówce szkolnej, aby się rozwijała jak najbujniej i jak najpiękniej. Niech z gmachu tego, w którym oby jak najprędzej pracowite życie zawrzało,

wychodzą w naród dzielne niewiasty, unosząc z sobą kult i umiejętność sumiennej pracy. Niech szczęści się temu gmachowi, niech szczęści się jego inicjatorom, opiekunom i gospodarzom, a przedewszystkiem niech szczęści się temu młodemu pokoleniu, które tu przyjdzie po wiedzę i umiejętność, aby kiedyś zkolei przekazać te skarby swoim następczyniom i tak bez przerwy, aż w coraz to dalszą i coraz świetniejszą przyszłość Ojczyzny.

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI OTWARCIA TEATRU POLSKIEGO W STANISŁAWOWIE

w dn. 6 października 1929 r.

Szanowni Państwo!

Wyznam, że chętnie przyjąłem zaproszenie wzięcia osobistego udziału w tej dzisiejszej uroczystości, gdyż pragnąłem i pragnę w ten skromny wprawdzie, ale bezpośredni sposób dać dowód żywego interesowania się Rządu Rzeczypospolitej życiem duchowem miasta Stanisławowa, a przez to i całego województwa, którego to miasto jest stolicą.

Wiedziałem, że będzie mi bardzo miło być obecnym tutaj w chwili złożenia przez społeczeństwo tego miasta tak wymownego i tak pięknego dowodu umiłowania sztuki.

Nie potrzebuję mówić — byłoby to zbyt banalne, bo są to rzeczy zbyt dobrze znane — jak wielką rolę zawsze odgrywała sztuka w rozwoju kultury narodów. Pozwolę sobie tylko przypomnieć, że z postępem czasu rola sztuki w życiu duchowem społeczeństw nie tylko się nie zmniejsza, ale przeciwnie, bardzo wydatnie wzrasta. Im bardziej postępuje demokratyzacja, im większe masy narodu zaczynają brać udział w życiu publicznem, im bardziej złożonem staje się życie zbiorowe, im bardziej piętrzą się sprzeczności dążeń klasowych, religijnych, narodowościowych — tem znaczenie sztuki jest

lub być powinno większe, tem rola jej odpowiedzialniejsza.

Sztuka wzmacnia, zgrzewa, walczy i podbija, ale przede wszystkim sztuka uszlachetnia.

Gdy instynkty niższego gatunku szarpią duszę człowieka, gdy dusić go zaczyna złość, a sercem miotać nienawiść, sztuka czasem śmieje się i szydzi, chłoszcze satyrą, ale czasem poprostu cicho kładzie rękę na sercu człowieka i mówi: „Uspokój się, serce człowiecze!”

A skoro taka jest rola sztuki, to z tem większą radością patrzy się na dowody uznania i pietyzmu dla niej ze strony ludności miasta kresowego, a więc miasta, w którym warunki życia zbiorowego są szczególnie skomplikowane i trudne.

Jakżeż się więc mamy nie cieszyć, gdy oto uprzytomnimy sobie, że w mieście kresowem, którego w tej chwili mam zaszczyt być gościem, już przed półwiekiem nieomal znalazło się dość aspiracyj i szlachejnych ambicij, aby wytworzyć wspólne ognisko sztuki! A jeszcze bardziej pocieszającym, jeszcze więcej otuchy dodającym jest fakt, że te przed półwiekiem ujawnione szlachejne dążenia nie okazały się przypadkowemi i przemijającemi, ale wystąpiły jako coś, co drogą naturalną wyrasta z gleby tutejszego środowiska i zapuszcza korzenie głęboko.

Bo oto widzimy, że zaledwie przeminęła wielka wojna, zaledwie umilkło straszliwe larum marsowe, gdy muzy w Stanisławowie na nowo nucić poczęły.

Ten gmach, który dziś uroczyscie otwieramy, na którego fasadzie widnieją ślady spustoszenia wojennego, a w którego wnętrzu dziś życie na nowo pulsować zaczyna, ten gmach jest najpiękniejszym trwałości tych dążeń symbolem. I to właśnie napęlnia otuchą i to właśnie najpiękniejsze rokuje nadzieje. Rokuje nadzieje, że nadejdzie czas, kiedy dzięki, między innemi, wpływom tej, tak wytrwale tutaj kultywowanej sztuki, ucichnie w sercach ludzkich złość, do piekieł odejdzie nienawiść, i w atmosferze wzajemnej życzliwości szu-

mieć będzie zbożna praca na chwałę Państwa Polskiego i na pożytek wszystkich jego obywateli.

W imieniu Rządu Rzeczypospolitej życzę tej pięknej placówce polskiej kultury, aby z tą misją jak z jasną gwiazdą na czole szła w przyszłość i by jak najprędzej doszła do celu.

O SPRAWACH SZKOLNICTWA ŚREDNIEGO

Wywiad dla Agencji Press, drukowany w dn. 9, 10 i 11 października 1929 r.

Redaktor Agencji Press zwrócił się do p. Ministra W. R. i O. P., dr. S. Czerwińskiego, z prośbą o udzielenie informacji w sprawie przeprowadzanych przez Ministerstwo prac.

— Chętnie skorzystam z pomocy pana redaktora — rozpoczął p. Minister — w celu poinformowania szerokich kół, interesujących się sprawami szkolnictwa, o ważniejszych pracach Ministerstwa. Sprawy wychowania publicznego należą do tych, w których oświecona opinia publiczna powinna być możliwie dobrze zorjentowana, a niestety trzeba stwierdzić, że niektóre organa naszej prasy robią wszystko, co mogą, aby tę opinię gruntownie w tych sprawach zdezorientować.

Zakres agend Ministerstwa W. R. i O. P. jest tak szeroki, że traktowanie go w całości przekroczyłoby ramy dziennikarskiego wywiadu. Dziś ograniczę się tylko do jednego odcinka pracy Ministerstwa, ale do tego właśnie, którym opinia publiczna — jeżeli sądzić z odgłosów w prasie — interesuje się obecnie najżywiej, to jest do spraw szkolnictwa średniego ogólnokształcącego.

— Czy to szkolnictwo jest u nas dobre czy złe?

— Pytanie to jest o tyle uzasadnione — oświadczył p. Minister — że w sprawie tej słyszymy opinie sprzeczne i to nie tylko zależnie od tego, kto mówi, ale i od tego przy jakiej sposobności kto mówi. Z jednej stro-

ny słyszymy naogół zgodne żale profesorów szkół wyższych na słabe przygotowanie abiturjentów gimnazjalnych do studjów naukowych, a z drugiej strony — zwłaszcza przy okazji wystaw szkolnych, jak np. podczas wystawy poznańskiej — czytamy peany pochwalne na temat postępów, jakie czyni nasze szkolnictwo średnie pod względem jakościowym, a zwłaszcza pod względem wyników niektórych nowoczesnych metod nauczania.

Do zastanowienia zmusza też fakt, że porównanie naszych dobrych szkół z najlepszymi szkołami na zachodzie bynajmniej nie zawsze wypada na naszą niekorzyść. Świadczą o tem zarówno opinie fachowców cudzoziemskich, coraz częściej zaglądających do kraju, jak i spostrzeżenia naszych pedagogów, zwiedzających szkolnictwo zagraniczne. Kto więc ma rację: pesymiści czy optymiści? Sądzę, że w tym wypadku nietrafna byłaby odpowiedź, że prawda leży pośrodku. Należy raczej odpowiedzieć, że jedni i drudzy mają rację, ale jedni i drudzy tylko w pewnym zakresie.

— Co przez to pan Minister rozumie?

— Rozumiem przez to, że mamy już pewną liczbę niezłych szkół i pewną liczbę doskonałych nauczycieli-wychowawców, których wyniki pracy mogłyby przynieść zaszczyt każdemu, nawet najlepiej postawionemu szkolnictwu, ale że przeciętnego poziomu ogółu naszych szkół średnich nie można uważać za zadowalający.

Do tego trzeba dodać, że dolna granica poziomu jest bardzo niska, to znaczy, że mamy pewną liczbę szkół o tak małej wartości, iż tylko wielka doza pobłażania pozwala wogóle tolerować ich istnienie.

Powracając więc do ogólnego porównania naszego szkolnictwa średniego z analogicznym szkolnictwem w dobrze urządzonych państwach zachodu, można powiedzieć, że na szczytach naszej pracy wytrzymujemy porównanie doskonale, ba, możemy nawet powiedzieć, że prześcignęliśmy pod tym względem niektóre kraje o bardzo wysokiej kulturze, imponujące nam na innych

polach pracy. Ale im dalej w dół, tem bardziej oddalamy się od uporządkowanych stosunków na zachodzie.

Przyczyny tego zjawiska są zrozumiałe i nie chcę ich tutaj w szczegółach rozwijać. Powiem tylko ogólnie. Wraz ze szkolnictwem, zwłaszcza średniem, ogólnokształcącym całego świata kulturalnego, przeżywa i nasze szkolnictwo głęboki kryzys. Kryzys zarówno celów jak i środków wychowawczych. W Polsce kryzys jest głębszy, niż gdzie indziej, gdyż do ogólnych przyczyn, wywołujących go na zachodzie, dołączyła się u nas radykalna zmiana położenia politycznego w kraju przez przejście od stanu niewoli do stanu wolności i konieczność dopuszczenia w pierwszych latach niepodległości do pracy pedagogicznej znacznej liczby osób, niedostatecznie przygotowanych pod względem fachowym.

W epoce ideowych przełomów prawie zawsze powiększa się odległość między pionierami nowych dróg a mniej lub więcej niedołącznie podążającym za nimi tłumem przeciętnych pracowników. Zjawisko to w chwili obecnej obserwujemy prawie we wszystkich państwach. W Polsce z powodów, o których wspomniałem, odległość między pionierami a maruderami jest większa, niż gdzie indziej.

Z tego stanu rzeczy dla władz szkolnych, kierujących wychowaniem publicznem w kraju, wynikają wskazania jasne: 1) umożliwić i ułatwić pionierom odnajdywanie dróg właściwych i utrwalanie się na nich, 2) wszelkimi rozporządzalnemi środkami wyrównywać drogę i pociągać naprzód główne kolumny „średnich“ pracowników, 3) usuwać z marszu beznadziejnych maruderów.

— Jakie zatem zadania w tej dziedzinie uważa p. Minister za najważniejsze?

— Za jeden z pierwszych swych obowiązków uważamy w Ministerstwie dźwignięcie poziomu szkół średnich przez ułatwienie nauczycielstwu fachowego doskonalenia się w swej pracy. Pomimo wielkiej ciasnoty budżetowej z powodu szybko rosnących potrzeb wszystkich działów szkolnictwa, wprowadziliśmy do budżetu

pozycje, przeznaczone specjalnie na tak zwane do-
kształcanie nauczycieli szkół średnich.

W akcji tej bynajmniej nie chodzi nam tylko o nau-
czycieli nieposiadających formalnych kwalifikacyj. Cho-
dzi nam o wszystkich, zwłaszcza o tych, którzy, mając
już za sobą wymagane studia, pragną jednak zachować
żywość swych zainteresowań naukowych, pogłębić swą
wiedzę pedagogiczną i rozwinąć swe umiejętności dy-
daktyczne.

W okresie ubiegłych wakacyj letnich władze szkolne
zorganizowały dla nauczycielstwa szkół średnich 12 czte-
rotygodniowych kursów, na których wykładali wybitni
specjaliści, prawie wyłącznie profesorowie wyższych
uczelni. Na kursy te, z natury rzeczy nieobowiązkowe,
uczęszczało ponad 600 osób. Tegoroczną kampanję wa-
kacyjną traktujemy jako początek pracy w tym kierun-
ku. Nietylko myślimy ją kontynuować corocznie, ale
i w ciągu roku szkolnego zamierzamy organizować
kursy krótsze, 2—3 tygodniowe, których głównem za-
daniem będzie doskonalenie metod pracy nauczyciel-
stwa. Ten sam cel ma instytucja t. zw. instruktorów
dydaktycznych, którą staramy się rozwinąć. Instrukto-
rami są wybitniejsi nauczyciele, którym w ich szkołach
tak organizujemy pracę, aby mogli oni być nietylko
nauczycielami swych uczniów, ale prowadzić lekcje po-
kazowe, instrukcyjne dla swych kolegów, uczących tego
samego przedmiotu w innych szkołach.

Korzystając ze zbiorów, zgromadzonych na wystawę
poznąską, założymy w Warszawie Muzeum Szkolne.
Mówię o tem w tem miejscu dlatego, że i tę placówkę
chcemy wyzyskać dla celów doskonalenia pracy nau-
czycielskiej. Owego muzeum nie rozumiemy jako skła-
du historycznych osobliwości szkolnych, ale chcemy
z niego zrobić instytucję żywą, w której nietylko każdy
zwiedzający znajdowałby najważniejsze wiadomości
o szkolnictwie polskim, ale w której każdy przy-
były nauczyciel otrzymywałby informacje i wska-
zówki o najwłaściwszych sposobach i narzędziach pracy
nauczycielskiej w interesującym go zakresie.

Pragnąc, aby pomoc nasza docierała wszędzie, gdzie na placówkach swych pracują nauczyciele szkół średnich, rozpoczęliśmy wydawać „Poradnik w sprawach nauczania i wychowania oraz administracji w szkołach średnich“... Cel wydawnictwa jest ściśle praktyczny, chodzi w niem o udzielenie nauczycielom, stojącym bezpośrednio przy warsztacie pracy szkolnej, praktycznych wskazówek, jak najlepiej jest w danych konkretnych warunkach organizować pracę, jak sobie radzić z nasuwającymi się w praktyce szkolnej trudnościami.

Podkreślam z naciskiem, że wszystkie te poczynania chcemy traktować nie jako nakładanie na nauczycielstwo nowych obowiązków, ale jako pomoc, ułatwiającą mu podniesienie poziomu i skuteczności pracy. Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że nie osiągniemy celu, jeżeli nie znajdziemy szczerego i żywego współdziałania ze strony nauczycielstwa. Na to współdziałanie liczymy.

Muszę wyznać, że przed rozpoczęciem się zapisów na kursy wakacyjne niektórzy moi koledzy z Ministerstwa wyrażali obawy, czy znajdzie się dość chętnych do poświęcenia znacznej części wakacji na pracę nad sobą. Obawy te na szczęście okazały się płonne. Zgłoszeń na kursy było więcej, niż miejsc. Mamy tu dowód, że chwalny pęd do dalszego kształcenia się, który od szeregu lat obserwujemy wśród nauczycielstwa szkół powszechnych, istnieje także w szeregach nauczycielstwa szkół średnich. Jest to najcenniejszy kapitał, który, jeżeli tylko będzie odpowiednio pokierowany i użyty, może polską szkołę średnią łatwiej i wcześniej wyprowadzić z kryzysu, niż szkolnictwo zagraniczne, pomimo specjalnych naszych trudności.

Postulat koncentracji materiału naukowego w naszych programach szkolnych

W dalszym ciągu wywiadu, udzielonego Agencji Press, p. Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Sławomir Czerwiński oświadczył.

— Wśród wielu niesłusznych zarzutów, stawianych władzom szkolnym, jednym z najpopularniejszych jest ten, że władze te jakoby utrudniają nauczycielstwu pracę przez ciągle reformy programów szkolnych. Jest to jedno z tych twierdzeń, które, niewiadomo przez kogo pущzone w obieg, kursują w opinii oświeconych sfer społeczeństwa, brane za dobrą monetę, chociaż w rzeczywistości są tylko bezwartościowym liczmanem, gdyż są niemądre i nieprawdziwe.

— Byłbym bardzo rad — podkreślił z naciskiem p. Minister — gdybym przy sposobności tego wywiadu zdołał zwrócić uwagę społeczeństwa na bezzasadność owego zarzutu i w ten sposób usunął z obiegu jeden z najszkodliwszych frazesów, którymi niestety tak hojnie jest karmiona nasza opinia publiczna. Otóż trzeba stwierdzić, że od czasu ukazania się pierwszych programów gimnazjalnych w roku 1919 aż do stycznia 1929, pomijając niektóre drobne i całości programu zupełnie nie dotyczące zmiany w programach religii, higieny i geografii, tylko raz jeden, a mianowicie w roku 1925 wydano zarządzenie, wprowadzające zmiany w programie gimnazjum, idące wyłącznie w jednym kierunku: redukcji liczby godzin nauczania i redukcji materiału naukowego. Trzeba mieć naprawdę zbyt niskie pojęcie o inteligencji polskiego nauczycielstwa szkół średnich, trzeba je uważać za jakiś bezmyślny tłum, sennie kroczący w manewrze rutyny, aby utrzymywać, że tak „częste“ i w tym właśnie kierunku idące zmiany przeskadzają mu w codziennej spokojnej pracy.

Niekorzystanie z doświadczenia, jakie nam dało 10-letnie stosowanie w życiu szkolnem dotychczasowych programów, utrzymywanie nadal ich notorycznie stwierdzonych niektórych wad i braków dla samej tylko zasady, by nie niepokoić nauczycielstwa, byłoby przecież nie tylko niemądre, ale w najwyższym stopniu karygodne.

To też 2 stycznia b. r. Ministerstwo W. R. i O. P. wydało rozporządzenie, zaprowadzające zmiany w dotychczasowym planie godzin szkolnych, co z natury

rzeczy zmusza do wprowadzenia zmian w samych programach i nad tem właśnie Ministerstwo obecnie pracuje.

Ale i te zmiany nie będą stanowiły żadnej rewolucji w naszym szkolnictwie. Najważniejszą z nich będzie uzgodnienie programów niższych klas szkół średnich i wyższych oddziałów szkoły powszechnej. Odzywają się głosy, że jest to zamach na ustrój szkolnictwa. Wątpię jednak, czy ktokolwiek z autorów tych zarzutów szczerze wierzy w to, co mówi w ferworze polemicznym. Chodzi tu przecież jedynie o zrealizowanie postulatu, któremu mało kto w Polsce odważy się dzisiaj przeciwstawić. Chodzi o to, żeby odpowiednio uzdolnione jednostki po skończeniu szkoły powszechnej nie spotykały nieprzewyciężonej przeszkody programowej na drodze do dalszego kształcenia się w szkołach średnich. Podejmując tę zmianę, gruntownie rozważyliśmy, czy takie ukształtowanie programów pozwoli zaspokoić potrzeby tej masy młodzieży, która po ukończeniu szkoły powszechnej idzie wprost w życie, i czy młodzież szkoły średniej będzie mogła zdobyć dobre przygotowanie do pracy w gimnazjum wyższem. Dotychczasowe prace nad projektami szczegółowych programów przekonywają nas, że postulaty powyższe dadzą się dobrze zrealizować.

Pomimo tej dla niektórych tak bardzo „rewolucyjnej“ zmiany, zasadniczy zrąb dotychczasowych programów pozostanie ten sam. Inne zmiany pójdą głównie w kierunku usunięcia tych braków, których prawie niepodobna było uniknąć przy pierwszym opracowaniu programów, ale które po kilkoletniem stosowaniu wyraźnie wystąpiły.

Opracowując pierwsze programy dla swego własnego szkolnictwa w odrodzonej Ojczyźnie zarówno władze szkolne, jak i współdziałające w tej pracy sfery nauczycielskie, były ożywione szlachetną ambicją dokonania dzieła doskonałego. A ponieważ wiadomo, że „najlepsze jest wrogiem dobrego“, nie należy się dziwić, że w programach zarówno w metodzie, jak i w materjale naukowym przy naogół dobrych zasadach, znalazły się rzeczy za trudne i niekoniecznie potrzebne. Jest to wada

w swoich konsekwencjach pedagogicznych bardzo daleko idąca. Nauczyciel, zużywając czas i energię na rzeczy trudne i niekonieczne, traci z oczu swój najważniejszy cel dydaktyczny, jakim jest dobre i trwałe opanowanie przez uczniów rzeczy podstawowych. Na tę właśnie niedostateczność opanowania przez abiturjentów szkół średnich rzeczy dla danej dziedziny wiedzy elementarnych a zasadniczych skarżą się profesorowie naszych wyższych uczelni, i ten brak powinnyby usunąć nowe programy.

Poza tem gorąco pragnę, aby nasze nowe programy uczyniły wyraźny postęp w kierunku większej koncentracji treści materiału naukowego, rozrzuconego po programach różnych przedmiotów nauczania. Przyczyną tego braku koncentracji, od którego zresztą nie jest wolne i szkolnictwo innych krajów, jest, jak mi się zdaje, przede wszystkim metoda, czy procedura opracowywania programów. Metoda ta polega na tem, że programy poszczególnych przedmiotów opracowywane są przez grupy specjalistów, które to grupy są pomiędzy sobą w zbyt luźnym kontakcie. Każda z tych grup koncentruje całą swoją uwagę na własnym przedmiocie nauczania, a niema takiej grupy, któraby miała za zadanie badać, jaką — że tak powiem — fizjognomję pedagogiczną posiada suma tych poszczególnych programów wobec właściwego obiektu pracy pedagogicznej, t. j. wobec duszy ucznia.

Wreszcie nowe programy mają usunąć także i pewne szczegóły z metod nauczania, a mianowicie te, które, wprowadzone jako „ostatni krzyk“ nowoczesności, nie wytrzymały próby praktycznego zastosowania w naszych warunkach. Kilkakrotnie słyszałem wypowiedziane obawy, że Ministerstwo opracowuje programy „przy zielonym stoliku“, nie zasięgając opinii nauczycielstwa, stojącego przy warsztacie pracy szkolnej. Obawy te — oświadczył z naciskiem p. Minister — są zupełnie nieuzasadnione. Programy, które są obecnie w opracowaniu (pracują nad niemi osoby powołane z natury rzeczy ze sfer nauczycielskich), dwukrotnie

będą poddane opinii nauczycielstwa: pierwszy raz grupom, złożonym z 8—10 osób, z których każda ma za zadanie zrewidować przedstawiony jej t. zw. pierwszy projekt programu danego przedmiotu, i drugi raz — gdy projekty programów w formie już bardziej wykończonych zostaną rozesłane różnym zrzeszeniom i organizacjom, przede wszystkim oczywiście nauczycielskim i naukowym, a poza tem także pojedynczym osobom, o których wiadomo, że zagadnieniem tem się interesują i że mogą mieć w tej sprawie coś do powiedzenia.

— Na początku bieżącego roku szkolnego pewne poruszenie w prasie i opinii publicznej wywołały decyzje Ministerstwa w sprawie nadania t. zw. praw publiczności szkołom średnim prywatnym.

Rzecz charakterystyczna, że niektóre organa prasy, które nawet ze spraw wychowania publicznego starają się wyławiać tanią sensację dla zadowolenia upodobań mniej wybrednych czytelników, dopatrzyły się w tych decyzjach ni mniej ni więcej tylko... niszczenia szkolnictwa polskiego na terenach mieszanych pod względem narodowościowym.

— Jak ma się sprawa w rzeczywistości i o co tu chodzi?

— Trzeba pamiętać, że prywatne szkolnictwo średnie ogólnokształcące pełni czy też ma pełnić tę samą rolę, co szkolnictwo państwowe. Chętnie przystosowując się do programów i organizacji szkół państwowych, widzi swą rację bytu tylko przy posiadaniu t. zw. praw publiczności i za główne swoje zadanie uważa doprowadzenie młodzieży do matury państwowej, a tem samem i do studjów w szkołach akademickich.

Poziom tego szkolnictwa tem się różni od poziomu szkolnictwa państwowego, że zawiera ono większą niż tamto liczbę szkół, których pracy wychowawczej i dydaktycznej nawet przy dużej pobłażliwości nie można uważać za zadowalającą.

Stan Skarbu Państwa nie pozwala na to, by szkolnictwo prywatne można było otoczyć tak daleko idącą opieką materialną, iżby z niej uczynić główny sposób

ulepszania szkół słabych. Zresztą nie wszystkie one są potrzebne w tych miejscowościach, w których istnieją. Podtrzymywanie wegetacji tych szkół przez nadawanie im praw publiczności prowadzi z jednej strony do „rzezi“ przy maturze państwowej, co niekiedy łamie życie często naprawdę najmniej winnej samej młodzieży, a z drugiej strony ułatwia przenikanie do szkół wyższych elementu zupełnie do tych szkół nieprzygotowanego.

Władze szkolne, zdaniem mojem, do końca ubiegłego roku szkolnego kierowały się wobec tych szkół za daleko idącą pobłażliwością. Dlatego też przy nadawaniu praw publiczności na rok bieżący wydałem instrukcje, aby obostrzyć kryteria kwalifikacyjne. Wynikiem tego obostrzenia było obniżenie praw publiczności 53 szkołom i zupełne odebranie tych praw 34 szkołom. Oczywiście wywołało to niezadowolenie ze strony osób bezpośrednio zainteresowanych.

— A ile jest słuszności w owym zarzucie o niszczeniu szkolnictwa polskiego w Małopolsce Wschodniej? — pytam.

— Liczby, podawane w tej sprawie przez niektóre dzienniki, były albo tendencyjną nieprawdą, albo zostały podane wskutek wprowadzenia redakcyj w błąd przez niesumiennych informatorów.

W lwowskim okręgu szkolnym, obejmującym, jak wiadomo, trzy województwa, mamy prywatnych polskich gimnazjów 47 i z nich 36 korzysta z praw publiczności.

Nadawanie tych praw wszystkim szkołom polskim, niezależnie od istotnej wartości każdej z nich, a tylko ze względów patryotycznych, czy też ze względów na t. zw. narodowy stan posiadania, wydawałoby mi się bardzo szkodliwym krótkowidztwem. O ile się bardzo cieszę z każdego objawu narodowej tężyzny i solidności, o tyle nie czuję żadnego sentymentu dla narodowego stanu posiadania słabizny i tandety. W okręgu szkolnym lwowskim, tak jak w całym państwie, szkoły polskie muszą wiedzieć, że tylko wtedy mogą liczyć na prawo

publiczności, gdy na to zasłużą wartością swojej pracy dydaktycznej i wychowawczej.

Oto są najważniejsze aktualne w Ministerstwie sprawy z działu szkolnictwa średniego ogólnokształcącego — zakończył p. Minister Czerwiński.

Jeżeli informacje te zainteresują szerszą opinię publiczną, to innym razem pomówimy o innych rodzajach szkolnictwa.

PRZEMÓWIENIE NA OTWARCIU KONFERENCJI W SPRAWIE KULTURY WSI POLSKIEJ W ŁOWICZU

w dn. 10 stycznia 1930 r.

Otwieram konferencję, poświęconą zagadnieniom kultury wiejskiej w Polsce.

Witam wszystkich tu obecnych, serdecznie dziękując za to, żeście, Szanowni Państwo, na nasze wezwanie tutaj pośpieszyli. Szczególnie gorąco dziękuję naszym szanownym na tej konferencji prelegentom, którzy, podjąwszy się referatów, umożliwili nam należyte tej konferencji wypełnienie i pogłębienie.

W zaproszeniach, jakie pozwoliliśmy sobie do Szanownych Państwa wystosować, powiedziane jest, że „celem konferencji będzie teoretyczne postawienie zagadnienia kultury wiejskiej w Polsce na tle kultury wogóle, ujęcie jej istotnego charakteru i źródeł, oraz uświadomienie sobie możliwości celowego oddziaływania na jej dalszy rozwój“.

W krótkim swoim zagajeniu nie chcę dotykać istoty tych zagadnień. Będą one potraktowane i szerzej i głębiej i bardziej fachowo w referatach i w dyskusji. Na jedną tylko bardzo ogólną pozwolę sobie wzmiankę.

Pomimo iż żyjemy w wieku XX-tym, pomimo iż mamy już poza sobą wiek pary i elektryczności, kultura Polski wogóle — to przedewszystkiem kultura polskiej wsi. Miasto daje nam tej kultury ostatnie wytwory, daje nam, jeżeli kto chce, jej owoce i kwiaty, ale korzeniami swemi ta kultura tkwi na wsi.

I to samo z ludnością. Nasza inteligencja miejska, nasz proletarijat fabryczny same w olbrzymiej masie pochodzą ze wsi i ciągle odnawiają swe kadry świeżym dopływem wiejskim. To też ten, kto, pracując nad podniesieniem kultury w Polsce, zapomniałby o wsi, budowałby gmach kultury polskiej na piasku.

Z tych założeń wychodząc, uważam za szczególnie obiecujący dla tej konferencji fakt, że spotkają się na niej praktyczni działacze oświatowcy z naszymi uczonymi teoretykami kultury wogóle, a kultury wsi polskiej w szczególności. Myślę, że z tego zetknięcia się obie strony znaczną korzyść odnieść mogą. Życzę jednak tej konferencji, aby przyniosła ona korzyść nietylko swym uczestnikom, ale przede wszystkim jak największy pożytek tej naszej, tak serdecznie przez nas wszystkich kochanej, wsi polskiej.

PRZEMÓWIENIE NA OTWARCIU ZJAZDU WIZYTATORÓW

w dn. 15 stycznia 1930 r.

Szanowni Państwo!

Długa, bo na sześć dni obliczona konferencja, którą w tej chwili otwieram, jest jednym z przejawów tego wysiłku, jaki Ministerstwo od pewnego czasu podjęło w celu naprawy naszego szkolnictwa średniego ogólnokształcącego.

Wartość tego szkolnictwa zależy oczywiście nie od jakiegoś jednego czynnika, ale od całego tych czynników szeregu. W tym jednak szeregu jest jeden czynnik najważniejszy, najniezbędniejszy, w ostatniej instancji decydujący. Tym czynnikiem jest nauczyciel-wychowawca.

Jeżeli ktoś kiedyś powiedział, że niema tak złego programu, któryby zaszkodził dobremu nauczycielowi, jako też odwrotnie, że nawet najlepszy program nic nie pomoże złemu nauczycielowi, to w tem powiedzeniu jest nietylko dowcip, nietylko trafne „bon mot“, ale przedewszystkiem głęboka prawda życiowa. Oczywiście nie należy lekceważyć programów. Szanowni Państwo, wiecie, że nad ich udoskonaleniem Ministerstwo obecnie pracuje. Również nie należy lekceważyć sprawy zaopatrzenia szkół w odpowiednie lokale, w ich wewnętrzne urządzenia i w pomoce naukowe. Ale kto nie jest zadowolony z wyników pracy w jakiejś szkole, ten uwa-

gę swoją winien zwrócić przedewszystkiem na nauczyciela.

Że Ministerstwo tej prawdzie hołduje i że stara się z niej wyciągnąć właściwe konsekwencje praktyczne, dowodem tego porządek dzienny konferencji, którą w tej chwili rozpoczynamy.

W referatach, które tu, Szanowni Państwo, usłyszycie, będzie przedstawiony cały system pomocy, jaką władze szkolne chcą okazać nauczycielstwu szkół średnich, aby mu ułatwić doskonalenie własnej pracy dydaktycznej i wychowawczej. Mówię o systemie pomocy, bo akcję tę właśnie jako pomoc należy rozumieć i tak ją w działaniu traktować. Trzeba budować na dobrej woli nauczycielstwa, na jego szlachetnej ambicji ciągłego doskonalenia się, na jego mocnem pragnieniu coraz lepszej i coraz owocniejszej służby społeczeństwu.

Jestem głęboko przekonany, że pomijając pewne, w każdej grupie społecznej występujące bezwartościowe albo wręcz szkodliwe jednostki, pomijając wreszcie niektóre, na szczęście nieliczne środowiska, w których panuje niezadowolone śledziennictwo albo samo o swej głupocie świadczące zarozumialstwo, ogół nauczycielstwa szkół średnich posiada dodatnie cechy, które wymieniałem. Przez nie, mojem zdaniem, prowadzi droga do zbawienia szkoły polskiej.

Jest rzeczą naturalną, że w tym systemie pomocy, nad którym ma obradować ta konferencja, naczelnicy wydziałów w Kuratorjach i okręgowi wizytatorowie szkół średnich ogólnokształcących stanowią ogniwo jedno z najważniejszych. Od wytrzymałości i przydatności owego ogniwa zależy w znacznej mierze powodzenie całego systemu. Szczegółowe obowiązki, jakie z realizacji tego systemu dla wizytatorów wynikają, będą tu przedstawione w szeregu referatów.

Najogólniej możnaby określić te obowiązki chyba tak: wizytator musi być nie tylko kontrolującym szkoły urzędnikiem, ale społecznikiem, organizującym pracę tej części grupy społecznej, która jego pieczy została powierzona.

Z tej zasady, że chcemy iść do nauczycielstwa nie z nowym jarzmem, ale z pomocą, wynika i właściwość stosunku wizytatora do nauczycielstwa.

Wizytator nie powinien i nie może przestać być przedstawicielem i organem władzy. Ale niech ta władza będzie ciężka tylko dla ujemnych objawów w sferze nauczycielskiej. Niedbalstwo, nieróbstwo, wogóle wszelaki brak chęci ku naprawie, a także niezawinione, ale notoryczne niedołęstwo, niech mają w Was, Szanowni Państwo, nietylko surowych sędziów, ale i bezlitosnych niszczycieli. Każdy za to przejaw dobrej a nieprzymuszonej woli przyjmijcie, Państwo, już nietylko z urzędową aprobatą, poprzyjcie go całym swoim autorytetem, a równocześnie — otoczcie go serdeczną, przyjacielską życzliwością.

Oczywiście taki stosunek należy zachować do całego nauczycielstwa, t. j. nietylko do tego, które pracuje w szkołach państwowych, ale i do nauczycielstwa szkół prywatnych.

Muszę tu zauważyć, że zawsze przyznawałem i przyznaję pewną dozę słuszności żalom nauczycielstwa szkół prywatnych na to, że państwowe władze szkolne zachowują wobec nich zbyt jednostronny stosunek kontroli, za mało przychodząc im z pomocą w ich pracy. O bezpośredniej pomocy materialnej dziś i w dającej się przewidzieć przyszłości nie może być mowy ze względów skarbowych. Ale ponieważ szkoły te w swej olbrzymiej większości pełnią tę samą funkcję społeczną, co szkoły państwowe, racja stanu nakazuje nam udzielić im takiej samej pomocy fachowej, na jaką nas stać wobec szkół państwowych.

Przewiduję, co sobie, Szanowni Państwo, w tej chwili myślicie.

Zapewne mówicie sobie w duchu, że łatwiej jest Ministrowi narzucać na barki wizytatorów nowe trudne obowiązki, niż wizytatorom te wszystkie obowiązki wykonać, zwłaszcza przy dzisiejszym stanie rzeczy, gdy na jednego wizytatora przypada niekiedy kilkadziesiąt szkół i kilkuset nauczycieli.

Pomyśleliśmy i o tem. W toku prac konferencji zostaną tu Szanownym Państwu przedstawione pewne projekty, zmierzające do obniżenia liczby szkół, przypadających na jednego wizytatora i do uwolnienia go przynajmniej od części dotychczasowej pracy biurowej. Prócz tego zamierzamy wprowadzić jeszcze jedną innowację, która, jak myślę, nie natrafi na sprzeciw w tem gronie: mianowicie chcemy prócz dotychczasowych urlopów wypoczynkowych zaprowadzić dla wizytatorów specjalne urlopy, aby im ułatwić perjodyczne zapoznanie się z bieżącą literaturą pedagogiczną i wogóle odświeżanie i pogłębianie ich wiedzy fachowej.

Aby te wszystkie zamierzenia wprowadzić w życie bez wywoływania wstrząsów w normalnym toku pracy administracji szkolnej, trzeba będzie jeszcze niejedną przeszkodę usunąć i niejednen wysiłek wykonać.

Myślę jednak, że na te wysiłki zdobyć się warto i należy, bo w pełni zasługuje na nie przyświecający nam tu wszystkim cel naprawy polskiej szkoły średniej.

Otwieram ten zjazd z gorącym życzeniem, aby w dziejach tej naprawy stał się on wyraźnym i niezapomnianym etapem.

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI OTWARCIA INSTYTUTU BADAŃ NAUKOWYCH EUROPY WSCHODNIEJ W WILNIE

w dn. 23 lutego 1930 r.

Gdy jestem obecny na uroczystości otwarcia Instytutu Badań Naukowych Europy Wschodniej, gdy sobie uświadamiam, że uroczystość ta odbywa się właśnie w Wilnie, doznaję wrażenia, że w chwili tej nawiązujemy nową mocną nić do czegoś w naszej przeszłości, co istniało, co było wspaniałe i piękne, a co siłą brutalną zostało kiedyś zerwane.

To coś to nasza misja dziejowa na rozległych przestrzeniach od Bałtyku do morza Czarnego, misja, która nam tu kazała zapalać ogniska zachodniej cywilizacji, która przodkom naszym kazała stawać na zagonach pracy kulturalnej pod nieznaniem dalej na Wschodzie hasłem „wolni z wolnymi, równi z równymi“.

Przez okres, gdy nić tej tradycji była zerwana, zmieniły się czasy, zmieniły się warunki, zmieniły się metody pracy cywilizacyjnej. Powstały na tych obszarach nowe państwa: Litwa, Łotwa, Estonja. Zjednoczyła się i okrzepła Rumunja. Nasze jednak stare złote hasło „wolni z wolnymi, równi z równymi“ nietylko nic nie straciło na swojej wartości, ale nabrało tem głębszej treści i tem jaśniejszego blasku.

Jednym z głównych celów powstającego dzisiaj Instytutu jest poznawanie naszych sąsiadów i ułatwienie im

poznania nas samych. Poznanie naszych sąsiadów przez nas — jestem pewien — powiększy tylko naszą ku nim życzliwość, poznanie nas przez nich sprowadzi szczere, oparte na zaufaniu zbliżenie.

Są to cele ważne, pod względem państwowym doniosłe.

To też z tem większem uznaniem podnieść należy, że zadania te zostają podjęte nie przez organa władzy państwowej, ale przez placówkę społeczną, na inicjatywie i pracy społecznej opartą.

Trudno nie widzieć w tem dowodu istnienia w naszym społeczeństwie zdrowych i silnych państwowotwórczych pierwiastków.

A okoliczność, że placówka ta powstaje właśnie w Wilnie, niech będzie trwałym zadatkiem jej jak najpiękniejszego rozwoju.

Zbudzone do nowego życia wspaniałe tradycje tego miasta, owego wschodniego bastjonu kultury zachodnio-europejskiej, niech rozpalą w jasny płomień to nowe ognisko pracy naukowej, aby grzało i świeciło jak najmocniej i jak najdalej.

PRZEMÓWIENIE NA POSIEDZENIU SEJMU

w dn. 28 lutego 1930 r.

Wysoka Izbo! Sprawa, o której mówimy, należy do spraw tej kategorii, któremi zazwyczaj bardzo żywo interesują się panowie posłowie, pracujący zawodowo w szkolnictwie, a któremi stosunkowo mało interesują się wszyscy inni panowie posłowie. To drugie, jeżeli o tę sprawę chodzi, nie jest słuszne, bo sprawa, o której mówimy, angażuje nie tylko interesy Rządu, nie tylko interesy nauczycielstwa, nawet nie tylko interesy szkolnictwa, ale w sprawie tej niewątpliwie w dużym stopniu zaangażowane są i interesy samej ludności, zwłaszcza tej ludności, która bezpośrednio z nauczycielstwem się styka, jak to ma miejsce zwłaszcza na terenie wsi. Przytem sprawa ta jest dość charakterystyczna. W niej, jak w kropli wody, odbija się cały świat tego okresu politycznego, jaki obecnie w Polsce przeżywamy. Ma ona dużo cech symptomatycznych. Czyż nie jest cechą symptomatyczną, że wnioskodawcą w tej sprawie jest p. pos. Węlykanowicz, a bardzo gorliwym tego wniosku referentem i obrońcą jest p. pos. Kornecki? Jeżeli zaś do tego towarzystwa przyłączają się również i p. pos. Próchnik czy p. pos. Piotrowski, jeżeli p. pos. Próchnik bardzo energicznie kruszy kopję w sprawie tego wniosku, to dla mnie jest to tylko dowód, jak z zupełnie różnych założeń wypływające tendencje zbiegają się w jedną, gdy chodzi o ograniczenie władzy Ministra, o ograniczenie władzy Rządu.

O co właściwie w tej sprawie chodzi? Istnieje t. zw. pragmatyka nauczycielska, obszerna, ze 163 artykułów złożona ustawa. Jest w tej obszernej ustawie wśród tych 163 artykułów jeden, który, z pewnemi zresztą ograniczeniami, daje Ministrowi Oświaty prawo zabrania nauczyciela ze szkoły, w której ten nauczyciel, zdaniem władz szkolnych, dłużej pracować nie powinien, albo też przeniesienia nauczyciela do tej szkoły, w której, zdaniem władz szkolnych, dany nauczyciel jest bardziej potrzebny.

Zdawałoby się, że niema nic naturalniejszego nad to prawo. Przecież, jeżeli żąda się od Ministra, żeby ponosił odpowiedzialność za stan szkolnictwa, to trzeba temu Ministrowi dać jakąś możliwość gospodarowania materiałem ludzkim, bo o jakości szkolnictwa ten nauczyciel właśnie decyduje. Dlatego, powiadam, zdawałoby się, że niema nic naturalniejszego nad to prawo. A jednak jesteśmy świadkami dziwnego zjawiska. Oto Komisja Oświatowa na długim bardzo szeregu posiedzeń i w poprzedniej i w obecnej sesji biedzi się w pocie czoła nad tem, co zrobić, co postanowić, żeby to prawo naturalne Ministra możliwie ścięśnić, możliwie ograniczyć, możliwie sprowadzić do zera. I w tej gorliwości Komisja Oświatowa dochodzi do tego, że z jej kuchni wychodzi elaborat, zawierający postanowienia, które z punktu widzenia administracji szkolnej — nie chcą używać wyrażenia, któreby kogokolwiek obrazić mogło, ale naprawdę nie mogę znaleźć innego określenia — nie wytrzymują najmniejszej krytyki, są poprostu niedorzeczne. Przepraszam, że użyłem tego określenia, ale uważam za swój obowiązek przestrzec Wysoką Izbę, że ewentualne uchwalenie przez Parlament Polski postanowień, które w tym wniosku są zawarte, naprawdę nie przyniosłoby zaszczytu pracy ciał ustawodawczych w Polsce.

Nie chcę niczego opierać na przypuszczeniach, nie chcę żadnych przykładów cytować z fantazji, nie chcę wyobrażać sobie, że może być taki lub inny wypadek w życiu szkolnem codziennem i dlatego poleciłem zro-

bić w Ministerstwie wykaz wszystkich nauczycieli, przeniesionych na podstawie art. 58 przez cały rok 1929 od 1 stycznia do ostatniego grudnia włącznie. Mam także wykaz z roku 1928, będę się więc opierał na tych przykładach, które są najświeższe i którymi tutaj operowało się także. I oto temi przykładami, wziętymi istotnie z życia, nie takimi, które mogą się trafiać, ale które się trafiły, będę ilustrował projekt tych postanowień, które tutaj mamy przed sobą.

Muszę tutaj jednak zrobić jedno ogólne zastrzeżenie. Cytując przykłady, wzięte z życia, oczywiście, nie wymienając nazwisk, mimowoli będę musiał cytować przykłady rozmaitych uchybień, wykroczeń i niewłaściwości nauczycieli. Nie chciałbym, żeby to rzuciło w jakikolwiek sposób cień na opinię o poziomie moralnym i wartości zawodowej stanu nauczycielskiego wogóle. Muszę się więc zastrzec, że wśród społeczności, złożonej z kilkudziesięciu tysięcy osób, zawsze może się znaleźć pewna liczba wypadków różnych niewłaściwości i wykroczeń, ale to nie może rzucać cienia na całą społeczność, która, muszę to stwierdzić z najwyższem zadowoleniem, pracuje naogół gorliwie, w wielu razach ofiarnie i niesie z godnością swój czysty sztandar pracy publicznej.

Po tej uwadze wydaje mi się, że mogę tutaj zacząć cytować niektóre przykłady, przechodząc na ich podstawie do zanalizowania postanowień projektowanej noweli.

Pierwszy dodatek: Minister może przenosić nauczyciela tylko wówczas, gdy tego wymaga dobro szkoły, w której nauczyciel pracuje.

Biorę spis nauczycieli przeniesionych i natrafiam co chwila na wypadki takie: posiada (mowa o nauczycielce) Państwowy Instytut Nauczycielski; została przeniesiona do szkoły, gdzie był brak sił z wyższem fachowem wykształceniem; albo: ukończyła Państwowy Instytut Robót Ręcznych i została przeniesiona do nowoorganizowanej pracowni robót ręcznych; albo: jako absol-

went Wyższego Kursu Nauczycielskiego na koszt Rządu potrzebny był w szkole wyżej zorganizowanej.

Panowie posłowie, którzy są jednocześnie nauczycielami, którzy obserwują pracę administracji szkolnej, niewąpliwie wiedzą, jak bardzo ważną rzeczą jest, jak bardzo w interesie szkoły powszechnej, w interesie hasła szkoły jednolitej leży, aby wyższe oddziały szkoły powszechnej mogły być obsadzone przez siły odpowiednio wykwalifikowane. (Głos: Nie o to chodzi). Będę mówił o tem, o co chodzi. Muszę jednak stwierdzić, że to postanowienie, jeżeliby takie postanowienie się znalazło, odebrałoby możność władzom szkolnym przenoszenia nauczycieli dla tych celów. (Głos: Nauczyciel podpisuje deklarację, że pójdzie, gdzie go przeniosą). I to nie zawsze. (Głos: Wy macie na to inne sposoby).

Proszę Wysokiej Izby, gdy chodziło o dotychczasowy art. 58, istotnie można było dysputować, czy artykuł ten należy stosować, jako artykuł karny, czy też artykuł ten, jako karny, stosowany być nie powinien. Sądziłem, że ponieważ niema w ustawie ograniczenia pod tym względem, w tych wszystkich wypadkach, w których z jakichkolwiek względów postępowanie dyscyplinarne jest niewskazane, artykuł ten można zastosować jako artykuł karny. Tak sądziłem, ale wyznam zupełnie szczerze, że każdorazowe zastosowanie tego artykułu, jako artykułu czysto karnego, było dla mnie pewnem przykrem przeżyciem. Wydaje mi się jednak, iż w żadnym razie nie należy pchać władz szkolnych w kierunku podkreślania karności tego artykułu, a powiedzenie takie, że nauczyciel może być przeniesiony tylko dla dobra szkoły, w której pracuje, odbiera pozytywną celowość, jaka w tym artykule dotychczas była, i całkowicie sprowadza ten artykuł do jednego ze środków karnych, jakie przeciwko nauczycielom stosować można.

Idę dalej. Przenoszenie dla dobra szkoły zarządza Minister od początku roku szkolnego co najmniej na dwa miesiące przed rozpoczęciem roku szkolnego. Biorę wypadek, gdzie bardzo zresztą dyskretnie jest powiedziane, że dany nauczyciel w żeńskiej ani koedukacyj-

nej szkole pracować nie powinien. To dyskretne powiedzenie, zdaje mi się wystarcza, ażeby zrozumieć sytuację. Według tego postanowienia nawet wtedy, gdy pewne niepokojące objawy wystąpią już na początku roku, trzeba czekać, aż wykroczenie sprecyzuje się do tego stopnia, że należy albo wytoczyć formalne postępowanie dyscyplinarne, albo sprawę oddać prokuratorowi.

Ale najkapitałniejsze jest postanowienie, umieszczone pod 3), mianowicie, że dekret o przeniesieniu dla dobra szkoły winien zawierać dokładne wyszczególnienie motywów, które spowodowały przeniesienie.

Chciałbym tutaj odwołać się do opinii panów prawników, wszystko jedno, z tej czy z tamtej strony Izby, ażeby ocenili to postanowienie, że w dekrete przeniesienia nauczyciela, a więc w dokumencie, którym ten nauczyciel przez całą swoją drogę życiową wykazuje się zawsze, że w tym dokumencie, który jest pewnem świadectwem dla tego nauczyciela, mają być wyłączone i to jeszcze dokładnie motywy przeniesienia. Przecież nawet, jeżeli chodzi o wyroki dyscyplinarne, wpisuje się do dekretu przeniesienia karę, lecz nie wyszczególnia się, za co ta kara wymierzona została. Również Trybunał Administracyjny, na który się niektórzy panowie posłowie powoływali, domaga się, żeby powód przeniesienia był podany w aktach, ale nie żąda, aby on był wyłączony w dekrete przeniesienia.

Nie chcę tu cytować przykładów, które mam pod ręką, bo nie chcę cytować przykładów drastycznych, ale przecież będę zrozumiany, jeżeli powiem, że w niektórych wypadkach zastosowanie ścisłe projektowanego przepisu byłoby wprost okrucieństwem wobec nauczycieli. Są wypadki nietylko winy, ale i nieszczęść. Te wypadki, które są raczej nieszczęściem niż winą, są nie raz powodem przeniesienia nauczycieli. I te wypadki trzeba koniecznie wypisywać, jak panowie projektują, w dekrete przeniesienia.

Proszę Wysokiej Izby, obawiam się, zwłaszcza jeżeli chodzi o nauczycielki, że spotkamy się z wypadkami samobójstw, jeżeli tak ten przepis będzie stosowany.

Były czasy w wiekach średnich, gdy przestępcom kryminalnym w niektórych krajach wypalano na skórze piętno ich przestępstw. (Głos: To było dość dawno, Panie Ministrze. Wesołość). To było istotnie dawno; dziwię się, Wysoka Izbo, że większość komisji decyduje się do tych, tak dawnych zwyczajów częściowo nawracać.

Weźmy wreszcie czwarty przykład. Była tu mowa wielokrotnie o tem, ażeby wówczas, gdy nauczyciel zostaje przeniesiony, mógł on powiedzieć życzenie, czy zamiast przeniesienia na inne miejsce służbowe nie życzy sobie przejść na emeryturę. Znowu zwracam się do opinii Panów prawników: czyż naprawdę zgodne jest z pojęciem emerytury, żeby o swej emeryturze decydował bez posiadania warunków, jakie w ustawie emerytalnej dla wszystkich innych są zastrzeżone, sam zainteresowany bezpośrednio funkcjonariusz. Przytem było tu już częściowo wskazywane, że naprawdę ten przepis może wnieść czynnik demoralizacji do stosunków nauczycielskich. Jest istotnie tak, że w oczywistym interesie wielu nauczycieli, zwłaszcza nauczycielek — trzeba to powiedzieć, bo tak stosunki życiowe się układają — leży przejście po 10 czy 15 latach na emeryturę, porzucenie pracy zawodowej, a otrzymywanie stałego dochodu ze Skarbu Państwa. Dotychczas nauczycielki takie nie mają sposobu uzyskania emerytury; jeżeli ten przepis wejdzie w życie, będą go miały: trzeba będzie zrobić jakieś wykroczenie, jakąś awanturę kierownikowi szkoły, żeby władza szkolna czuła się zmuszona do przeniesienia tej nauczycielki. Nauczycielka odmówi i otrzyma w ten sposób emeryturę.

To są postanowienia najważniejsze, uderzające w tym projekcie.

Zapytuję teraz: poco to wszystko się robi? cui bono? — za jaką cenę? Panowie posłowie, popierający ten wniosek, odpowiadają, że trzeba usunąć, trzeba odebrać możność Rządowi czynienia nadużyć, trzeba mu odebrać możność tych masowo stosowanych dotychczas przeniesień. (Głos: Politycznych). Będę mówił i o politycznych specjalnie. Ja nie mam w tej sprawie nic

do ukrywania; gdybym mógł, gdyby mi czas pozwalał na to i gdyby nie to, że odczytywanie długiej listy tych rozmaitych wykroczeń i drobnych nieszczęść nauczycielskich mogłoby rzeczywiście dać pewien obraz fałszywy, bardzo chętnie odczytałbym wszystkie te wypadki, w których zastosowaliśmy art. 58.

Narazie powiem o ilości. Wydaje się liczba bardzo duża, bo w ciągu roku 1929 władze szkolne zastosowały art. 58 w 156 wypadkach. Wydaje się, powiadam, liczba duża, ale trzeba tę liczbę zestawić z ogólną liczbą nauczycieli. Te 156 wypadków odnosi się do nauczycielstwa szkół powszechnych, szkół średnich i seminarjów nauczycielskich. Otóż w tych trzech kategoriach szkół w ciągu roku 1929 pracowało 71 i pół tysiąca nauczycieli. Jeżeli te 156 wypadków weźmiemy w stosunku do tej ogólnej liczby, daje nam to 0,2% (Głos: To wystarczy dla steroryzowania nauczycieli), czyli na 1000 nauczycieli ten art. 58 został zastosowany w dwóch wypadkach. Ale Panowie powiedzą: ba, nie o to chodzi, w ilu wypadkach był zastosowany, lecz w jakich wypadkach, z jakiego powodu ten artykuł był stosowany. I tu już naprawdę nie mogę się powstrzymać, żeby dla ilustracji nie przytoczyć niektórych pozycji tych wykazów, które mam przed sobą. Biorę pierwszą kartę. Nazwiska są tutaj ułożone w porządku alfabetycznym, a więc nie można powiedzieć, że specjalnie i celowo przeze mnie dobrane.

Oto jakie są te powody.

Przykład pierwszy: Dalsza współpraca z dyrektorem niemożliwa z powodu zajęcia w czasie śledztwa przeciwko trzem uczniom prowadzonego.

Wypadek drugi: Nałogowa gra w gry hazardowe. Przygotowuje własnych uczniów do egzaminu za dodatkowym wynagrodzeniem.

Wypadek trzeci — polityczny: Ze względu na swe pochodzenie nie może tak ważnego przedmiotu, jakim jest język polski w gimnazjum ruskiem, postawić na należytej wyżynie wychowawczej.

Wypadek czwarty: Brak przepisanej ilości godzin.

Wypadek piąty: Potrzebny w innej szkole dla pełnienia obowiązków dyrektora gimnazjum.

Wypadek szósty: Potrzebny jako polonista w ruskim zakładzie.

Wypadek siódmy: Zła opinia wśród społeczeństwa z powodu niedozwolonej interesowności.

Wypadek ósmy: Nadaje się tylko do niższych i średnich klas.

Wypadek dziewiąty: W stosunkach utrakwistycznego zakładu nie przyczynia się do utrzymania harmonii między oddziałami polskimi i ruskimi.

Wypadek dziesiąty: Potrzebny w innej szkole.

Wypadek jedenasty: Nieodpowiedni do prowadzenia laboratorium przyrodniczego, zorganizowanego przez jego poprzednika.

Wypadek dwunasty: Nie potrafił zdobyć wśród młodzieży należytego zaufania, a nawet w roku ubiegłym przy okazji samobójstwa jednego z uczniów był ogólnie przez młodzież uważany za przyczynę jego śmierci.

Wypadek trzynasty: Wypływał intrygami na wydział bursy, by ten usunął kolegę jego ze stanowiska administratora tej bursy. Starał się wzbudzić u wizytatora nieufność do dyrektora.

Wypadek czternasty: Niezbędny, jako nauczyciel historii w ruskiej szkole.

Wypadek piętnasty: Zaniedbuje się w pełnieniu obowiązków, oddany pod kierownictwo energiczniejszego dyrektora.

To jest jedna strona tego wykazu. Panom posłom, oczywiście, to wszystko nie wystarcza, dlatego, że Panowie posłowie, przemawiający za nowelizacją, są sugerowani temi kilkoma czy kilkunastoma zebraniami w przeciągu ostatnich lat 4-ch wypadkami, których decyzję uważają za niesłuszną, tłumacząc ją względami politycznymi.

Wysoka Izbo! Proszę mi wierzyć, że z całą lojalnością i z wielką uwagą służyłem tych wszystkich zarzutów i przytaczanych przez Panów przykładów. Słuchając tego z wielką uwagą, czyniłem w myśli analizę tych

wszystkich wypadków i tego celu, do któregooby uwzględnienie postulatów Panów posłów zmierzało. Analiza ta daje wyniki nieoczekiwane. Bo gdy słyszę, że pan X oburza się na władze za to, że przeniesiono nauczyciela Ukraińca czy nauczyciela Niemca, który do białości rozpalał nacjonalizm wśród uczniów i ludności ukraińskiej czy niemieckiej, gdy słyszę drugiego Pana posła, jak oburza się na to, że został przeniesiony dyrektor, który z gimnazjum swojego robił przygotowkę dla Obozu Wielkiej Polski... (Głosy na prawicy: Kto, może Pan powie). Niech Pan przyjdzie do mnie, to Panu powiem. (Głosy na prawicy: Chcielibyśmy, ażeby wszyscy słyszeli). Niestety, jestem w tem trudnem położeniu, że Panowie posłowie ze swojego punktu widzenia mogą szermować nazwiskami, ale Panowie dobrze rozumieją, że ja nazwiskami operować nie mogę, że mi robić tego nie wolno. Jeżeli słyszę, że inny Pan poseł skarży się na władze szkolne o to, iż przeniosły nauczyciela, który ze szkoły robił sobie biuro werbunkowe dla czerwonego harcerstwa (P. Próchnik: Trzeba było wytoczyć dyscyplinarkę), jeżeli te wszystkie wypadki ze sobą zestawię, to cóż widzę? Widzę, że tu nie chodzi o obronę apolityczności szkoły, tylko o coś przeciwnego, chodzi o wolność uprawiania agitacji politycznej wśród stanu nauczycielskiego i na terenie szkoły. (Oklaski na ławach B. B. W. R. Wrzawa na lewicy. P. Piotrowski: Wiara w autorytety. Głos na prawicy: Jak będą uczyć śpiewania I-szej brygady, to będzie dobrze. P. Próchnik: Łatwo ukrywać się pod tajność. W tej szkole ani jeden uczeń nie należał do czerwonego harcerstwa, mogę wykazać).

Panie posle, naprawdę będę skłonny wierzyć, że uderzyłem w bolesne miejsce. (Oklaski na ławach B. B. W. R.).

Wysoka Izbo! Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na jeden argument. Jeżeli mówię o tendencji do agitacji również na terenie szkoły, nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy członkowie Komisji Oświatowej, głosujący za wnioskiem, kierowali się właśnie tylko tym

motywem. Jestem skłonny wierzyć, że są wśród nich tacy, którzy uważają, że trzeba taki wniosek stawiać, bo tu chodzi o obronę interesów nauczycielstwa. (Głosy na prawicy: Szkoły). I dla mnie, proszę mi wierzyć, interes nauczycielstwa nie jest rzeczą obojętną. Wyszedłem z szeregów nauczycielstwa i mam nadzieję, że gdy przestanę być urzędnikiem, do tych szeregów nauczycielstwa powrócę. (Głos na prawicy: Oby prędko. P. Piotrowski: Dla dobra szkoły przeniosą Pana Ministra). Może kiedyś nadejdzie ta przyszłość, że się zobaczymy, i może to zagadnienie wówczas powstanie, wtedy może Pana przekonam, że do takich wniosków z powodu ewentualności mojego przeniesienia, do jakich Pan po-seł dochodzi, naprawdę nie dojdę.

Otóż chodzi mi o ten interes nauczycielstwa. (Głos: Czekajcie, jak tylko mandaty się wam skończą, to i krzy-czeć przestaniecie). Mam, zdaje mi się, również wyczu-cie interesów nauczycieli i nie widzę interesu ogółu nauczycielstwa w obronie i otaczaniu specjalnym ochron-nym pancierzem tego, co w stanie nauczycielskim jest słabe, wadliwe i niewłaściwe. Wiem, że pod tym względem nawet opinie zarządów stowarzyszeń, zrzeszeń nauczyciel-skich nie mogą być miarodajne. Wiem nadto, że i wpły-wy polityczne, a może jeszcze więcej pewna emulacja, która tak często przetwarza się w licytację, sprawiają, że właściwa, zdrowa opinia ogółu nauczycieli nie za-wsze może się nawierzch wydostać i na wierzchu ukazać.

Według mnie, interes stanu nauczycielskiego jest zwią-zany organicznie z interesem szkoły, a interes szkoły wymaga, między innymi, i tego, ażeby władza szkolna nie była tylko władzą malowaną.

Wysoka Izbo! Zanim wszedłem na tę trybunę, zada-wałem sobie pytanie, w jakim właściwie celu to czynię. Wiedząc, jaka jest technika uchwalania ustaw, wiedząc, co znaczy przejście jakiegoś wniosku przez większość komisji, zdaję sobie sprawę z tego, jak nikłe mogę mieć nadzieje, że mój głos tutaj nie będzie głosem wołają-cego na puszczy. Ale postanowiłem swój obowiązek spełnić do końca, a wydaje mi się, że gdy ostrzegam

przed przyjęciem wniosku w brzmieniu większości komisji, czynię to nietylko w imię władzy Rządu, czynię to nietylko w imię najlepiej pojętego interesu szkolnictwa, ale również, zdaje mi się, i w imię powagi tej Wysokiej Izby. Wniosek większości komisji naprawdę nie nadaje się do przyjęcia. Moznaby, jeżeli koniecznie musi być ten artykuł znowelizowany, zatrzymać się na wniosku posła Stypińskiego, który nie zawiera tych wszystkich — mówię delikatnie — niewłaściwości, jakie zawiera wniosek większości komisji. (Oklaski na ławach B. B. W. R.).

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE STOWARZYSZE- NIA DYREKTORÓW POLSKICH SZKÓŁ ŚREDNICH PAŃSTWOWYCH

w dn. 5 kwietnia 1930 r.

Szanowni Państwo!

Nie chciałbym mówić frazesów, a jednak nie mogę się powstrzymać od wypowiedzenia swojego wrażenia. Oto gdy jestem na Zjeździe Delegatów Kół Stowarzyszenia Dyrektorów Polskich Szkół Średnich Państwowych, gdy sobie uprzytomnię, że Stowarzyszenie to obejmuje niemal wszystkich dyrektorów państwowych szkół średnich, gdy sobie dodam w myśli, że nasze szkolnictwo średnie prywatne, aczkolwiek przeważające liczebnie, jednak wzoruje się na szkolnictwie państwowem, uważając je za normę i kryterjum dla siebie — gdy sobie to wszystko uprzytomnię — to nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż na Zjeździe Delegatów Kół tego Stowarzyszenia stoję wobec jednej z tych sił, które w znacznej mierze decydują o przyszłości narodu i państwa.

Prawda, w wieku XX szkoła średnia ogólnokształcąca nie ma już tego wyłącznego znaczenia wyrabiania kultury narodu, jaką miała dawniej. Postępująca demokratyzacja społeczeństwa, demokratyzacja urządzeń państwowych i wszystkich instytucyj życia publicznego sprawiła, że niesłychanie podniosło się znaczenie szkoły powszechnej. Z drugiej strony rozwój życia przemysłowego wymaga zwrócenia coraz większej uwagi

na inne działy szkolnictwa średniego — na szkoły zawodowe. Ale pomimo to wszystko szkoła średnia ogólnokształcąca, a więc ta szkoła, która przygotowuje materiał ludzki na placówki kierownicze we wszystkich dziedzinach pracy kulturalnej, ta szkoła zachowała wyjątkowe stanowisko, które sprawia, iż ona właśnie powinna się znajdować w centrum uwagi społeczeństwa wogóle, a władz szkolnych w szczególności.

Jeszcze bodaj przed rokiem na jednym ze zjazdów nauczycielskich dochodziły uszu moich skargi, że Ministerstwo Oświaty zbyt mało uwagi poświęca tej szkole. Nie wiem, czy i dzisiaj te zarzuty mogłyby być równie aktualne. Obawiam się, że niezaługo spotkamy się z zarzutami innej natury, z oskarżeniem Ministerstwa o zbyt może porywczą, zbyt forsownie prowadzoną akcję na terenie szkolnictwa średniego ogólnokształcącego.

Gdy rzucam okiem wstecz na ostatni rok pracy naszej — nie mogę zaprzeczyć, chociaż nie do mnie to przede wszystkim należy, że pewien sukces w tej pracy osiągnęliśmy. Udało nam się wreszcie ruszyć z miejsca na dość szerokim froncie sprawę t. zw. „doksztalcania nauczycieli szkół średnich“. Na bardzo licznych zjazdach nauczycielskich mieliśmy odwagę postawić pewne zasadnicze zagadnienia wychowawcze; spotkaliśmy się z tego powodu z bardzo poważnymi zarzutami, iż są to zagadnienia, których wogóle nie powinno się stawiać publicznie. Myślę jednak, że są to zagadnienia, które nie dadzą się rozstrzygnąć przy zielonym stoliku, ale które muszą być rozstrzygnięte zbiorowo w sumieniu pedagogicznem ogółu nauczycielstwa, w duszy zbiorowej nauczycielstwa. Jeżeli pomimo takiego o tych sprawach myślenia — nie mogę powiedzieć dziś, że bym mógł być zupełnie z przebiegu ostatniego roku zadowolony — to przyczynia się do tego przede wszystkim fakt, że nie udało nam się w ciągu tego ostatniego roku załatwić dwóch spraw, które uważam dla nauczycielstwa za bardzo ważne, bez których rozwiązania, mojem zdaniem, szkoła średnia w całej pełni nie rozkwitnie.

O jednej z tych spraw wspomniał Pan Prezes. Szanowni Państwo rozumieją, że nie wypada mi opowiadać szczegółowo o wysiłkach moich poprzedników w sprawie zniesienia ustawy sanacyjnej, tem mniej mogę mówić o tem, co sam w tej sprawie robiłem. Więc tylko dla pewnego usprawiedliwienia swoich osobistych niepowodzeń pozwolę sobie zwrócić uwagę, że rok 1929 pod względem konjunktury dla zniesienia ustawy sanacyjnej był rokiem ze wszystkich lat najgorszym.

Gdy mówię o konjunkturze, to nie mam na myśli tylko konjunktury gospodarczej, ale jej bezpośrednie konsekwencje dla polityki budżetowej naszego skarbu, a dla stanowiska Ministra Skarbu w szczególności.

Proszę Państwa! Nie potrzebuję ukrywać, że wysokość budżetu jeszcze nie rozstrzyga o faktycznej tego budżetu realizacji, i Pan Minister Skarbu szczerze wyznaje, iż dla niego najwyższem prawem nie są sumy wydatków, przewidziane w preliminarzu i ustawie skarbowej. Najwyższem prawem dla niego jest równowaga budżetu, i jeżeli pomimo tego Minister Skarbu dopuszcza globalnie sumę wydatków w wysokości nie mniejszej, niż w latach ostatnich — to trzeba rozważyć, jakiego rodzaju są to wydatki. Jeżeli w naszym budżecie są pewne wydatki inwestycyjne, np. na pomoce naukowe, albo na budowę szkół, to Minister Skarbu wcale nie daje nikomu gwarancji, że wydatki te będą realizowane w przewidzianej w budżecie wysokości. Wydatki te, jeżeli dochody nie dopiszą, będą zmniejszone. A skutki ujemnej konjunktury gospodarczej w dochodach jeszcze się nie ujawniły, ujawniają się one zazwyczaj później i właśnie mogą się ujawnić w roku bieżącym.

Natomiast kompresja wydatków personalnych, t. zn. niewypłacanie personelowi tego, co mu się prawnie należy — jest operacją niesłychanie bolesną dla każdego rządu.

Gdy chodzi o ustawowo zawarowane podwyżki uposażeń — opór Ministra Skarbu jest tak silny, że dotychczas nie udało mi się go przemóc. Jeżeli pomimo to nie

chciałem traktować tego faktu jako swojej ostatecznej i nieodwołalnej klęski, jeżeli nie wyciągnąłem z tego wszystkich możliwych konsekwencji, wynika to z przekonania, że natura sprawy wymaga podniesienia się po otrzymanej porażce i prowadzenia walki w dalszym ciągu aż do zupełnego zwycięstwa.

I drugą sprawę uważam za rzecz bardzo ważną, za sprawę równie blisko panów dyrektorów obchodzącą. Jest to sprawa odciążenia dyrektorów od pracy administracyjnej.

Nie potrzebuję o tem szeroko mówić. Od członków Zarządu Głównego Stowarzyszenia wszyscy dowiedzieć się mogą, ile pracy włożył wydział szkół średnich Ministerstwa w to, ażeby w tej sprawie osiągnąć dostateczne rezultaty. Jako jeden z tych rezultatów ukazało się wydane przez nas w lipcu rozporządzenie o przepisach rachunkowo-kasowych dla dyrekcji gimnazjów państwowych. Rozporządzenie to nie dało takich wyników, jakich spodziewaliśmy się. Pewne nałogi w zasadach naszej państwowej rachunkowości, naszej państwowej kontroli są tak silne, że wypchnięte drzwiami wchodzi oknami; trzeba więc sprawę prowadzić długo i wytrwale, aby istotne rezultaty osiągnąć. Mam zamiar w niedalekiej przyszłości na podstawie nowych projektów odbyć osobistą konferencję z Ministrem Skarbu i Prezesem Najwyższej Izby Kontroli Państwa w celu ustalenia takich przepisów, po których istotnie odczulibyście, Państwo, ulgę.

Powiększenie liczby sekretarzy szkolnych nie leży w moich zamiarach, szczerze się przyznaję, bo sprawa administracji na terenie szkół to jeden z fragmentów administracji naszej państwowej wogóle, i jeżeli powinniśmy robić wysiłki w kierunku jej uproszczenia, to nie na błędnej drodze powiększania liczby urzędników administracyjnych.

Dziś jest dyrektorom szkół ciężko, może nawet bardzo ciężko. Trzeba jednak tę sprawę o tyle przetrzymać, abyśmy, zmuszeni koniecznością, doprowadzili do prostszych form administrowania szkołami.

Dlaczego o tem wszystkim mówię? Mówię o tem, między innemi, w tym celu, żeby na tym Zjeździe zamianifestować, że nietylko dobro szkoły, ale i warunki pracy, w jakich Państwo pracują, są naprawdę wspólną troską władz szkolnych i Waszą, Szanowni Państwo. Wspólność tej troski sprawia, że gdy zjeżdżacie się, żeby nad tą troską, nad trudnościami, jakie w swojej pracy spotykacie, radzić — możecie być pewni, że w tych obradach towarzyszą Wam jak najlepsze i jak najserdeczniejsze życzenia władz szkolnych wogóle, a Ministerstwa i jego kierownika w szczególności.

PRZEMÓWIENIE NA OTWARCIU ZJAZDU NAUKOWEGO IM. J. KOCHANOWSKIEGO W KRAKOWIE

w dn. 8 czerwca 1930 r.

Cały polski świat kulturalny winien jest głęboką wdzięczność Polskiej Akademji Umiejętności za zwołanie tego świetnego Zjazdu.

Żyjemy w epoce niezwyklej i trudnej.

Mylił się ten, kto przypuszczał, że po strasznej burzy wojennej, jakiej nigdy przedtem nie widziały dzieje, przerażony duch człowieczy przypadnie w wyczerpaniu ku ziemi i w cichym spoczynku poszuka ukojenia. Bo uparty duch człowieczy znów prze naprzód, znów szuka i próbuje, znów ma swoje plany i swoje ambicje. Prawda, że wedle wszelkich zewnętrznych objawów dotychczas jest w tym współczesnym nam wysiłku więcej niepokoju szukania, niż triumfu znalezienia, więcej hipotez, niż pewników, więcej eksperymentów, niż trwałych zdobyczy. Ale pomimo to, czy też może właśnie dlatego natychmiast po katastrofie na nowo podjęty wyścig państw i narodów trwa, wyścig ku znalezieniu trwałych podstaw do przyszłej przewagi duchowej, a w potrzebie i fizycznej. Nikt, komu życie miłe, nie może się od tego wyścigu uchylić; nie możemy się od niego uchylić i my w swoim młodem odrodzonym państwie. Przeciwnie, pod grozą utraty tego najwyższego dobra, jakie nam przyniosła błogosławiona dla nas

wojna światowa, musimy innym dotrzymać kroku i placu. Sił nam wielkich potrzeba: energii niespożytej, ofiarności najszczerzej, pracy wytrwałej a umiejętnej.

W takiej chwili dziejowej dobrze jest od czasu do czasu nawrócić myślą i uczuciem do tego złotego okresu naszej historii, kiedy w potężnej Rzeczypospolitej na wszystkich polach bujnie i zwycięsko pulsowało życie. Kiedy polityka praktyczna stworzyła Unję Lubelską, a potem wcieliła się w spiżową postać Batorego, kiedy polityka teoretyczna — jeżeli tak można się wyrazić — znalazła swój wyraz wspaniały w dziełach Modrzewskiego, kiedy sztuka niosła najwytworniejsze kwiaty renesansu, kiedy w nauce świeżym blaskiem błyszczało nazwisko Kopernika, i kiedy na niebo poezji nagle a wysoko strzeliła gwiazda Jana Kochanowskiego.

Zjazd, który w tej chwili mam zaszczyt powitać, ma nas zbliżyć do tej pięknej naszych dziejów epoki. Świetny zastęp znakomitych badaczy i uczonych ma rzucić nowe światło na nasz bogaty spadek kultury renesansowej, na bujne życie ówczesne, ma odmierzyć właściwą miarą, co zawdzięczamy sobie, a co innym i ujawnić siłę naszej ekspansji kulturalnej. I na tem przedewszystkiem polega niepospolite tego zjazdu znaczenie.

Ale zjazd ten ma spełnić jeszcze inne zadanie: ma on złożyć hołd największemu poecie niepodległej Polski.

My, Polacy, wiemy i często to powtarzamy, że mamy stokroć więcej niż inni powodów, by należycie rozumieć i cenić wartość wielkiej narodowej poezji. Ona to, wielka poezja narodowa, umożliwiła nam przetrwanie okropnej nocy niewoli w wierze i nadziei.

A jakąż jest Kochanowskiego dla tej poezji zasługa? Zaiste, niecodzienne to w dziejach literatury zjawisko: jeden natchniony człowiek wysiłkiem twórczym dźwignął niemal z nicości poezję ojczystą na poziom wielkich literatur europejskich.

Nasi uczeni badacze twierdzą, że bez Kochanowskiego nie byłoby Mickiewicza, a przecież i o Mickiewiczu inny wielki wieszcz narodu powiedział: „My wszyscy z niego“.

To też niech nikogo nie dziwi, że myśl należytego uczczenia pamięci owego wielkiego koryfeusza sztuki — naszego pierwszego narodowego poety — podjęła najwyższa reprezentacja nauki polskiej.

I również niech nikogo nie dziwi, że w tym świetnym zjeździe tak tłumny biorą udział i uczeni, i artyści, i wychowawcy młodych pokoleń, i politycy, i poeci.

Wszyscy mają dość powodów, aby na tym zjeździe zmanifestować swą miłość i cześć. Poeci — dla wielkiego praojca, od którego się wywodzą, uczeni — dla najwybitniejszego przedstawiciela renesansu polskiego, politycy — dla reprezentanta zdrowej myśli państwowej, pedagogzy — dla jednego z wielkich wychowawców narodu.

A zresztą, pocóż się ustawiać w koła grup zawodowych, kiedy wszystkich nas tu skupia i jednoczy niewymowna wdzięczność dla poety, który dał najszczerzy wyraz prostym, ale jakże głębokim i niezmiennym uczuciom ludzkim, bo umiłowaniu ojczyzny, ziemi i rodziny; który dał wyraz godności ludzkiej i dumie narodowej, który dał wyraz wzlotom i upadkom duszy wieżącej.

*

Z polecenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, jako członek Rządu, a w szczególności kierownik centralnego urzędu państwowego, któremu powierzona jest piecza nad nauką, sztuką i oświatą, poczuwam się do obowiązku złożenia tu publicznie gorącego podziękowania Polskiej Akademji Umiejętności za inicjatywę i organizację tego Zjazdu.

Witając ten Zjazd serdecznie, życzę mu, aby jak najbogatsze były jego bezpośrednie wyniki naukowe, oraz był stał się on bodźcem, ożywiającym na czas dłuższy badania nad polskim renesansem.

Ale przede wszystkim życzę temu Zjazdowi, aby jego uczestnicy, skąpani w atmosferze złotego wieku naszych dziejów, roznieśli na Polskę iskry tych wartości, które zrobiły Ją niegdyś potężną i sławną, które pociągały

ku Niej serca ludów ze wschodu i zachodu, które uczyniły z Niej niezawodną ostoję dla przyjaciół i niezwalczoną przeszkodę dla wrogów.

Wiek Jana Kochanowskiego, piękny złoty wiek naszej kultury, niech się stanie jednym ze źródeł ożywczych dla sił, które są niezbędne do spełnienia zadań historycznych, dzisiaj przed nami stojących.

PRZEMÓWIENIE NA OTWARCIU „BIBLIOTEKI NARODOWEJ”

w dn. 28 listopada 1930 r.

Z niezwykle wzruszeniem, z uczuciem głębokiej pokory osobistej, ale równocześnie z poczuciem godności i dumy narodowej zabieram w tej chwili głos, aby dokonać aktu, który — wierzę w to mocno — zapisze się trwałymi zgłoskami w dziejach kultury polskiej.

Oto witam Cię, Najdostojniejszy Panie Prezydencie Rzeczypospolitej, witam Was, Dostojni Goście, witam w szczególności Was wszystkich, cichych, ale nieraz jakże zasłużonych pracowników na niwie ducha polskiego, i ogłaszam Wam, że z dniem dzisiejszym otwiera swe podwoje „Biblioteka Narodowa“ w Warszawie.

Myślę, że nie myli mnie uczucie, mówiąc mi, iż w chwili tej dokonywa się akt historycznego dla kultury polskiej znaczenia. Bo jakże mnie mylić może, skoro jest rzeczą oczywistą, że w chwili tej nawiązujemy jedną z ważnych nici naszej pracy kulturalnej, zerwaną przed półtora niemal wiekiem przez przemoc zaborców.

Wystarczy stwierdzić, że podwaliną tej otwieranej przez nas dzisiaj biblioteki jest zagrąbiona nam przed 135 laty Biblioteka Załuskich.

Zaprawdę, trudno o wymowniejszy niż geneza „Biblioteki Narodowej“ dowód ścisłego związku naszego odradzania się kulturalnego z odrodzeniem państwowem.

Oto widzimy, jak w wieku niewoli po całej Europie rozproszone skarby naszej kultury z chwilą odzyskania niepodległości, jakgdyby siłą cudownego magnesu ściągane, dążą do serca Ojczyzny, do stolicy Polski.

Ze wschodu powracają zbiory Załuskich i Towarzystwa Przyjaciół Nauk, z zachodu biblioteki rapperswylska, batignolska, Towarzystwa Demokratycznego i inne.

A równocześnie w kraju wytryska źródło ofiarności publicznej, i ludzie pojedynczy, osoby prywatne spieszą z własnymi, nieraz przez pokolenia całe gromadzonymi księgozbiorami, by ofiarować je i włączyć do „Biblioteki Narodowej“.

I oto jesteśmy świadkami tego — rzechy można — cudu, że ta, licząc od dnia jej wskrzeszenia, najmłodsza biblioteka polska odrazu w pierwszym dniu swego istnienia jest równocześnie jedną z największych i najbogatszych, posiadając ponad 500.000 numerów inwentarza i zawierając w swych magazynach rękopisy i inkunabuły takiej ceny i naukowej wartości, że mogłyby one być chlubą każdej nawet najstarszej i najbogatszej biblioteki świata.

Czy jest to istotnie cud?

Zapewne. Cud Opatrzności, która nas z domu niewoli na światło wolności wywiodła, cud sprawiedliwości dziejowej, która naprawiła krzywdę, jakiej nigdy przedtem nie widziały dzieje.

Ale pamiętajmy, że cud ten został okupiony obfitą ofiarą krwi szarego żołnierza polskiego oraz genjuszem i wolą nieugiętą Wodza tych naszych szarych zastępów.

To też w dniu, w którym otwieramy podwoje tej świątyni kultury polskiej, w której pełnić się będzie błogosławione misterjum duchowej współpracy wieków minionych z pokoleniem żyjącem, niechaj w tym dniu myśl nasza pobiegnie na dalekie i bliskie krwawe bojowiska, niech przypadnie dziękczynna do grobu Nieznanego Żołnierza, niech kwiatem wdzięczności rozsypie się u stóp zwycięskiego Wodza.

A my, którym dane jest spożywać owoce zwycięstwa, baczmy, abyśmy nietylko niczego z nich nie uronili, ale

abyśmy pomnożyli i w opoće ducha utrwaliли to, co siłą miecza odzyskane zostało.

*

Fundowanie „Biblioteki Narodowej“ nie kończy się z dniem dzisiejszym.

Nam, przedstawicielom władzy państwowej, wypada pamiętać, że „Biblioteka Narodowa“ nie posiada jeszcze własnej, godnej jej majestatu siedziby. Budowa gmachu „Biblioteki Narodowej“ staje się z dniem dzisiejszym zadaniem tem bardziej aktualnem.

Nie będziemy mogli przystąpić do niego natychmiast.

Trzeba pierwiej wybudować nową siedzibę dla starszej siostrzycy tej biblioteki, dla naszej czcigodnej „Biblioteki Jagiellońskiej“, który to gmach rozpoczniemy wznosić już najbliższą wiosną. „Biblioteka Narodowa“ na własny gmach będzie musiała poczekać jeszcze lat kilka. Przewidując to, a nie chcąc, aby ten tak bogaty księgozbiór aż do tego czasu leżał w prowizorycznych magazynach, niedostępny dla pracy naukowej, weszliśmy w porozumienie z Zarządem Wyższej Szkoły Handlowej, dopomogliśmy finansowo do wzniesienia gmachu jej własnej biblioteki, wprowadziliśmy się do niego jako zasobny lokator, opłacając czynsz dzierżawny za kilka lat zgóry, i w ten sposób dostarczyliśmy „Bibliotece Narodowej“ siedziby wprawdzie tymczasowej, ale wcześniejszej i pewnej, której wygodę i splendor zewnętrzny nasi Wielce Szanowni nam Goście dzisiaj sami mają sposobność osądzić.

Wydaje nam się, że w gmachu tym polska „Biblioteka Narodowa“ będzie mogła pełnić godnie swą dziejącą pracę.

Niech idzie ta praca! Niech w murach tych mówią do nas wieki. Niech tu uczony polski znajduje natchnienie dla nowych ducha zdobyczy, niech młodzieniec polski, co po mądrość wieków w te mury wejdzie, znajdzie w nich pokarm, który prawdą i dobrem duszę mu rozświecili.

A gdy życzenie to wypowiadam, wydaje mi się, że genjusz naszej starej kultury, że głosy pokoleń minionych, że duchy wszystkich tych mężów światłych a sprawiedliwych, uczonych a szlachetnych, których myśl i uczucie zamknięte są w zgromadzonych tu księgach, że wszystkie te duchy są tu w tej chwili wśród nas na tej sali i że wraz z nami mówią: „Quod felix, faustum, fortunatumque sit!”

PRZEMÓWIENIE NA POWSZECHNYM ZJEŹDZIE HISTORYKÓW POLSKICH W WARSZAWIE

w dn. 30 listopada 1930 r.

W imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej witam ten świetny zjazd i życzę mu jak najowocniejszych obrad.

Życzenia te składam szczególnie serdecznie jako ten członek Rządu, którego pieczy powierzone jest wychowanie przyszłych obywateli Państwa.

Nie jestem pewien czy w nauce dzisiejszej utrzymała całą swoją dawną wartość stara maksyma, że historia jest mistrzynią życia, ale to wiem napewno, że jeżeli w szkole mamy uczyć nie dla szkoły, lecz dla życia, to na terenie szkoły, zwłaszcza nowoczesnej szkoły wychowawczej, historia mistrzynią życia być musi. A gdy to mówię, nie mam na myśli ani tendencyjnego świętoszkostwa, co za swój obowiązek ukrywanie prawdy historycznej uważa, ani naiwnego dydaktyzmu, co preparuje historję ad usum delphini. Zdrowych obywateli można wychować tylko na zdrowym chlebie prawdy, nigdy na aptecznych preparatach sztucznych odżywek.

Ale Wy, Szanowne Panie i Szanowni Panowie, którzy pracujecie na niwie historii, jesteście jak górnicy, co w mrocznych kopalniach przeszłości diamentów prawdy szukają. Z tej pracy Waszej powstaje skarbiec tak bogaty, iż niema człowieka na świecie, któryby znał

wszystkie tego skarbcza klejnoty. Nie potrzebujecie zamykać i strzec tego skarbcza przed nikim, bo bogactwa jego nie podlegają kradzieży. Ale w Waszej jest mocy, na co zwiedzających ten skarbiec szczególną uwagę zwrócić. I od Was zależy, co z tego skarbcza do szkół, kształcących młode pokolenia, wniesiecie.

I to jest Wasz pierwszy problemat wychowawczy.

Ale jest i drugi.

W skarbcu swoim macie, Szanowni Państwo, klejnoty o różnych właściwościach działania.

Są takie, które działają prawie wyłącznie na umysł, a są i takie, które działają przede wszystkim na serce.

Jako jeden z tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za skuteczność wychowania młodych pokoleń dla dobra i potęgi Państwa, ośmielam się prosić Was, Panie i Pannowie, abyście, nie lekceważąc tych pierwszych klejnotów, szczególnem staraniem otoczyli te drugie. Wydaje mi się to koniecznem zwłaszcza dziś wobec ciągle jeszcze trwającego w wychowaniu przerostu intelektualizmu (przynajmniej w praktyce wychowawczej). Intelektualizm rodzi relatywizm. Tylko uczucie nie podlega dyskusji! A nam tak bardzo potrzeba, aby młodzież nasza wchodziła w życie możliwie najlepiej zaopatrzona w zasady bezsporne i nie podlegające dyskusji. Żeby dobrze nie tylko wiedziała, ale i odczuwała, co jest czarne, a co białe, i żeby nie miała wrażenia, że wszystko jest szare.

Proszę mi wybaczyć tę może nieco nieoczekiwaną wybieczkę w dziedzinę pedagogiki w przemówieniu powitalnem na zjeździe naukowym historyków polskich. Niech mnie tłumaczy okoliczność, że w organizacji tego zjazdu przewidziana jest również sekcja dydaktyki historii. Nadewszystko jednak niech mnie usprawiedliwia to, iż pamiętam, czem była dla nas historia w czasach niewoli. Właściwie to ona była tą „arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty“, ona krzepiła nam serca, ona nam niosła wieczną tęsknotę wolności i pełniła w ten sposób swą wielką misję wychowawczą.

Myślę więc, że wolno jest pragnąć, aby historia pol.

ska, która spełniła swą misję wobec narodu pogrążonego w niewoli, spełniła ją także wobec tych pokoleń, którym wprawdzie więcej dano, ale od których za to znacznie się więcej wymaga.

Właśnie dlatego, że pragnę tego gorąco, szczerze i gorąco są moje dla tego zjazdu życzenia.

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI OTWARCIA BIBLIOTEKI I MUZEUM ORDYNACJI KRASIŃSKICH W WARSZAWIE

w dn. 2 grudnia 1930 r.

Pan Prezydent pozwoli, a Szanowni Zebrani napewno nie wezmą mi tego za złe, że krótkie swe przemówienie skieruję bezpośrednio do sprawcy tej naszej dzisiejszej uroczystości, Wielce nam Szanownego Gospodarza tego przybytku nauki i sztuki, w którego murach w tej chwili gościmy.

Panie Hrabio!

Minister Oświaty odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej nie może powiedzieć o sobie, by miał zbyt częstą sposobność uczestniczenia w uroczystości inauguracji jakiejś poważniejszej placówki kulturalnej, fundowanej nie z funduszków publicznych.

Nie będę dochodził przyczyn tego zjawiska, wśród których powojenne warunki gospodarcze niewątpliwie także grają swoją rolę. Ale właśnie wskutek tego, gdy taka rzadka sposobność się nadarzy, cenimy ją sobie wszyscy tem wyżej.

Pan, Panie Hrabio, znajdujesz w sercu swoim tyle dobrej i mocnej woli, że nawet w trudnych powojennych warunkach umiesz realizować szlachetne ambicje swego sławnego w dziejach naszych rodu. Bądź przekonany, Panie Hrabio, że afekt moralny Twego postępowania wykroczy daleko poza podtrzymanie blasku Twego rodowego nazwiska.

Słyszymy niekiedy narzekania na etatyzm, jakoby zbyt szerszą się w dziedzinie gospodarczej. Ale rzecz znamienna, że mało kto zwraca uwagę, iż wyłączność etatyzmu o wiele realniej zagraża nam w innej, znacznie mniej dla etatyzmu odpowiedniej dziedzinie, mianowicie w dziedzinie nauki i sztuki. Państwo nie może oczywiście uchylić się od swego możliwie najbardziej wydatnego udziału w popieraniu tych dziedzin, ale pójście całej nauki i sztuki na wyłączne utrzymanie państwa nie byłoby chyba zjawiskiem pożądanym i zdrowym. Wprawdzie jest tak dzisiaj w jednym z państw europejskich i to nawet sąsiadującym z nami, ale nie ośmieliłbym się twierdzić, że jest to wykwit cywilizacji europejskiej, a przynajmniej zachodnio-europejskiej.

Pan, Panie Hrabio, kontynuując piękne tradycje opiekuńczego mecenasostwa nad sztuką i nauką, wyświadczasz cenną przysługę naszej polskiej najgłębiej pojętej kulturze.

Pozwól, że w imieniu tej kultury złożę Ci za to publiczne podziękowanie.

Pozwól także, że do tej podziękacji dołączę najserdeczniejsze życzenia, aby ta sumptem Twoim utrzymywana instytucja rozwijała się tak pięknie, jak pięknymi są Twoje, Panie Hrabio, szlachetne intencje.

PRZEMÓWIENIE NA POŚWIĘCENIU GMACHU MINISTERSTWA W. R. i O. P. W WARSZAWIE

w dn. 19 grudnia 1930 r.

Uważam za swój obowiązek serdecznie podziękować wszystkim naszym Dostojnym Gościom, którzy obecnością swą zechcieli uświetnić naszą skromną wprawdzie, lecz tem niemniej drogą nam uroczystość. Z uczuciem szczególnej wdzięczności dziękuję J. E. Ks. Kardynałowi za to, że zechciał osobiście pobłogosławić ten nowy przybytek naszej odpowiedzialnej pracy.

Jestem przekonany, że dzień dzisiejszy, dzień niejako oficjalnego wejścia w posiadanie tego gmachu przez Ministerstwo W. R. i O. P., będzie datą pamiętną w historii tego urzędu.

Przez lat 12, licząc od odzyskania niepodległości, najwyższy urząd państwowy dla spraw kultu religijnego, dla spraw kultury i sztuki, urząd, będący równocześnie najwyższą magistraturą szkolną, rozbity na 10 różnych ułamków, musiał tułać się po (nieraz odrapanych) kamienicach czynszowych. Była to sytuacja, której nie waham się nazwać niedorzeczną z każdego punktu widzenia. Przedewszystkiem była to niedorzeczność gospodarcza, bo, nie licząc lokali zajmowanych w 4-ch kamienicach rządowych, za czynsze w zajmowanych na biura Ministerstwa kamienicach prywatnych Skarb Państwa płacił 100.000 zł. rocznie. Była to następnie niedorzeczność z punktu widzenia sprawności administracji,

bo proszę sobie wyobrazić normalne funkcjonowanie urzędu, którego poszczególne części były rozrzucone w 8 różnych punktach tak wielkiego miasta, jak Warszawa, w punktach, oddalonych od siebie nieraz po kilka kilometrów. Była to wreszcie niedorzeczność z punktu widzenia zadań kulturalnych, które urząd ten miał pełnić, bo wyglądem każdego kąta swojego lokalu urząd ten przeczył zadaniom, do których został powołany. A jednak ta paradoksalna sytuacja trwała przez szereg lat i aż do roku 1926 nie znajdowano z niej wyjścia.

Dopiero na jesieni 1926 r. ówczesny Kierownik Ministerstwa Oświaty, a równocześnie zastępca Prezesa Rady Ministrów, prof. Kazimierz Bartel nie tylko zrozumiał paradoksalność tej sytuacji, ale znalazł w sobie dość inicjatywy i mocnej woli, aby jej położyć kres.

Wybrano plac i ogłoszono konkurs na projekt budynku. W marcu 1927 roku konkurs rozstrzygnięto. W kwietniu 1927 roku przystąpiono do rozbiórki stojących na placu starych budynków. W lipcu — rozpoczęto roboty ziemne, we wrześniu 1927 roku dokonano aktu poświęcenia kamienia węgielnego. W niespełna trzy lata, bo już w maju 1930 roku oddano gmach do użytku Ministerstwa, a przed tygodniem dn. 13 grudnia 1930 roku zakończono zewnętrzne roboty kamieniarskie.

Jak ten gmach wypadł, — Szanowni Państwo sami zapewne zechcą osądzić.

Od siebie pozwolę sobie tylko dodać, że pojęcie o właściwych rozmiarach gmachu można mieć dopiero po dokładniejszym jego obejrzeniu.

Liczy on blisko 60.000 m³ budowy (dokładnie 56.367 m³). Zawiera ogółem, to znaczy wraz z mieszkaniem Ministra, Wiceministra, mieszkaniami służby i zarządzającego, 334 pokoje.

Budowa pomyślana jest tak, że 50% urzędników Ministerstwa ma osobne pokoje do pracy. Obecnie na trzydziestu dwudziestu czterech zatrudnionych w Ministerstwie urzędników — ma osobne pokoje do pracy stu sześćdziesięciu.

Koszt budowy wyniósł 6.000.000 (sześć milionów) złotych. Jeżeli się zważy objętość gmachu, którą wymienię, dochodzącą do 60.000 m³, i porówna, że dziś koszt zwykłej żelazobetonowej budowy w Warszawie dochodzi, a czasem przechodzi 100 złotych za metr sześcienny, to już z tego widać, że projektodawcy i budowniczy gmachu nie pozwalali sobie na żadne daleko idące luksusy.

Z zadowoleniem stwierdzić mogę, że prawie wszystkie materiały, użyte do budowy, z wyjątkiem części marmurów na słupach, które Szanowni Państwo widzieli w hallu, marmurów na parapety okienne, i oczywiście niektórych instalacji wewnętrznych, niewyrabianych w kraju, wszystko inne, wraz z marmurami hallu i klatki schodowej pochodzi z produkcji krajowej.

Ze specjalną dumą pozwolę sobie podnieść, że gmach ten jest takim, jakim jest, dzięki talentowi dwóch pracowników Ministerstwa Oświaty.

Projektodawcą gmachu i nieznużonym promotorem kontynuacji budowy jest naczelnik Wydziału Budownictwa w naszym Ministerstwie, prof. Zdzisław Mąceński, a projektodawcą wewnątrz — ówczesny dyrektor Departamentu naszego Ministerstwa — prof. Wojciech Jastrzębowski. Jeżeli Szanowni Państwo, oglądając gmach, uznają, że jest to robotą, która się udała, to tym dwóm naszym ministerjalnym kolegom należą się serdeczne gratulacje.

Szanowni Państwo! To krótkie informacyjne przemówienie pozwolę sobie zakończyć pewnem życzeniem.

Kilkanaście dni temu jeden z naszych znanych publicystów, bardzo zagorzały piłsudczyk, w rozmowie ze mną o stanie dzisiejszej polskiej sztuki wyraził żal, że epoka Józefa Piłsudskiego nie stworzyła dotychczas w sztuce dostatecznie świetnych pomników, któreby tę epokę charakteryzowały. Nie wiem czy gmach ten, którego poświęcenie dzisiaj obchodzimy, w dziejach architektury będzie zaliczony do stylu z epoki Józefa Piłsudskiego. Ale bardzobym pragnął, aby praca, jaka się w tym gmachu odbywa i odbywać będzie, była prze-

niknięta idea Józefa Piłsudskiego. Rozumiem przez nią ideę wytrwałej i ofiarnej pracy dla państwa. Pracy dla państwa w potrzebie wbrew własnym osobistym i stanowym interesom, wbrew własnym i stanowym ambicjom, a gdy zajdzie konieczność, wbrew potrzebom własnego zdrowia i życia. Niech ta idea panuje tutaj po wsze czasy, dopóki gmach ten stać będzie, i niech z tego gmachu promieniuje na całą Polskę, a zwłaszcza na jej młode, do służby państwu przygotowujące się pokolenia.

Jeżeli Szanowni Państwo pozwolą, to na tym skończymy główną część naszej uroczystości.

WYWIAD Z P. MINISTREM W. R. i O. P.,
DR. SŁAWOMIREM CZERWIŃSKIM,

*drukowany w „Wiadomościach Literackich“
w dn. 4 stycznia 1931 r.*

— Czy można zapytać, co skłoniło p. Ministra do ustanowienia nagrody literackiej za książkę dla młodzieży?

— Nie potrzeba być zawodowym wychowawcą, aby zrozumieć, jak wielką rolę w wychowaniu młodzieży odgrywa t. zw. lektura pozaszkolna. Ona kieruje wyobraźnią młodzieży, krystalizuje jej uczucia i sądy, wyrabia takie lub inne ambicje i dzięki temu wywiera zawsze wielki wpływ na wartość moralną wychowanka, a niekiedy wręcz decyduje o całej dalszej jego drodze życiowej. Dodać należy, że wpływ lektury jest zazwyczaj silny na jednostki nieprzeciętne, o żywszej wyobraźni, silniejszych ambicjach i większej wrażliwości na piękno. To też naród, któremu naprawdę zależy na tem, aby jego młode, wchodzące w życie pokolenia były dobrze przygotowane do czekających je zadań, powinien szczególną troską otaczać ten potężny środek wychowawczy, jakim jest lektura.

Pod tym względem stan rzeczy w Polsce pozostawia jeszcze bardzo wiele do życzenia. Można powiedzieć bez przesady, że poza kilku, dosłownie kilku chlubnymi wyjątkami nie posiadamy własnych dobrych książek, pisanych specjalnie dla młodego pokolenia. Potop

marnych przekładów, który tak niepokojąco zalewa nasz rynek księgarski w dziedzinie beletrystyki dla starszych, jest co najmniej równie realnem zjawiskiem, gdy chodzi o beletrystykę dla młodzieży. Nasi najbardziej utalentowani pisarze zazwyczaj lekceważą sobie ten dział literatury, uważając go za pole pracy, odpowiedniejsze dla zawodowych pedagogów, niż dla szanujących się literatów. Wydaje mi się, że niema nic niesłusznieszego od tego poglądu.

Przedewszystkiem młodzież — to świat czytelniczy o wiele wdzięczniejszy od świata starszych.

Młodzież czyta dużo, gdy starsi czytają zazwyczaj niewiele. Młodzież każdą czytaną dobrą książkę naprawdę szczerze przeżywa, gdy starsi nawet dla dobrej książki mają cały arsenał uczuć takich, jak znudzenie, sceptycyzm, święte oburzenie i t. p. Jestem przekonany, że niejeden z naszych współczesnych pisarzy po napisaniu dobrej książki dla młodzieży byłby sowiec wynagrodzony za czarną niewdzięczność, jaka go dotychczas spotykała ze strony t. zw. społeczeństwa starszego.

Pośpieszam dodać, że literaci nasi są w błędzie, jeżeli przypuszczają, że my, zawodowi wychowawcy, żądając od nich książek dla młodzieży, tem samem chcemy ich zaprząć do swego ciężkiego pługa i skłonić, aby pisali utwory, obciążone jaskrawą tendencją i naszpikowane maksymami moralnemi. Nic podobnego! Niezdarna i ordynarna tendencja, która jak szydło z worka wyłazi z utworu literackiego, zbankrutowała nietylko w literaturze dla starszych. Niestety, — czy może: na szczęście, — poznaje się na niej i młodzież, więc nikogo na tę drogę wciągać nie chcemy.

Od autorów książek dla młodzieży żądamy tylko dwóch rzeczy: 1) aby pisali książki dobre pod względem literackim, t. zn. stojące na wysokim poziomie sztuki pisarskiej, i 2) aby pisząc je, pamiętali, że piszą dla młodzieży.

Żądanie pierwsze, przypuszczam, nie wymaga dodatkowych wyjaśnień. Nie sądzę również, aby było to żądanie nierealne. Mamy przecież nieliczne wprawdzie,

ale bardzo przekonujące przykłady, że w tej dziedzinie literatury można tworzyć prawdziwe arcydzieła. Przez żądanie drugiego rozumem przede wszystkim prośbę o unikanie tego wszystkiego, co mogłoby wywoływać u młodzieży niezdrowe pod względem moralnym uczucia i myśli, a następnie — pisanie w sposób, któryby przemawiał do duszy młodzieży.

Przy tej sposobności chciałbym usunąć nieporozumienie, w jakie wpadają pewni pisarze, a nawet wychowawcy, oceniający książki dla młodzieży. Polega ono na nieorientowaniu się w tej bezspornej prawdzie, że nie każda książka o młodzieży jest równocześnie książką dla młodzieży. Nie wystarcza więc wprowadzenie do powieści dziesięcioletnich czy szesnastoletnich bohaterów, aby tem samą książką już była lekturą zajmującą i odpowiednią dla czytelników w tym samym wieku. Ważniejsze jest, aby autor umiał patrzeć na świat oczami młodzieży. To dopiero stanowi właściwą zasadę rozróżnienia tej kategorii literatury.

— Więc gdy chodzi o t. zw. tendencję wychowawczą, p. Minister nie żąda jej zupełnie w książkach dla młodzieży?

— Nawet w książkach dla młodzieży pożądaný efekt wychowawczy nie może być skutkiem sztucznie wtłoczonej tendencji, ale wynikiem, że tak powiem, naturalnych wartości utworu. Dlatego też sądzę, że walory wychowawcze, na których nam oczywiście zależy, zawarte są w dwóch koniecznych a już wymienionych przeze mnie cechach utworu.

Nie powiedziałbym jednak wszystkiego, gdybym równocześnie nie wyznał, iż, ograniczając się do dwóch wspomnianych warunków, liczę na to, że zdrowa i o doniosłych skutkach wychowawczych tendencja rodzić się będzie sama w duszach piszących, jeżeli tymi piszącymi będą właściwi kontynuatorowie wielkiego, najgłębszego nurtu naszej literatury. Bo jestem pewien, że wówczas liczyć możemy na kontynuację służby ohywatelskiej, jaką od wieków pełni nasza literatura i jakiej — śmiem sądzić — nie potrzebuje i nie powinna się wyrzekać

wogóle, a tem mniej, gdy chodzi o twórczość dla młodzieży.

Skoro powiedziałem już tyle, dodam jeszcze, że cieszyłbym się szczerze, gdybym widział, że nasza literatura dla młodzieży pobudza młodych czytelników do myślenia o zadaniach i zagadnieniach współczesnego życia Polski.

Mamy bardzo wiele nędznych utworów, żerujących na cikliwym patryjotyzmie wobec minionej przeszłości, odwołujących się do łatwego sentymentu, który nic nie kosztuje i do niczego nie zobowiązuje. Tymczasem jedno z najważniejszych zadań wychowawczych w Polsce dzisiejszej to wyrabianie nowego twórczego patryjotyzmu, zwróconego swemi ambicjami przedewszystkiem w przyszłość. Trzeba wyrabiać w naszej młodzieży kulturę duchową, polegającą na odwadze moralnej przy stawianiu sobie celów życiowych, na zrozumieniu i odczuciu piękna wysiłków w walce o nowe życie, na realizowaniu misji dziejowej, która przypadła w udziale naszemu odrodzonemu państwu.

Chodzi mi o to, aby za pośrednictwem najlepszych piór naszej literatury wzbudzić w duszach młodzieży zrozumienie świętej powagi życia, jego olbrzymich perspektyw, które mogą pchnąć młode dusze ku ulepszeniu tego, co wymaga naprawy, chodzi mi wreszcie o wpojenie w młodzież przekonania, że prawdziwy i najwyższy patryjotyzm — to praca, walka i ofiara dla górnej i radosnej przyszłości.

PRZEMÓWIENIE PODCZAS BANKIETU NA CZEŚĆ
LEOPOLDA STAFFA, Z OKAZJI TRZYDZIESTOLECIA
JEGO TWÓRCZOŚCI,

w dn. 16 maja 1931 r.

Wielce Szanowny Panie, a Czcigodny Nasz Dzisiejszy Jubilacie! Pozwól, że rozpocznę od osobistego wspomnienia.

Było to lat temu niewiele mniej, niż trzydzieści, a działo się w pewnem prowincjonalnem mieście t. zw. Kongresówki. W mieście tem — jak zresztą wówczas w każdym większem mieście tego kraju, — grupa polskich uczniów w rosyjskich mundurkach gorliwie uprawiała konspirację. Ośrodkiem tej konspiracji był niewielki, ale dla uczniów bardzo cenny, zwłaszcza, że przez władze szkolne surowo zakazany księgozbiór.

Przypominam sobie niezwykle wzruszenie i zupełnie szczególne uczucie, gdy jako konspirator z V klasy gimnazjalnej zostałem pierwszy raz wprowadzony do małego pokoiku, w którym na dwóch rzędach półek stały owe niedozwolone książki. Naówczas nie mogłem zdać sobie sprawy z charakteru tego niezwykłego uczucia. Dziś je rozumiem. Było to uczucie młodego spiskowca, którego pierwszy raz wprowadzono do tajemniczego arsenału, zawierającego dynamit, który miał wyśadzić w powietrze ówczesny nienawistny porządek rzeczy.

I oto w tym skromnym i z pozoru tak niewinnym arsenale znajdowała się m. in. niewielka rozmiarami książeczka, którą nasza dzisiejsza uroczystość żywo mi na pamięć przywodzi. Rzecz szczególna. Pomimo iż

nie była to żadna broszura polityczna, ani nawet żadne o dawnej polskiej świetności opowiadanie historyczne, pociemniałe na rogach kartki tej książki, oraz liczne podkreślenia w tekście i uwagi na marginesie świadczyły, że często była ona w czytaniu. Nic dziwnego! Były to przecież „Sny o potędze“, a ta młodzież ówczesna istotnie o potędze śniła. Przytem zaczynał się ten tomik wierszem, który cieszył się wśród nas szczególną popularnością. Wiersz o owym kowalu, co to na stalowym kowadle wykuwa własne swoje serce.

I to nic nie szkodzi, że dziś, patrząc na te chwile z wysokości lat, od tych czasów przeżytych, możemy z uśmiechem pobłażania wspominać owych 16-letnich terrorystów, z których każdy z patosem zapewniał, że wykuwa sobie „serce hartowne, męzne, serce dumne, silne“, i zaklinał się równocześnie, że raczej w pył rozbije to swoje serce,

„Nizby żyć miało własną słabością przekłętą,
Rysą chorej niemocy skażone, pękniętą“.

Bo nie było w tym patosie nieprawdy!

Ta młodzież istotnie na tej poezji wykuwała w sobie uczucia, które były jej wielkim kapitałem moralnym, zabranym na niezwykłą drogę życia tego pokolenia.

Za tym pierwszym tomem Twojego, Czcigodny Mi-strzu, poetyckiego dzieła szybko następowały inne. Dziś po trzydziestu latach swej pracy twórczej, zaprawdę, masz na co obejrzeć się wstecz i masz z czego być dumny. Nie obniżyłeś chwałą okrytego sztandaru poezji polskiej!

Ale nie moja jest tutaj rzeczą głębsza ocena Twej niepospolitej w dziejach naszej literatury zasługi. Inni czynili to już i niezawodnie jeszcze uczynią lepiej i piękniej, a przede wszystkim bardziej fachowo. Mnie niechaj będzie wolno co najwyżej jako wyrazicielowi opinii tego tłumu ludzkiego, co z pracy Twojej korzysta, złożyć Ci tu zapewnienie, że zawsze chciwie słuchamy Twego głosu, bo nęci on nas w świat od naszego odmienny, szerszy, bogatszy; bo mówi o wiecznej prze-

mianie i konieczności wytrwałego dążenia, bo podziwiał trud i płodność ziemi a mózół człowieka, bo uczy czerpać siłę z tej miłości, „co słońce porusza i gwiazdy“.

A gdy znów ze stanowiska tego służy Rzeczypospolitej, do którego obowiązków należy czuwanie nad tem, jak głos poezji wpływa na duszę zbiorową narodu, gdy z tego stanowiska próbuję spojrzeć na Twoją twórczość, i gdy sobie uświadamiam, że przecież najlepsza część tego pokolenia, wśród którego przypadło Ci działać, poszła w życie mocno i ofiarnie, i zebrała nad podziw obfite swego wysiłku plony, to mimowoli zadaje sobie pytanie, ile w tych plonach jest Twojego siewu, znakomity Poeto!

Ale poeta jest dziwnym siewcą. Ziarna jego siewu możemy słyszeć i oglądać wszyscy. Trudniej już dostrzec ich kiełkowanie. A gdy czas żniwa nadchodzi, to z różnych siewów pochodzące plony są tak zmieszane i splątane ze sobą, że tylko głębsza analiza może z pewnością prawdopodobieństwem stwierdzić ich pochodzenie właściwe. Nie będę się w tę analizę zapuszczał. Mnie wystarczy głos wewnętrzny, poparty przez takie oto jak przed chwilą podane wspomnienia, który mi mówi, że wśród życiodajnych plonów, jakie zebraliśmy i jeszcze zbierzemy, od Ciebie, Czcigodny nasz Jubilacie, pochodzi dużo, nawet bardzo dużo.

Aby temu przekonaniu dać jakiś wyraz widomy, a realny, przyniosłem tu z sobą jako dar pokorny adresowane do Ciebie krótkie pismo urzędowe. Przyjm je, jako skromny dowód uznania i wdzięczności, który Ci przez ręce swego Rządu składa w dniu dzisiejszym całe społeczeństwo polskie.

Chciałbym zakończyć Twojemi słowy, Mistrzu! „Niech będzie pochwalony, uczczony śpiew poety!“ Ale nałóg przykładania przyziemnych kryterjów nawet do szczytów poezji sprawia, że i ten Twój wiersz zepsuje własnym, oczywiście nieudolnym, ale ze szczerego serca płynącym dodatkiem:

„Niech będzie pochwalony, uczczony śpiew takiego jak Ty — poety!“

PRZEMÓWIENIE NA SŁOWIAŃSKIM KONGRESIE PEDAGOGICZNYM W WARSZAWIE

w dn. 1 lipca 1931 r.

Ekscelencje! Szanowni Państwo!

W imieniu Rządu Rzeczypospolitej, a w szczególności w imieniu własnem, jako Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, witam ten Kongres i życzę mu najowocniejszych obrad.

Myszę, że jeżeli mają rację bytu zjazdu naukowe słowiańskie, to mają ją przede wszystkim słowiańskie kongresy pedagogiczne.

Wiemy, że wychowanie, a zwłaszcza wychowanie publiczne musi budować na najgłębszych pokładach zbiorowej duszy narodu. Ale w takim razie u nas, Słowian, musi ono sięgać aż do tej strefy psychicznej, która jest wspólną dla całej naszej rasy słowiańskiej.

Prawda, że czasy późniejsze, czasy historyczne różnie wytyczyły drogi naszych losów, i niejeden z naszych narodów w swym odrębnym pochodzie dziejowym wchłonął pewną ilość obcych naszej rasie pierwiastków. Ale równocześnie w tych pozornie tak różnych losach są analogie tak długotrwałe i bliskie, iż dziś trudno powiedzieć czy owe tysiąc lat zgórą naszego historycznego życia rozdzieliło nas tylko czy też pod wielu względami zbliżyło. W każdym razie zbliżyły nas dzieje najnowsze. Toć wśród narodów słowiańskich jest kilka, którym drugie dziesięciolecie wieku XX przyniosło polityczne wyzwolenie i zjednoczenie.

Główne zagadnienie wychowania publicznego u tych wszystkich narodów jest jedno: zamiast ideału walki z niewolą i rozdarciem stworzyć ideał wychowania do wolności i duchowego zespolenia.

Tu w Warszawie jesteście, Szanowni Państwo, w stolicy jednego z tych narodów słowiańskich, przed którymi ten problem stoi jak najżywiej.

Niechże duch tego miasta i całego kraju pomaga i błogosławi obradom Waszym.

NA POŚWIĘCENIE KAMIENIA WĘGIELNEGO POD NOWY GMACH BIBLIOTEKI JAGIELLOŃSKIEJ

dn. 13 czerwca 1931 r.

Z teki pośmiertnej. Z niewyłoszonych mów ś. p. ministra Śl. Czerwińskiego. Pisane w ostatnich miesiącach przed śmiercią.

Zapewne są w kraju, a być może są nawet wśród nas, tu zebranych, sceptycy, którzy tę naszą dzisiejszą uroczystość spotykają uśmiechem niedowierzania albo i sądem surowej krytyki.

Ludzie ci uważają, iż źle czynimy, skoro w okresie ciężkiej depresji gospodarczej przystępujemy do dzieła, które narazi Skarb Państwa na nowy poważny wydatek, że źle czynimy, rozpoczynając budowę nowego fundamentalnego gmachu w chwili, gdy w kraju całym budowa tylu innych dawniej rozpoczętych gmachów postępuje zbyt powoli z braku środków na szybkie ich wykończenie.

Jestem głęboko przekonany, że krytycy ci w stosunku do tego zamierzenia, którego symbol dzisiaj święcimy, nie mają racji.

Prawda, że ciężkim jest kryzys, pod którym ugina się nasze życie gospodarcze, prawda, że wielkie są trudności materialne, które nam obecnie przeżywać wypadło.

Ale jak wszystko na tym świecie jest względne, tak zwłaszcza nie są absolutnemi nawet największe trudności materialne wobec siły ducha ludzkiego.

Ustępują trudności, gdy duch jest od nich silniejszy, maleją przeszkody, gdy duch je przerasta.

Niema takich trudności materialnych, którychby prędzej czy później naród przemóc nie zdołał, jeżeli duch w nim jest żywy i potężny.

My, Polacy, powinniśmy o tem wiedzieć lepiej, niż inni.

A cóżże to czynimy w tej chwili my, tutaj zgromadzeni?

Oto kładziemy kamień węgielny pod gmach, który ma być ducha skarbnicą.

Oto zakładamy szczebel w wiodącej „ad astra“ drabinie, ustawionej tu niegdyś przez Piastów i Jagiellonów.

I któż ma nam prawo powiedzieć, że źle czynimy?

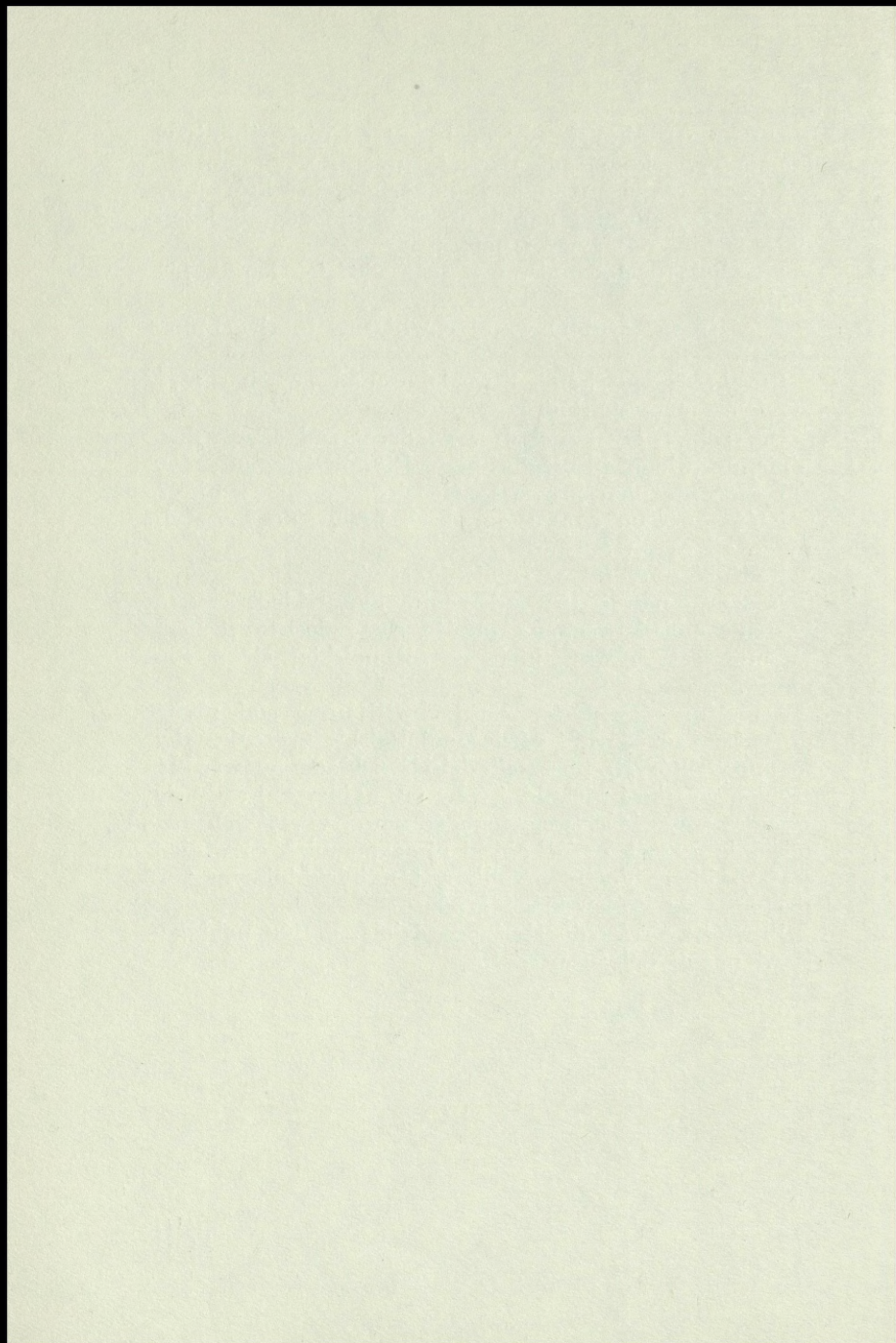
Któż ma nam prawo doradzać, byśmy do lepszych poczekali czasów?

Bądźmy spokojni w sumieniu swoim.

Bądźmy pewni, że uderzenie murarskiego młota w ten kamień węgielny odbije się radosnem echem w sercach tych wszystkich, co sól polskiej ziemi stanowią.

I bądźmy pewni, że w tej chwili uroczystej płyną do nas życzenia całej oświeconej Polski; życzenia, aby te mury, których początek dzisiaj zakładamy, wyrosły szybko, wysoko i pięknie, i żeby jak najprędzej stały się wymownem świadectwem tego, że nawet w ciężkich materialnie czasach naród polski nie zapominał, co winien jest wysiłkom ducha przodków i najpiękniejszym tradycjom tego królewskiego grodu.

Przyłóżmy rękę do zbożnego dzieła, a Bóg pobłogosławi naszej dobrej pracy!...



W OBRONIE SZKOŁY I NAUCZYCIELA

DEJAV III

W OBRONIE SZKOŁY I NAUCZYCIELA

PRZEMÓWIENIE NA POSIEDZENIU XXIV-tym SEJMU

Wysoka Izbo!

Wyznam, że z dwóch części wniosku, o którym teraz mowa, to znaczy części ogólnej i jej uzasadnienia, interesuje mnie bardziej uzasadnienie niż sam wniosek. Interesuje mnie bardziej uzasadnienie dlatego, że interesują mnie bardziej fakty konkretne, podane w uzasadnieniu, niż zarzuty ogólne. Dlatego też, wypowiadając się w sprawie tego wniosku nagłego, będę mówił przede wszystkim o faktach. Na wstępie tylko pozwolę sobie określić zasadnicze w tej sprawie stanowisko.

Wysokiej Izbie dobrze wiadomo, że jestem gorącym zwolennikiem i propagatorem szerzenia czci osoby i czynów Marszałka Piłsudskiego w szkole. (Oklaski na ławach B. B. W. R.). A potrzeby tego kultu nie motywuję ani żadnem religijnem uwielbieniem, ani nawet poczuciem sprawiedliwości historycznej, lecz poprostu najracjonalistyczniej pojętą koniecznością oparcia naszego wychowania publicznego na zdrowych podstawach ideowych. (Oklaski na ławach B. B. W. R.).

Pomimo to jestem równocześnie głęboko przekonany, że szerzenie tego kultu w naszym młodym pokoleniu metodami przymusu czy jakiegoś mechanicznego nacisku byłoby nie tylko politycznym błędem, ale i pedagogiczną niedorzecznością. (Oklaski na ławach B. B. W. R.; przerywania prawicy).

A gdy to mówię, chciałbym, żeby mnie słyszało całe nauceycielstwo polskie. Pracujmy nad utrwaleniem

w młodym pokoleniu czci dla największego Polaka naszych czasów, nie idźmy jednak ku temu celowi poprzez łyżki dziecięce i kary szkolne. (Oklaski na ławach B. B. W. R.).

Mając takie właśnie przekonanie, z tem większą uwagą śledziłem czy w tym zbiorowym hołdzie, z jakim liczne rzesze naszego społeczeństwa pośpieszyły na dzień Imienin Marszałka Piłsudskiego, nie była gdziekolwiek na terenie szkół stosowana metoda przymusu. (Oklaski na ławach B. B. W. R.). Sprawdzałem więc i sprawdzam nie tylko każdą wiadomość prasową, ale i każdą plotkę i pogłoskę, mającą jakie takie cechy prawdopodobieństwa, i mogę zapewnić Wysoką Izbę, że aczkolwiek w jednym wypadku natrafiłem na niezupełnie właściwe zachowanie się nauczyciela, to w żadnym wypadku nie spotkałem się z jakimkolwiek przymusem czy fizycznym lub moralnym terrorem. (Oklaski na ławach B. B. W. R.). Nie było go ani w szkole powszechnej w Jabłonnie—Gucinie, ani w gimnazjum S. S. Urszulanek w Poznaniu, o czem donosił „Kurjer Poznański”. Dzisiejsza „Gazeta Warszawska” podaje wiadomość o rzekomem usunięciu dwóch uczniów z gimnazjum prywatnego w Rzeszowie. Nie mogłem tej wiadomości dotychczas sprawdzić. Dałem polecenie telefoniczne, ażeby przedstawiono mi w najbliższym czasie sprawozdanie, ale sprawozdania tego jeszcze nie mam, więc nie mogę Wysokiej Izby poinformować o tym fakcie w tej chwili.

Nie mogę także zabierać czasu Wysokiej Izbie opowieściami o tych wszystkich wypadkach, o których takie czy inne wiadomości były w prasie, ale ponieważ na fakty mam zwróconą przedewszystkiem uwagę, pozwoli Wysoka Izba, że zaprzątnę jej kilka minut czasu tym faktem, na który się powołują wnioskodawcy, i który widocznie uważają za największy czy najbardziej krzywdzący, skoro tego właśnie faktu użyli za podstawę swojego wniosku nagłego. Ponieważ ten fakt, jako znajdujący się tylko w uzasadnieniu wniosku, nie jest drukowany i nie wszystkim Panom posłom może

jest znany, dlatego pozwolę sobie go odczytać, wyreczyć w ten sposób niejako referentkę, żeby potem moje wyjaśnienia były zrozumiałe. Fakt miał się zdarzyć taki:

„W dniu 4 marca r. b. nakazał nasz pan nauczyciel szkoły powszechnej, Frąckowski, ażeby w dn. 5.II. r. b. dzieci 3 i 4 oddziału szkoły w Zalesiu przyniosły po 20 gr., by pisać pocztówki do Marszałka Piłsudskiego na Maderę. Na skutek tego przyniosło troje dzieci po 20 gr. i to: Rydkowski, Konopnicki i Kor dal. Dzieci, które nie przyniosły wyżej podanej kwoty, zostały w większej liczbie po twarzy rękami przez p. nauczyciela pobite. Moi chłopcy: Paweł 14 lat i Franciszek 10 lat obaj byli bici po twarzy. Za ścisłość powyższego doniesienia odpowiadam, jako ojciec, i proszę zapobiec dalszemu katowaniu niewinnych dzieci.

(—) *Antoni Hinz, Zalesie, pow. Sępólno*“.

Dowiedziawszy się o tym fackie z prasy, to znaczy, otrzymawszy tę wiadomość znacznie wcześniej niż zgłoszony w tej sprawie wniosek nagły, wysłałem specjalną komisję, złożoną z 3 urzędników administracji szkolnej, żeby na miejscu w tej wsi zbadała (Głos Kuratorjum), czy taki fakt zaszedł i jak rzeczywiście było. Przywiązywałem do tego dużą wagę, bo przecież Wysokiej Izbie wiadomo, że od szeregu dni prasa pewnych kierunków politycznych pełna jest artykułów i artykułików pod wielkim tytułem „Września w odrodzonej Polsce“. I oto komisja pojechała na miejsce, znalazła niewielką wioskę Zalesie w powiecie sępolińskim, w tej wiosce szkołę jednoklasową o jednym nauczycielu, pracującym ciężko, bo z 80 zgórą dziećmi, i rozpoczęła badania. Przesłuchiwała najpierw członków miejscowej rady szkolnej, obywateli rolników tejsze samej wioski, mających dzieci w tejsze szkole. Cóż ci ludzie zeznali?

Otóż przewodniczący rady szkolnej, p. Teofil Hołka, sołtys, również członek rady szkolnej, p. Tomasz Konopnicki, i rendant kasy szkolnej, p. Józef Borzykowski, zeznali jednomyślnie, iż nie słyszeli we wsi o tem, żeby nauczyciel Frąckowski pobił którekolwiek z dzieci

w szkole za nieprzyniesienie pieniędzy na kartki do wysłania życzeń dla Marszałka Piłsudskiego. Dowiedzieli się o tem dopiero z Gazety Grudziądzkiej. Zeznają wszyscy członkowie rady szkolnej miejscowej jednomyślnie, że nie mają p. Frąckowskiemu jako nauczycielowi nic do zarzucenia, i że cieszy się w całej gminie opinią dobrą. To samo potwierdza czwarty członek rady szkolnej miejscowej, p. Józef Ossowski, który przybył nieco później. Powiada on, że syn jego, będący w oddziale III, gdzie miały zajść opisane fakty, nie skarżył się na bicie w szkole ani też nie opowiadał, jakoby kogo innego bił p. Frąckowski. Przyłącza się do opinii trzech innych członków, że p. Frąckowski cieszy się wśród ludności Zalesia uznaniem za jego pracę. Członkowie rady szkolnej miejscowej zeznają, że oni sami i inni zwracają się do nauczyciela z tem, aby, gdy dziecko zasłuży, ukarał je. Nauczyciel jednak odpowiada, że cieleśnie dzieci karać nie wolno.

Zapytano ich, jakże sobie tłumaczą, dlaczego p. Hinz, jeden z ojców tych dzieci, napisał taką korespondencję do gazety. Oświadczają, że korespondencja p. Hinsa do Gazety Grudziądzkiej ma zupełnie inny cel, aniżeli uskarżanie się na nauczyciela za bicie dzieci, raczej przypuścić należy u niego chęć pokazania się przez korespondencję ze swoim podpisem w gazecie, gdyż jest to typ — i tu następuje odpowiednio lapidarne określenie.

Ale cóż mówi sam p. Hinz, zapytany w tej sprawie? Otóż p. Hinz potwierdza swoje doniesienie do gazety, że p. Frąckowski bił dzieci w szkole za to, iż nie chcą pisać kartek do Marszałka Piłsudskiego. Na zapytanie, czy kiedy indziej nauczyciel bił dzieci, ten sam p. Hinz odpowiada przecząco i zaznacza, że cieszy się, iż dzieci robią w szkole dobre postępy, i że jest osobiście z p. Frąckowskiego jako nauczyciela bardzo zadowolony. Powiada dalej, że nie ma mu nic do zarzucenia jako nauczycielowi, że nawet mu chętnie pomaga przy obróbce roli, która należy do szkoły. A na naturalne pytanie, dlaczego, skoro jego dzieci zostały pobite, nie

zwrócił się z wymówką ani do nauczyciela, ani do przewodniczącego miejscowej rady szkolnej, ani do inspektora szkolnego, odpowiedział, że chciał, aby sprawę poruszono w gazetach albo w Sejmie. (Głos na ławach P. P. S.: Słusznie, miał rację).

Oto, proszę Panów, wobec jakiego stoimy faktu. Stoi-
my wobec faktu takiego, że pewien spokojny czy raczej
mniej spokojny obywatel, kierowany jemu tylko wiado-
memi pobudkami, pisze doniesienie do gazety, donie-
sienie, któremu zaprzecza cała ludność tejże wioski.
(P. Z. Piotrowski: Trzech ludzi, a nie cała ludność).

Odczytałem zeznanie członków miejscowej rady
szkolnej, mam tu zeznania innych ludzi; nawet gdy
pytano dzieci, bo i to poleciłem w dyskretny sposób
zrobić, z nastroju tych dzieci i z tego, co dzieci opo-
wiadały, jak w szkole bywa, okazało się, że w tym wy-
padku prasa trafiła zupełnie źle. Zapewne, mogą się
zdarzać i zdarzają się nauczyciele, którzy jeszcze dziś
stosują kary cielesne w szkole. W tym wypadku jednak
zaszło coś takiego, że doniesienie zostało zrobione na
nauczyciela, który pomimo ciężkich warunków pracy
tych kar nie stosuje, skoro dzieci, gdy zapytano je, czy
nauczyciel kiedy bije w klasie, traktowały to ze śmie-
chem jako dowcip. Oto, proszę Panów, z jakim faktem
mamy do czynienia. Pewien obywatel pisze doniesienie
do gazety, doniesienie to podchwytyją inne pisma, pod-
chwytyją je nawet wielkie dzienniki polityczne, które
piszą na ten temat nawet artykuły wstępne, i powstaje
z tego wielka piramida nieprawdy.

Proszę Panów, zatrzymałem się na tym fakcie dłużej
dlatego, że nasuwa pewne bardzo poważne refleksje.
Jako pedagog, byłbym szczęśliwy, gdyby istotnie wra-
żliwość w prasie naszej i w społeczeństwie polskim na
niedolę dziecka i na tragedje szkolne była wielka. Ale
niestety, bywają prawdziwe tragedje szkolne, bywają
tragedje szkolne, których ofiarą pada nieraz młode ży-
cie, a nigdy nie spotkałem się z takim rozgłosem, z ta-
kiem oburzeniem i z takim krzykiem, jak właśnie przy
tej sprawie. I dlatego mimowoli nasuwa mi się mocne

podejrzenie, że w tym wypadku nie chodziło o cichą wioskę na Pomorzu, nie chodziło o los dwóch małych Hinzów z Zalesia, ale że chodziło tutaj o Maderę i o zbliżający się dzień 19 marca (oklaski). Nasuwają się tu także smutne refleksje na temat wiarogodności naszej prasy, gdy w grę wchodzi namiętność polityczne.

W związku z tem mam do Panów posłów z opozycji jedną prośbę. W naszych stosunkach parlamentarno-prasowych zyskał sobie prawo obywatelstwa pewien zwyczaj bardzo niedobry, zwyczaj, który niejako legalizuje szarpanie czci osobistej jednostki, utrzymywanie społeczeństwa w nieświadomości i nieprawdzie. Zwyczaj ten polega na tem, że gdy w Izbie zostanie wniesiony wniosek, lub gdy który z Panów posłów przemawia i gdy atakuje czy to w swoim wniosku czy w przemówieniu nie tylko już Ministra, ale podległego mu funkcjonariusza państwowego, wtedy prasa partyjna danego obozu przedrukowuje to całe przemówienie z przytoczeniem rzekomych faktów. Jeżeli jednak występuje Minister czy inny przedstawiciel Rządu i z dokumentami w ręku prostuje te fakty, które były podane, przemówienia tego się nie drukuje i nie podaje.

Spotkałem się z takim faktem przy ostatniej dyskusji w Senacie i wydaje mi się, że wszyscy bezstronni muszą przyznać, że i w tym wypadku, o którym mówiliśmy w tej chwili, stała się wielka krzywda nie tylko jednemu, spokojnie pracującemu na Pomorzu nauczycielowi, ale całemu szkolnictwu polskiemu. Rzucenie oskarżenia na szkolnictwo i na nauczycielstwo, że w odrodzonej Polsce nastąpiła nowa Września — to nie jest oskarżenie błahe.

To też korzystam ze sposobności, ażeby do Panów wnioskodawców zwrócić się z następującą prośbą: Panowie piszecie w swoim wniosku, że chodzi wam o dobrą sławę szkolnictwa polskiego. Otóż w imię tej dobrej sławy szkolnictwa polskiego, w imię czci osobistej tego skromnego pracownika, który, w pocie czoła pracując, buduje szaniec polskości na naszych kresach zachodnich, a przedewszystkiem w imię prostej uczciwości

wzywam Panów i proszę: użycie swego wpływu, ażeby prasa waszych obozów odwołała to wszystko, co przez szereg dni w tej sprawie pisała. (Oklaski na ławach B. B. W. R.).

A jeżeli Panowie tego nie uczynicie, jeżeli trzeba będzie z prasą zrobić to, co się robi obecnie z Hinzem, t. j. że go się oddaje pod sąd, jeżeli nad mojem wezwaniem Panowie przejdziecie do porządku dziennego, to będę musiał nabrać przekonania, że w tym całym krzyku, że w tym całym hałasie nie chodziło o dobro szkolnictwa polskiego, ale o cele znacznie mniej szczerze i znacznie mniej szlachetne. (Oklaski na ławach B. B. W. R.).

W OBRONIE SZKOŁY I NAUCZYCIELA

*Wywiad z p. Ministrem W. R. i O. P., dr. Sławomirem
Czerwińskim, drukowany w „Gazecie Polskiej”
w kwietniu 1931 r.*

W ostatnich czasach w organach prasowych obu skrzydeł naszej opozycji daje się zauważyć ostry atak, skierowany na szkołę i nauczycielstwo, a prowadzony przede wszystkim przez skwapliwe podawanie wszelkiego rodzaju plotek i niesprawdzonych, a jak się później okazuje — z reguły nieprawdziwych wiadomości o rzekomo złym, brutalnym czy nawet okrutnym stosunku nauczycielstwa do uczniów.

Atak ten, robiący chwilami wrażenie formalnej i celowo zorganizowanej naganki, wywołał oburzenie i nawet w tak spokojnych i starannie unikających walki politycznej sferach, jak nauczycielstwo, zgrupowane w Towarzystwie Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych (T. N. S. Ś. W.), które na ostatnim swoim walnym zjeździe, odbytym w dn. 9 b. m. w Katowicach, uznało za konieczne w specjalnej rezolucji zastrzec się przeciwko tej metodzie podrywania powagi stanu nauczycielskiego.

Pragnąc się zorientować, jak władze szkolne tłumaczą sobie to nagle niezadowolenie opozycji z naszego nauczycielstwa, znanego przecież ze swej sumiennej i ofiarnej pracy, zwróciliśmy się do Pana Ministra Czerwińskiego z prośbą o udzielenie nam w tej sprawie miarodajnych informacji.

Na nasze pytanie, czy rzeczywiście w ostatnich czasach dało się zauważyć jakiekolwiek pogorszenie stosunku ogółu nauczycielstwa do powierzonej mu działalności i młodzieży, Pan Minister oświadczył, co następuje:

Przyczyn niezadowolenia naszej opozycji ze szkoły i nauczycielstwa nie znajdzie nigdy ten, kto będzie przypuszczał, że niezadowolenie to jest wynikiem istotnej troski o właściwy poziom nauczycielskiej pracy wychowawczej.

Jak w innych okolicznościach dobrze jest czasami kierować się wskazówką „*cherchez la femme*“, tak przy dochodzeniu przyczyn niezadowolenia prasy partyjnopolitycznej należy pamiętać o zasadzie „*cherchez l'esprit du parti*“.

Jest rzeczą charakterystyczną, że siła i złośliwość ataków na szkołę i nauczycielstwo szczególnie wzmogła się w okresie 19 marca. Przysięgli zwolennicy naszego politycznego partyjnictwa nie mogli znieść spokojnie, że młodzież szkolna pod przewodnictwem swych wychowawców bierze tłumny udział w zbiorowym hołdzie imieninowym dla Tego, który temu partyjnictwu śmiertelną wypowiedział walkę. A poza tem trzeba było przecież w jakiś sposób osłabić wrażenie siły i powszechności tego hołdu. Stąd gorączkowe wyszukiwanie wypadków, które po odpowiednim reporterskiem spreparowaniu możnaby cytować jako przykłady zmuszania dzieci do udziału w tym hołdzie, stąd też skwapliwe podawanie w prasie wszelkich nawet najniedorzeczniejszych plotek o rzekomem katowaniu dzieci przez nauczycieli.

Ale nie na tem kończą się powody niezadowolenia naszych sfer partyjnych ze szkoły i nauczycielstwa. Muszę przyznać lojalnie, że niezadowolenie to ma uzasadnienie szersze i głębsze. Wprawdzie, aby to dostrzec, nie wystarcza czytywać tylko tę prasę partyjną, która jest przeznaczona dla inteligencji. Należy sięgnąć do czasopism, wydawanych przez partje polityczne dla sfer mniej oświeconych, a w szczególności dla naszego ludu wiejskiego. Tam trzeba pisać popularniej, wypowiadać się wyraźniej, mniej owijać w bawełnę, a co za tem

idzie i bardziej się demaskować. I oto obserwujemy znamienne zjawisko.

Od pewnego czasu, a ściślej biorąc, od grudnia ubiegłego roku w pismach tych raz wraz spotykamy artykuły, w ostrych słowach występujące przeciwko nauczycielstwu za to, że... w czasie ostatnich wyborów do sejmu i senatu w swej olbrzymiej większości szło za Rządem, a nie za partjami. Oto co ich boli!

I tu dochodzimy do sedna sprawy.

Nasze nauczycielstwo, z każdym rokiem liczniejsze, stale podnoszące poziom swojego fachowego wykształcenia, przytem chętnie i ofiarnie imające się pracy społecznej, stanowi, zwłaszcza na wsi, czynnik kulturalny bardzo ważny i w agitacji politycznej nie do pogardzenia. To też dopóki nasze życie polityczne wyczerpywało się w działalności partyjnej, i nauczycielstwo z konieczności tkwiło w partjach, stanowiąc tam posłuszny a cenny element roboczy, wszystko było dobrze. Opuśzczeni mENERzy partyjni wspominają te czasy z tkliwym rozczuleniem.

Aliści przyszyły t. zw. wypadki majowe, a po nich wielki wysiłek Marszałka Piłsudskiego i oddanych mu ludzi, aby polskie życie publiczne wyprowadzić z beznadziejnego trzęsawiska jałowych wałk partyjnych i skierować je ku rzeczowemu rozwiązywaniu istotnych zagadnień państwowych. I gdy dookoła tej zbawiennej idei szybko począł się krystalizować z każdym dniem potężniejszy obóz polityczny, nie można się dziwić, że wkrótce w obozie tym znalazła się i znakomita większość obywatelsko uświadomionego nauczycielstwa. Bo czyż to nie ono właśnie, nauczycielstwo polskie, pracujące przecie dla przyszłości narodu, było w pierwszym rzędzie powołane do tego, aby odwrócić się od uchodzącego w przeszłość „ginącego świata“ partyjniectwa, i skierować swe nadzieje i swój zapał ku nowym prądom, dającym do uzdrowienia naszego życia publicznego?

Tak też nauczycielstwo uczyniło, ale naraziło się przez to na gniew skonfederowanych niedobitków partyjnych. Gniew ten potęguje się wielokrotnie przez to,

że wraz z odpartyjnieniem nauczycielstwa z natury rzeczy następuje i odpartyjnienie szkół. Wprawdzie może jeszcze i dzisiaj znalazłyby się szkoły, na których sztyldach bez obawy popełnienia błędu możnaby wypisać dobrze nam znane inicjały N. D. albo P. P. S. czy P. S. L. i t. d., ale są to już tylko resztki. Bo naogół nauczycielstwo szybko dochodzi do zrozumienia, że w życiu naszego państwa zwycięstwo obozu Marszałka Piłsudskiego jest czemś więcej, niż zwycięstwem jednej partji nad innemi.

To właśnie doprowadza do pasji koryfeuszów „ginącego świata“. W pasji tej znalazła swój jaskrawy wyraz etyka iście murzyńska. Przekonania polityczne nauczyciela były rzeczą dobrą dopóki służył on partji, stały się zaś rzeczą karygodną, gdy nauczyciel partji służbę wypowiedział. Postanowiono go więc za to ukarać. Metody, jakich się przytem chwycono, charakteryzują wartość moralną zagniewanych jeszcze dobitniej, niż ich intencje. Poprostu szczuje się opinię publiczną przeciwko nauczycielstwu. W pismach ludowych czyni się to otwarcie. W prasie codziennej, przeznaczonej dla sfer oświeconych, stosuje się niejako metodę pośrednią przez odpowiednio spreparowane podawanie rzekomych faktów brutalnego postępowania nauczycielstwa z dziećmi i młodzieżą. Operuje się przytem całą do perfekcji doprowadzoną sztuką przesady, przekręcania faktów i nieścisłości. Ze świadomą perfidją wyzyskuje się niedoskonałość i nieporadność naszego prawa prasowego pod względem ochrony czci osobistej obywateli. Liczy się także na bardzo daleko posuniętą ławowierność czytelników, bo podaje się np. nietylko nieprawdziwy fakt, że nauczyciel X zabił dziecko (spowodowanie śmierci przez pobicie jest właściwie zabiciem), ale dodaje się jeszcze do tego wiadomość, że ów nauczyciel za to awansował.

Wyznam, że walka z tem metodycznie stosowanem kłamstwem nie jest rzeczą łatwą. Niewiele pomagają sprostowania, bo wiadomo, że pierwsze wrażenie sensacji jest silniejsze, niż odwołanie, a zresztą nawet sprostowanie nie przeszkadza powoływać się przy każdej

następnej sposobności na nieprawdziwą wiadomość, poprzednio podaną. Wymiar zaś sprawiedliwości z powodu przeciążenia naszego sądownictwa jest, jak wiadomo, bardzo powolny. Nawet, gdy wkońcu uzyskuje się wyrok skazujący, to fakt najczęściej już przebrzmiał, i kalumnja zrobiła swoje.

Na to prawdopodobnie liczą ci, którzy taką bronią walczą.

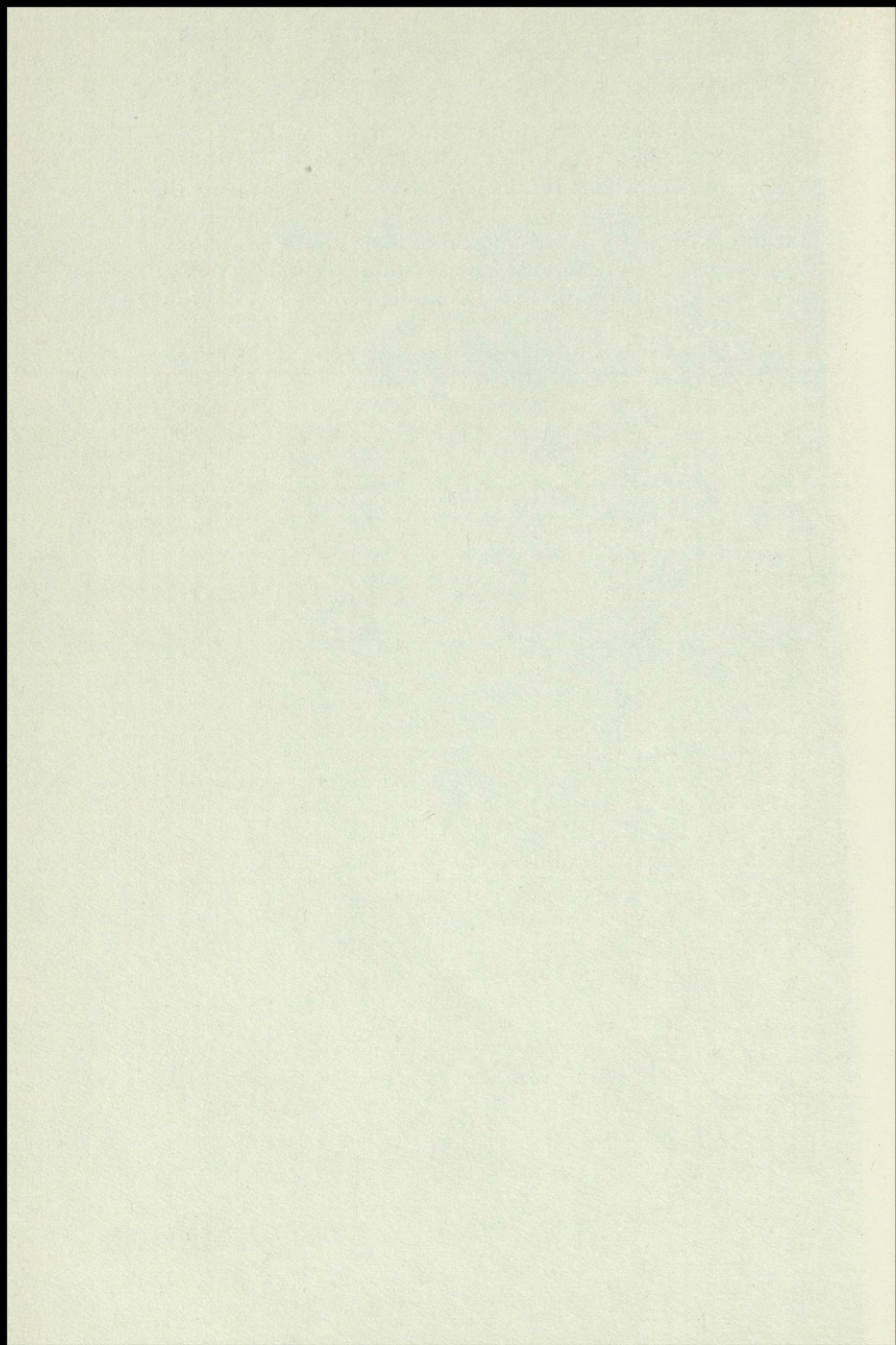
Dziwię się tylko, iż tym ludziom nie przychodzi do głowy, że, czyniąc tak, sami pracują na kaganiec dla siebie. Przecież poprostu zdrowie naszej cywilizacji wymaga znalezienia skutecznego środka na tego rodzaju jej zboczenie, jak zwyrodnienie pięknej zasady wolności słowa w wolności szarpania czci osobistej lub zawodowej bliźniego i karmienia opinii publicznej kłamstwem.

Oczywiście licząc na dalszą metę, ta metoda nie osiągnie celu. Wśród ogółu naszego nauczycielstwa panuje zbyt mocny ton ideowy, aby trzeba było się obawiać, że ugnie się ono pod terrorem oszczerstwa. A gdy chodzi o opinię publiczną, jestem przekonany, że sumienna i ofiarna praca nauczycielstwa, które z każdym rokiem zdobywa sobie w opinii coraz większe uznanie, uczyni swoje i nie da zatriumfować kłamstwu.

Ale w związku z tem miałbym jedną prośbę do tych organów prasy, którym nie zależy na podrywaniu w opinii publicznej powagi szkoły polskiej i stanu nauczycielskiego, miałbym prośbę, aby z większą niż dotąd ostrożnością traktowały ukazujące się w prasie informacje o ujemnych rzekomych faktach z życia szkolnego, gdyż wprowadzone w błąd, same niekiedy stają się narzędziem w ręku zręcznych plotkarzy. Nie można wierzyć nawet tym wiadomościom, w których wymieniane są nazwy miejscowości i nazwiska nauczycieli czy uczniów. Zawodowi oszczercy i jedno, i drugie wymyślić potrafią. Tak na przykład nawet niektóre pisma prorzadowe powtórzyły niedawno dwie sensacyjne wiadomości: jedną o śmierci dziecka, jakoby zamkniętego przez nauczycielkę za karę w komórce, i dru-

gą o rzekomem zamordowaniu nauczyciela przez uczniów w jednej z miejscowości województwa łódzkiego. Po sprawdzeniu okazało się, że w informacji o pierwszej sprawie sam fakt śmierci dziecka oraz nazwa miejscowości i nazwisko nauczycielki były zmyślane, a w drugiej — fakt morderstwa istotnie zaszedł, tylko, że oczywiście nic z niem nie mieli wspólnego uczniowie szkoły.

Ostrożnie więc z towarem sensacyjnym z życia szkolnego! Za dużo jest w nim falsyfikatów.



DZIAŁ IV

WSPOMNIENIE WALKI
O SZKOŁĘ POLSKĄ

EX. 111

WISCONSIN STATE
OF POLSKA

PRZEMÓWIENIE NA ZJEŹDZIE XXV-LECIA WALKI O SZKOŁĘ POLSKĄ W KALISZU

w dn. 25 maja 1930 r.

Wszyscy pamiętamy, jak to było.

Byliśmy wówczas dziećmi prawie, dziećmi, wychowywanymi przez szkołę bardzo gorliwie i bardzo konsekwentnie. Wszystkie środki wychowawcze, znane ówczesnej pedagogice, wszystkie sposoby oddziaływania na duszę dziecka i młodzieńca były do nas stosowane. Już na parę lat przed wstąpieniem do szkoły, bo już w okresie naszego abecadła, rozpoczynał się ten pracowity proces przystosowywania naszych dziecięcych dusz do wymagań tego wynaradawiającego laboratorium, jakim była szkoła rosyjska na ziemiach polskich.

Przypomnijmy sobie te przerażająco długie ćwiczenia piśmienne, owe potworne „diktówki“, w których co krok czyhały „wilcze doły“ nieubłaganego „jat“, przypomnijmy sobie owe długie godziny głośnego czytania, przy którym do czarnej rozpacz, do łez bezsilności doprowadzały nas złośliwe, a nieuchwytnie kaprysy rosyjskiego „udarenja“.

A wreszcie, gdy w jednej i drugiej sztuce wyćwiczyliśmy się o tyle, że po szczęśliwym przebyciu perypetyj egzaminu wstępnego uznano nas za godnych wejścia do przybytku wiedzy oficjalnej, stawaliśmy się obiektem wyťažonej pracy wspomnianego przeze mnie laboratorium.

Wszystkie elementy tego laboratorium pracowały zgodnie i harmonijnie dla jednego celu. Mundury, które nam nosić kazano, wnętrza gmachów, w których nas uczono, podręczniki, lektura szkolna i pozaszkolna, zadania piśmienne klasowe i domowe, bezpośredni wpływ licznych, naogół wcale umiejętnie dobieranych profesorów, zwłaszcza tych od przedmiotów ściśle rosyjskich, a ponad tem wszystkim szczegółowy regulamin karności i posunięty aż do szpiegostwa dozór w szkole i poza szkołą — wszystko to było obliczone na osiągnięcie naczelnego celu — urobienia z nas duchowych Rosjan i wiernych poddanych białego cara.

Powierzchniowy obserwator ówczesny mógł dojść do przekonania, że cała ta praca nie była pracą Syzyfa. Przecież trudno jest zaprzeczyć, iż był czas, kiedy o Moskwie białokamienną wiedzieliśmy więcej, niż o naszym starym Krakowie, kiedy w genealogii Rurykowiczów orjentowaliśmy się lepiej, niż w genealogji Piastów czy Jagiellonów, kiedy Puszkina albo Lermontowa deklamowaliśmy płynniej, niż Mickiewicza lub Słowackiego.

Przypominam sobie. Było to w r. 1903 lub 1904. Przyjechał tu do Kalisza na wizytację szkół ówczesny rosyjski minister oświaty, generał Głazow, jeżeli mnie pamięć nie myli. Do klasy, w której naówczas byłem, przyszedł na lekcję języka rosyjskiego. Nasz profesor tego przedmiotu, dobrze wielu kolegom znany p. Aleksandrowskij, chcąc się pochwalić przed wysokim dygnitarzem, postanowił zademonstrować coś w rodzaju wspaniałej rewji znajomości przez klasę literatury rosyjskiej.

Zapytywał nas jednego po drugim w porządku takim, jak siedzieliśmy w ławkach, nie opuszczając nikogo. Pytania konstruował tak, że musieliśmy odpowiadać całemi ustępami, wykutemi na pamięć, wśród których przeważały tytuły zabytków prozy rosyjskiej z XVI i XVII wieku, tytuły, jak sobie zapewne Koledzy przypominają, bardzo długie i do wyuczenia się na pamięć niełatwe, bo układane w używanej w owych czasach mako-ronicznej mieszaninie starego języka rosyjskiego z cer-

kiewno-słowiańskim. Odpowiadaliśmy pomimo to świetnie. Każdy z nas, na którego brwią skinął popisujący się profesor, zrywał się z miejsca i w poprawnej postawie na baczność wyrzucał swą odpowiedź, jak dobrze naoliwiona mitraljeza, bez zająknięcia się, bez zgrzytu, bez skazy. Dzisiejszego nowoczesnego pedagoga pewno-by już nie zachwyciła w ten sposób prowadzona lekcja, ale wyobrażam sobie, że na owe czasy musiał to być szczyt dydaktycznego arcyzmu. Gruby rosyjski generał, słysząc jak z naszych polskich ust potoczyście płynnie miła dla jego ucha proza Iwana Groźnego, uśmiechał się oblesnie z zadowolenia i kiwał głową z łaskawą aprobatą.

Nie wiem, co sobie wówczas myślał ten carski dygnitarz, ale można przypuszczać, iż myślał sobie, że skoro w najbardziej wysuniętym na Zachód grodzie olbrzymiego rosyjskiego imperjum, młode Polaczki składają tak piękne dowody swojego pietyzmu dla starej mowy rosyjskiej, to właściwie nie pozostaje nic do życzenia, i biały car w dalekim Petersburgu może spać spokojnie.

Przypuszczam, że podobnie myśleli i nasi bezpośredni wychowawcy.

*

Aż tu nagle nadszedł dzień niespodziewany!

Na sprawnie dotąd działające laboratorium przyszła chwila kataklizmu, który jednym potężnym wstrząśnięciem wyrzucił wszystko. Piękna, tak pracowicie obmyślana i tak dobrze funkcjonująca machina w ciągu dnia stała się nagle zniszczonym, nikomu na nic nieprzydatnym gratem. Dniem tym dla Kalieza był dzień 2 lutego 1905 roku.

*

W dniu tym przyszliśmy na lekcję, jak zwykle, normalnie. Nie pamiętam już, czy było to w czasie pierwszej czy drugiej godziny, gdy nasz podwórzowy dzwonek gimnazjalny zadzwieczał w czasie, w którym nigdy przedtem się nie odzywał. Nasz dzwonek gimnazjalny! Ów posłuszny, lojalny, obowiązkowy i punktualny dzwo-

nek, który przez tyle lat codziennie z bezmyślną gorliwością zapędzał nas do szkoły rosyjskiej, ów dzwonek w dniu tym, trącony ręką robotnika-rewolucjonisty, poczuł się nagle Polakiem, wypowiedział służbę Moskałom i wezwał nas do buntu.

A na dźwięk tego dzwonka stał się cud!

Oto owa pozornie żelazna dyscyplina szkoły rosyjskiej, owa sztaba stalowa, która od dzieciństwa tak boleśnie gnioła nam karki, i z pod której wydawało się, iż niema ucieczki i niema wyzwolenia — ta sztaba stalowa stała się nagle spróchniałym patykiem, który pierwszy lepszy wstępniak, świszcząc sobie z uciechy, łamał na kolanie i przez wybite okno gimnazjum wyrzucał na śmiecie.

Ale stał się cud jeszcze większy!

Oto nasi wychowawcy rosyjscy dnia tego stwierdzili z przerażeniem, że nagle, że od jednego razu zapomnieliśmy wszystko, czego oni nas tak pracowicie, tak prawdziwie w pocie czoła przez wiele lat uczyli.

I to zapomnieliśmy tak kompletnie, że nietylko dziwaczna proza Iwana Groźnego, ale nawet piękny język Puszkina stał się nagle dla nas niezrozumiałym, i że aby się z nami porozumieć, trzeba było sięgnąć do owej tak dotychczas lekceważonej, tak obcej i tak śmiesznej w ustach tych ludzi mowy zakazanej, mowy polskiej.

I tutaj znów ciśnie się na usta pytanie, co owi nasi wychowawcy dnia tego myśleli, co oni dnia tego odczuli. Przypominam sobie wyraz twarzy jednego z nich. Stał w oknie kancelarii gimnazjalnej i patrzył na nas, gdy po zerwaniu lekcyj zbieraliśmy się na dziedzińcu, by ławą zanieść żagiew rewolucji do gimnazjum żeńskiego. Utkwił mi w pamięci wyraz twarzy tego pedagoga. Był to wyraz twarzy człowieka, który po długiej mozolnej wędrówce spostrzega nagle, że zaszedł zupełnie nie tam, dokąd dążył, że znalazł się właśnie w tem miejscu, którego najbardziej ze wszystkich miejsc świata starał się uniknąć. Zdumienie i przestрах malowały się na tej twarzy, a równocześnie miało się wrażenie, że

człowiek ten za chwilę wybuchnie płaczem. Zapewne, że miał czego płakać ten carski wyrobnik w chwili, gdy ujrzał, że wszystkie jego wysiłki, że wielkie trudy całego jego życia nie dały w rezultacie nic, i że nie wystarczą nawet na dobre o nim wspomnienie. Ciekawe byłoby wiedzieć, czym sobie ten człowiek te tragiczne dla siebie wyniki tłumaczył. Czy wierzył w cuda? Czy zdawał sobie sprawę z tego, że przeciw wszelkim jego wysiłkom działała ta siła fatalna, którą wytwarzały i zew krwi, i tradycja kulturalna wielkiego narodu, i buntujące się poczucie natury moralnej człowieka przeciw niesprawiedliwości? Czy znał ów nasz troskliwy wychowawca nasze życie drugie, w katakumbach konspiracji ukryte, życie, co jak cień nieodstępny płynęło równoległe do naszego urzędowego życia szkolnego, jak cień, ale cień dziwny, bo dla nas realniejszy, bardziej prawdziwy i stokroć bardziej cenny, niż nasze życie oficjalne, w słońcu jawności chodzące. Oczywiście nie wiedział ten nasz zabiegliwy „priepodawatiel i nastawnik“, że w pracy swej wychowawczej nad nami miał nieznanych mu kolegów i towarzyszy, kolegów i towarzyszy, którzy, jak nieodżałowanej pamięci Melanja Parczewska, prostowali to, co on chciał w nas skrzywić, ratowali to, co on chciał w nas zniszczyć, zdzierali maskę z tego, co on chciał przed nami ukryć.

O tem wszystkim nie wiedział nasz rosyjski wychowawca, tak jak nie wiedział i o tem, z czego sprawy nie zdawaliśmy sobie wówczas i my, że ta nasza młodzieńcza rewolucja szkolna, podjęta wbrew wszelkim wyrozumowanym kalkulacjom politycznym i wbrew opinii wszystkich t. zw. „rozważnych“ mężów w narodzie, że ta nasza rewolucja — powiadam — nie będzie tylko buntowniczym odruchem, zbiorowym wybrykiem sztu-backim, ale że zostanie ona wpisana na karty dziejów naszego narodu jako sprawnie i konsekwentnie przeprowadzona akcja irredentystyczna i to bodaj jedyna na przestrzeni całego stulecia od kongresu wiedeńskiego aż do wybuchu wojny światowej, uwieńczona realną i trwa-

łą zdobyczą w postaci szkolnictwa prywatnego w języku ojczystym.

Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy naówczas, bo wychodząc wtedy ze szkoły na ulicę i rozpoczynając w ten sposób otwartą walkę z zaborcą, nie mogliśmy wiedzieć, że jesteśmy tem wybranem przez Opatrzność pokoleciem, któremu dane będzie to, co odmówione zostało i naszym rewolucjonistom listopadowym z 1830 roku, i entuzjastom wiosny ludów 1848 roku, i bohaterskim straceńcom styczniowego wybuchu, że dane nam będzie mianowicie dojście w walce do ostatecznego celu tych wszystkich wysiłków — do Niepodległości politycznej narodu.

Czy w tem, że ta akcja bojkotu szkoły rosyjskiej tak pięknie się powiodła, był tylko szczęśliwy zbieg okoliczności, czy też była w tem także i nasza osobista zasługa?

Zapewne, gdyby ktoś czy to w nas samych, czy w kierujących akcją naszych starszych kolegach z uniwersytetu i politechniki warszawskiej, chciał widzieć utalentowanych statystów, trafnie obliczających swoje posunięcie polityczne, — byłby w błędzie i oceniałby nas o wiele ponad zasługę. W psychicznem podłożu naszego wystąpienia było znacznie więcej negacji, niż pędu do pozytywnej twórczości, znacznie więcej buntu, niż celowego działania, znacznie więcej instynktu, niż rozumowej kalkulacji. Co najwyżej można o nas powiedzieć, że byliśmy „rozumni szaleem“, dzięki czemu nasz wybuch młodzieńczy okazał się w rezultacie celowym i skutecznym aktem politycznym.

Ale nawet tak redukując tytuły do naszej bezpośredniej zasługi, można przy dokładniejszej cokolwiek analizie znaleźć w naszej ówczesnej gromadzie rewolucyjnej pewne cechy, które już jako walory twórcze pozytywnego działania zakwalifikować należy. Pomijając doskonałe ponad wiek nasz ówczesny wyrobienie organizacyjne i dobrze wyszkolone zdolności do zbiorowego czynu, pozwolę sobie podkreślić dwie w naszej ówczesnej psychice wartości, obie tego rodzaju, iż byłoby bar-

dzo pożądane, aby były one stałemi, a nie tylko chwilowymi cechami tego pokolenia, któremu przypadło w udziale żyć i działać w tak niepowszednim okresie historii, jak okres pokolenia naszego.

Jedną z tych cech jest wspólna wszystkim psychologom reformatorskim. Jest to zdolność duchowego oderwania się od otaczającej nas rzeczywistości i przeniesienia się wyobraźnią w warunki odmienne, w warunki nowe, jakieby się wytworzyć pragnęło. Jeżeli prawdą jest, że bojkot szkoły rosyjskiej w r. 1905 został podjęty przez młodzież wbrew wyraźnej opinii t. zw. starszego społeczeństwa, to — jak sądzę — ta różnica poglądów wynikała nie tyle z różnicy jakiejś wartości patriotyczno-moralnej obu pokoleń, ale przede wszystkim stąd, że w pokoleniu młodszym była większa łatwość duchowego zerwania z otaczającą rzeczywistością, a także większa łatwość myślenia kategorjami nowymi, a nie wytartymi doktrynami, tkwiącymi w mózgu z przeszłości.

Druga cecha, na którą pragnąłbym zwrócić uwagę, jest odmiennej natury. Polega ona w działaniu zbiorowym na umiejętności utrzymania się przy celu głównym i poświęcenia mu wartości mniejszego, niż ten cel główny znaczenia.

Nie wiem, czy wszystkim Szanownym Kolegom i Koleżankom wiadomo, że forma wybuchu i sposób przeprowadzenia t. zw. strajku szkolnego w Kaliszu były wynikiem pewnej akcji dyplomatycznej, pewnego politycznego kompromisu pomiędzy dwoma ówczesnymi obozami młodzieży gimnazjalnej, t. j. obozem t. zw. postępowym i t. zw. narodowym. Oba te obozy godziły się na strajk, ale każdy chciał mu nadać inną formę i inne zabarwienie ideologiczne. Oczywiście, ta różnica zdań była tylko echem dyskusyj, toczonych w społeczeństwie starszem. Młodzież, t. zw. postępową, pozostająca pod przeważnym wpływem ideologii socjalistycznej, chciała widzieć w strajku szkolnym fragment ogólnego ruchu rewolucyjnego w państwie rosyjskiem i uważała, że wystąpienie młodzieży należy ściśle zespolić z rewolucyj-

nym ruchem robotniczym. Narodowcy natomiast, którzy, mówiąc nawiasem, zdecydowali strajk, dokonywając aktu nieposłuszeństwa i niekarności wobec władz stronnictwa Narodowej Demokracji, początkowo stanowczo przeciwnego strajkowi, zachowali jednak z ideologii tego stronnictwa bardzo mocną tendencję prowadzenia strajku jako czegoś zupełnie niezależnego i odrębnego zarówno od ogólno-rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, jak i od fermentów wśród polskich rzesz robotniczych.

Kolizja tych dwóch tendencyj na gruncie kaliskim zapowiadała się wcale groźnie i mogła być nawet uniemożliwić wspólne i solidarne wystąpienie.

Szanowni Koledzy przypominają sobie zapewne, że ów romantyczny wiec na cmentarzu tyńieckim, który w naszych wspomnieniach jest traktowany za akt proklamacyjny strajku, że wiec ten bynajmniej nie miał spokojnego i zgodnego przebiegu. Jeszcze dziś brzmią mi w uszach okrzyki ówczesnych kolegów-socjalistów, zawzięcie przerywających przemawiającemu na tym wiecu delegatowi Związku Młodzieży Narodowej, przybyłemu z Warszawy do Kalisza z instrukcjami wywołania strajku.

Gdybym był wówczas, jako przewodniczący narodowej organizacji młodzieży, zastosował się ściśle do tych instrukcyj, dzień 2 lutego w Kaliszu nie byłby dniem solidarnego wystąpienia młodzieży wobec zewnętrznego wroga, ale dniem gorszącej walki wewnętrznej. Ja miałem instrukcję skłonienia młodzieży do odbycia całej rewolucji wewnątrz murów gimnazjalnych, t. j. spokojnego zebrania się w jednej sali i uroczystego złożenia t. zw. petycji, gdy tymczasem młodzież postępową parlała na ulicę, by połączyć wybuch szkolny z demonstracjami strajkujących robotników. Wbrew otrzymanym instrukcjom rozstrzygnąłem wówczas tę kolizję sądem salomonowym. Powiedziałem sobie, że najpierw pójdziemy na ulicę i połączymy się z robotnikami, a potem przyjdziemy do gimnazjum i uroczystie złożymy petycję.

Tak się też stało, aczkolwiek pomiędzy jednym a dru-

giem wystąpieniem zaszła przerwa kilkodniowa, gdyż trzeba było przeprowadzić dyplomatyczne rokowania pomiędzy przedstawicielami obu obozów w sprawie treści i formy petycji. Ale oba wystąpienia wykonaliśmy wspólnie i solidarnie. Myślę, że przez to i jedni, i drudzy złożyliśmy dowód naszej ówczesnej nie tylko dojrzałości, ale roztropności politycznej, bo musieliśmy się zdobyć na koncesje z własnych doktryn i obozowych ambicji na rzecz głównego zasadniczego celu.

Jestem przekonany, że właśnie dzięki temu ten cel został tak wspaniale osiągnięty.

*

Szanowne Koleżanki i Szanowni Koledzy! Te wspomnienia i te refleksje przychodzą mi do głowy często, gdy myślę, że oto dziś przed tem samym naszym pokoleniem, tylko już dojrzałem i w niemałe doświadczenie zasobnem, stoją znów zadania wielkie i pewne cele główne. A w każdej takiej chwili cofnięcia się myślą w tę naszą wspólną przeszłość rodzi się w mej duszy gorące pragnienie, abyśmy wobec tych naszych nowych zadań okazali tyle dojrzałości i tyle roztropności politycznej, ile jej okazaliśmy wówczas, gdy byliśmy jeszcze dziećmi.

*

Życzymy sobie tego w dniu, w którym święcimy wspomnienie naszego pierwszego wielkiego zwycięstwa.

PRZEMÓWIENIE Z OKAZJI ZJAZDU XXV-LECIA WALKI O SZKOŁĘ POLSKĄ W WARSZAWIE

w dn. 25 października 1930 r.

Zaszczyt, jaki mi, Szanowne Koleżanki i Szanowni Koledzy, uczyniliście, powierzając mi obowiązki przewodniczącego naszego dzisiejszego Zjazdu, rozumiem jako chęć symbolicznego podkreślenia wielkości naszego wspólnego triumfu. Bo urząd, jaki w tej chwili w Rządzie naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej mam zaszczyt sprawować, w zestawieniu z naszymi realnymi aspiracjami z przed lat 25 szczególnie wymownie wyraża wielkość naszego zwycięstwa. Zaiste, jeżeli kiedykolwiek dziejowa kolej losów wyświadczyła komu sprawiedliwość ponad najśmielsze nadzieje i ponad rzeczywistość zasługę, to uczyniła to nam, strajkowiczom z 1905 roku.

Otośmy byli w nędzy politycznej i upokorzeniu wielkiem. Synowie niewolników, i sami w niewoli, walczyliśmy o ostatni strzęp naszych praw historycznych, o uszanowanie w nas najprostszyc uczuć naszej godności narodowej. Dziś, po latach 25, zanim jeszcze czas zdołał siwizną przyprószyć nasze głowy, mamy za sobą nie tylko odzyskanie szkoły polskiej, ale i odzyskanie zupełnej wolności Ojczyzny. Co więcej, mamy już poza sobą czyny tej Ojczyzny, które ona, za ledwie z więzów uwolniona, od razu nawiązała nic do swych najpiękniejszych tradycji historycznych, od razu poczęła pełnić swą misję dziejową obrońcy cywilizacji zachodniej.

Gdy myślę o tej długiej drodze historycznej, w tak błyskawicznym tempie przez nas przebytej, gdy myślę o tym cudzie dziejów, który nas z otchłani niewoli na szczyty wolności wyniósł, to myślę równocześnie o tych siłach moralnych, które nas do przyjęcia, a w znacznej mierze i do wywołania tego cudu zdolnymi uczyniły.

I aby się do prawdy jak najbliżej przysunąć i do jej najprostszych elementów sięgnąć, staram się sobie przypomnieć te podświadome najczęściej pobudki, owe instynktowne odruchy, które się ułożyły w tak realną harmonję siły, że my, dzieciaki swawolne, sztubaki lekkomyślne, pod przewodem niewiele od nas starszych kolegów, wbrew wszelkim przewidywaniom i kalkulacjom olbrzymiej większości dojrzałego pokolenia odnieśliśmy od lat wielu pierwsze realne w sprawie polskiej zwycięstwo.

Jakież to były te wpływy cudotwórcze, te siły tajemnicze tak potężne, że na naszych ramionach dziecięcych okowy stuletniej niewoli pękały? — Skąd pochodził ten zew przewodni, za którym idąc, wyszliśmy ze szkoły rosyjskiej na prostą drogę wolności?

Wiemy, jakie to były siły i skąd pochodziły te głosy. To przeszłość narodu tak na nas wołała. Przeszłość narodu wolnego, co miał w swoich dziejach dni pełne chwały i który wiedział, poco go Bóg stworzył i na granicy cywilizacji i chrześcijaństwa postawił. A wśród tych głosów przeszłości był jeden szczególnie drogi i święty: to głos krwi w obronie wolności przelanej.

A do tego głosu przeszłości, głosu, słuchanego na tajnych schadzkach naszych kółek i kółeczek, przyłączył się głos naszych wieszczów i pisarzy, co kapitał przeszłości na siłę żywych uczuć w sercach naszych przetwarzali.

Ale nietylko przeszłość do nas przemawiała i wytwarzała wśród nas ten nastrój dziwny a niespokojny, nastrój nerwowego wyczekiwania na coś, o czem byliśmy pewni, że prędzej czy później nastąpić musi, i na co zawsze byliśmy gotowi.

Przypomnijmy sobie pomięte kartki „Polaka“, „Robotnika“ czy „Przedświtu“, podawane sobie z rąk do rąk, jako tajemnicę drogą a radosną. Ludzie, którzy te pisma redagowali, to byli nasi właściwi wychowawcy. Ceniliśmy ich i kochali, choć nie widzieliśmy ich nigdy, i choć imiona ich nie były nam znane. Ceniliśmy ich i kochali, choć nie wiedzieliśmy, że wśród nich znajduje się i Ten, co po latach niewielu bój podziemny na walkę otwartą i jawną zamieni i powiedzie zmartwychwstałe hufce polskie na pola nowych, pełnych chwały zwycięstw.

A gdy mowa o naszych właściwych wychowawcach z tych czasów, nie można i nie należy zapomnieć o tych skromnych i cichych pracownikach, co obok szkoły rosyjskiej tajną szkołę polską tworzyli. Jestem pewien, że wśród nas, tu zebranych, niemało jest takich, co tym najcichszym i najskromniejszym pracownikom na niwie kultury ojczystej zawdzięczają swoje pierwsze wiadomości o Polsce tej, która była, i tej, która nadejść miała.

Oto są te siły tajemnicze, zaprawdę dla nas siły święte, co z nas, młodzieńców beztroskich, bojowników zwycięskich uczyniły.

Sądzę, iż godzi się, abyśmy rozpoczynając Zjazd, poświęcony uczczeniu naszego pierwszego wielkiego zwycięstwa, złożyli symboliczny hołd tym wszystkim właściwym zwycięzcom, którzy niekiedy dopiero z poza grobu w nas i przez nas swój triumf odnieśli. Powstanie z miejsc i krótka chwila ciszy niech będą tego hołdu najprostszym wyrazem.

*

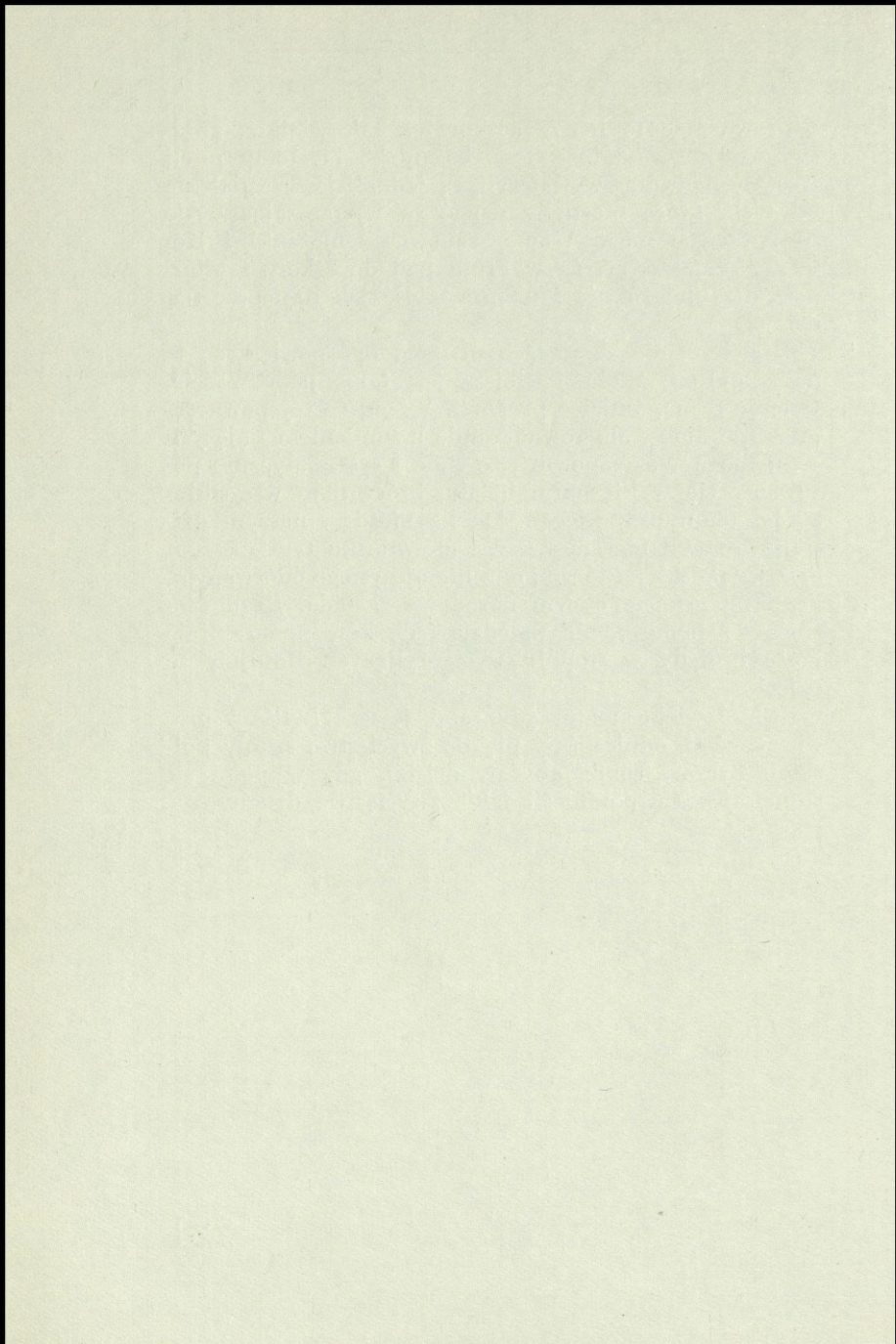
A teraz przejdźmy do zadań dnia dzisiejszego.

Tym, którzy kiedyś o szkołę polską ofiarnie walczyli, uważam za swój obowiązek zameldować, że dzisiaj szkoła polska jest instytucją wielką i ludną, że w granicach Rzeczypospolitej obejmuje ona zgórą 4.200.000 dzieci i młodzieży, że pracuje w niej armja, złożona z 97.000 profesorów i nauczycieli, i że ponad 650.000.000 zł. rocznie kraj łoży na jej utrzymanie.

Prawda, że te liczby aczkolwiek tak wielkie, zwłaszcza w porównaniu z tem, cośmy 25 lat temu mieli i cośmy naówczas wywalczyli, są jednak jeszcze dalekie od tych, które możnaby uznać za wystarczające. Ale równocześnie mogę Wam, Szanowne Koleżanki i Koledzy, zameldować, że w kraju pęd do szkoły i ofiarność dla niej roszą i na przyszłość jak najlepsze nadzieje.

Wielebym dał za to, żebym mógł być pewien, że ta nasza polska szkoła dzisiejsza jest taka, jaką Wyście, walcząc o nią, widzieć pragnęli. Wiem, że tej pewności mieć nie mogę, ale równocześnie z sumieniem najczystszym mogę Was zapewnić, że stale i systematycznie posuwamy się w kierunku ideału, który nam wszystkim 25 lat temu przyświecał. Ale na zjeździe naszym dzisiejszym myśl ma się zwracać głównie ku tym rzeszom działwy polskiej, którym, od pnia ojczystego oderwanym, grozi na gruncie obcym narodowa zagłada. Rząd tam śpieszy z pomocą, nie wszędzie jednak tę pomoc nieść może i nigdy w stopniu wystarczającym. Ratujmy te dzieci.

Ćwierć wieku temu, gdy sami jeszcze byliśmy prawie dziećmi, odnieśliśmy piękne zwycięstwo szkoły polskiej. Życzymy sobie, abyśmy dzisiaj, gdy w pełni sił swoich jesteśmy, odnieśli takie zwycięstwo drugie.



DZIAŁ V

TYM, KTÓRZY ODESZLI

OLIVER

LYN KOTEL CORREL

PRZEMÓWIENIE NA POGRZEBIE Ś. P. KAZIMIERZA KAMIŃSKIEGO

w dn. 12 września 1928 r.

Za każdym razem, gdy Kazimierz Kamiński schodził ze sceny, doznawaliśmy uczucia żalu, że oto ustał ten cudowny koncert gry, którym nas tak sownie darzył ten wielki wirtuoz sceny polskiej. To uczucie żalu powtarzało się nawet wówczas, gdy Kazimierz Kamiński schodził ze sceny tylko na chwilę. Jakiż musi być nasz żal, gdy oto uświadamiamy sobie, że Kazimierz Kamiński zeszedł ze sceny na zawsze.

Gdy odchodzi w zaświaty znakomity pisarz lub artysta plastyk, zostają z nami jego myśli, jego uczucia i jego wizje. Gdy opuszcza nas na zawsze wielki aktor, podobnie jak i wielki wirtuoz sztuki muzycznej, strata wydaje się być nie tylko niepowetowana, ale i zupełna.

A jednak...

Tak już jest urządzony ten nasz świat, że zarówno złe, jak i dobre uczynki nigdy nie giną bez śladu. Zasługa, pozornie jak najściślej do danej osoby ograniczona, w rzeczy samej fałduje długo i szeroko, a tak daleko, że końca jej dostrzec nie sposób.

Dziś składamy do grobu śmiertelne szczątki ś. p. Kazimierza Kamińskiego i wydawać się nam może, że wraz z nim składamy do grobu wielką jego sztukę. Ale to złudzenie tylko. Bo któż z nas policzy, ilu to dobrych artystów sceny polskiej i z tego, i z następnego jeszcze poko-

lenia, myśląc o Kazimierzu Kamińskim, będzie mogło słusznie powiedzieć: Otośmy z niego!

Kazimierz Kamiński służył Ojczyźnie swojej w czasach, gdy słowo było prawie jedyną jej ostoją. Jako jeden z najniepospolitszych wyrazicieli słowa, stał się Kazimierz Kamiński jednym ze współtwórców tej siły, za pomocą której można było dźwignąć i ustalić Niepodległość Ojczyzny. To też aż nadto godzi się, aby przy smutnym obrzędzie nad trumną Kazimierza Kamińskiego nie brakło głosu Rządu Rzeczypospolitej Polskiej.

W imieniu tego Rządu niosę Ci, Mistrzu, w ostatniej posłudze garść kwiecica i to dobre polskie słowo, któreś tak świetnie rozumiał i któreś tak mocno umiłował.

Niech Ci lekką będzie ziemia, dla której pracowałeś tak wiernie i tak prawdziwie pięknie.

PRZEMÓWIENIE NA POGRZEBIE Ś. P. PROF. JANA ZAWIDZKIEGO

w dn. 17 września 1928 r.

Najboleśniejszym obowiązkiem urzędnika polskiego, powołanego do organizowania nowego życia w odrodzonej Ojczyźnie, jest żegnanie tych, którzy przedwcześnie a na zawsze ubywają z szeregów.

Obowiązek jest szczególnie bolesny wówczas, gdy z szeregów ubywa pracownik, którego trudno albo i zgoła nie sposób zastąpić.

Po długim okresie niewoli musimy być wszyscy w dzisiejszej Polsce jak armja robotnicza, z najwyższym pracująca pośpiechem.

Cóż mamy odczuwać, gdy nagle ubywa pracownik, który był mistrzem na swoim odcinku pracy, i to na tym odcinku, na którym stać może tylko nieliczna grupa najlepszych?

Ś. p. prof. Zawidzki był wybitnym uczonym.

Są uczeni, skądinąd bardzo czcigodni, którzy jednak poza zakresem swoich dociekań naukowych nie widzą, nie chcą, albo nie umieją widzieć otaczającego świata. Ś. p. prof. Zawidzki nie należał do nich. Należał on do tej, nigdy niedość licznej garści uczonych, którzy się pasjonują nauką, jako niezbędnym i najczęściej niezawodnym środkiem do przetwarzania, do doskonalenia nas samych i otaczającego nas świata. Ten typ uczonego — godzimy się na to chyba wszyscy — jest najcenniejszym

w dzisiejszych warunkach tego wszechświatowego wyścigu pracy, do którego historia powołała nasze pokolenie, i tego właśnie typu uczonego składamy dzisiaj do grobu.

Ś. p. prof. Zawidzki był znakomitym profesorem szkoły akademickiej. Są profesorowie szkół akademickich — dlaczegoż nie mamy sobie tego powiedzieć, stojąc nad trumną człowieka, który był wzorem profesora — są więc, powiadam, profesorowie, którzy swoją działalność pedagogiczną, nauczającą, odczuwają jak nieznosną kulę u nogi.

Ale są i inni, uznający katedry swe za placówki, na których się pełni doniosłą misję historyczną przygotowania oficerów sztabowych dla pracującej armii narodu.

I znowuż powtórzę, że wobec zadań, jakie stawia przed nami dzisiejsza chwila dziejowa, ten drugi typ profesorów szkół akademickich jest nam szczególnie potrzebny, a właśnie jednego z takich tracimy w osobie ś. p. prof. Zawidzkiego.

Gdy myśli te przebiegają przez głowę, mimowoli krzyczy w piersi naszej ciężki wyrzut ku nieubłaganej śmierci, czemu każe nam wiekiem trumny zamykać tych, którzy są nam najpotrzebniejsi i których najtrudniej zastąpić.

Ś. p. prof. Zawidzki był przez czas pewien wysokim urzędnikiem a potem szefem najwyższej magistratury szkolnej, w której imieniu spełniam smutny obowiązek złożenia mu ostatniego pożegnania. Pracował wśród nas cichy i skromny, kierował nami nietylko władzą, jaką mu sprawowany urząd nadawał, ale raczej promieniami tej dziwnej aureoli, którą daje głęboka wiedza przy wielkiej szlachetności serca.

Zostawił po sobie wspomnienie, jakie zostaje po przełożonym, którego się prawdziwie, głęboko i szczerze szanuje. To wspomnienie niechaj mi wolno będzie rzucić jako ostatni hołd Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na trumnę profesora Jana Zawidzkiego.

PRZEMÓWIENIE NA POGRZEBIE Ś. P. WACŁAWA JEZIERSKIEGO

w dn. 10 grudnia 1928 r.

Był w życiu naszego narodu stosunkowo niedawny okres, o którym trudno jest myśleć bez uczucia grozy. Okres, w którym wróg, złamawszy ciało nasze, próbował złamać ducha naszego. Noc polityczna zawisła nad krajem, a naród poczuł się jak w ciemnicy tortur, w której słyhać było tylko złośliwe poruszenia oprawców.

Kto wówczas nie stracił nadziei?

Garść tylko, drobna garść tylko — jak wówczas myślano — dziwaków, niepoprawnych manjaków, z których każdy mógł o sobie powiedzieć: „contra spem spero“.

W tym to okresie, jednym z najsmutniejszych w dziejach naszych, ś. p. Wacław Jezierski wstępuje do zawodu nauczycielskiego. Szumnie to powiedziane — wstępuje do zawodu. Poprostu zostaje nauczycielem polskim, a więc nauczycielem, tropionym przez policję, szykanowanym przez władze, skazanym na niepewny byt w sile wieku, i na pewną nędzę w starości. A zostaje tym nauczycielem poto, aby dzieciom polskim mówić o pięknie i bogactwie ich ziemi ojczystej, aby rozniecać i przechowywać iskry miłości do tej ziemi do czasu, aż będą mogły jasnym wybuchnąć płomieniem.

I oto on, skromny nauczyciel polski, jeden z tych, co wbrew nadziei wierzyli, doczekał się dni, w których na

własne oczy ujrzał, jak ta wiara góry przeniosła. Oto ujrzał, jak przed nim, skromnym nauczycielem polskim, rozwarły się szeroko bramy szkoły polskiej, rozwarły się szeroko, bo na cały ten wielki polski kraj, którego potęgę on, jak mało kto w Polsce, cenił i rozumiał. I otwarły się przed nim, skromnym nauczycielem polskim, podwoje najwyższych szkolnych urzędów państwowych. Poczęto go wołać zewsząd, bo potrzebowano go wszędzie. A on, zakasawszy rękawy do pracy, był wszędzie, gdzie go wołano: był przy organizacji szkół, przy opracowaniu programów, przy wizytacji korpusów kadeckich, przy ocenie książek dla młodzieży, był w Radzie Naukowej Wychowania Fizycznego, był przy szkoleniu nowego, szczęśliwego już pokolenia.

Lata szły, a on, wiecznie duchem młody, najmłodszym i najruchliwszym dotrzymywał kroku. Był przy narodzinach każdej nowej a zdrowej idei pedagogicznej.

Dla nas, urzędników administracji szkolnej w odrodzonej Ojczyźnie, był on żywą kroniką martyrologii szkoły polskiej w czasach niewoli i nieznuzonym orędownikiem tej martyrologii ofiar. Gdy w aktach, także niekompletnych, z czasów zaboru, ginął nam ślad prawdy, zwracaliśmy się do ś. p. Wacława Jezierskiego, a on prawie zawsze mógł dać świadectwo prawdzie, bo on tak, jak nikt, znał wszystkie zakamarki tej podziemnej świątyni, w której ongiś ratowano ducha polskiego.

*

Sprawiedliwieś przepracował życie dla Ojczyzny, znakomity Kolego. I oto, gdy nadszedł czas, aby Ojczyzna wreszcie i Twoje zliczyła zasługi, nie czekając na to, usunął się cicho do grobu.

Kolego Wacławie! Jeżeli to znaczy coś dla Ciebie w tej chwili, to niech duch Twój, w którego niezniszczalność tak mocno wierzyłeś, niech duch Twój usłyszy, że w imieniu najwyższej magistratury szkolnej Twojej Ojczyzny przynoszę Ci słowa najwyższego uznania.

Wybacz, że czynię to publicznie dopiero nad Twym grobem. Gdy kilka tygodni temu, ustępując z urzędu,

przybyłeś do mnie, i gdy układaliśmy plany dalszej Twojej z nami współpracy, żaden z nas nie przypuszczał, że to jest nasza rozmowa ostatnia, i że pozostanie mi tylko możliwość pożegnać Cię na cmentarzu. Spoczywaj w spokoju, rzetelny pracowniku, uznożony w wielkim trudzie dla szkoły polskiej. A ziemia ojczysta na pewno lekką Ci będzie, boś Ty poszedł w jej służbę w czasach najtrudniejszych, a odchodzisz przed nagrodą, na którąś tak sprawiedliwie zasłużył.

PRZEMÓWIENIE NA POGRZEBIE Ś. P. STANISŁAWA BARCEWICZA

we wrześniu 1929 r.

Znana jest ta pozornie dziwna naszej świadomości inercja, która występuje prawie zawsze w chwili, gdy śmierć nieubłagana wyrywa z pośród nas kogoś, kogo oddawna przywykliśmy widzieć i słyszeć lub odczuwać pośród nas, i z kim serce nasze uczuciem najszczerzej sympatji się zrosło. Inercja, która nie pozwala nam od razu i w całej pełni przejrzeć i odczuć wszystkich konsekwencyj bolesnego ciosu, jaki w nas uderzył.

Jestem pewien, że prawu tej inercji ulega świadomość kilku żyjących pokoleń dzisiejszego społeczeństwa polskiego na wieść o zgonie ś. p. Stanisława Barcewicza, bo zaprawdę kilku pokoleniom był ten człowiek bliski i drogi.

Był on bliski i drogi przedewszystkiem temu starszemu, schodzącemu już dziś z widowni pokoleniu, które w tym wielkim artyście, swoim rówieśniku, widziało tytuł do chluby i wdzięczności, — był on bliski i drogi i temu, w tej chwili w pełni sił twórczych znajdującemu się pokoleniu, które widziało w nim ciągle żywy i twórczy czynnik pracy kulturalnej, — wreszcie był on bliski i drogi i temu najmłodszemu, w przyszłość patrzącemu pokoleniu, które w tym nieustrudzonym pedagogu znajdowało wiecznie żywe, bijące źródło natchnienia dla swej pracy w bliższej i dalszej przyszłości.

Wszystkim tym pokoleniom, albo inaczej — całemu oświeconemu społeczeństwu polskiemu niełatwo będzie pogodzić się z myślą, że na tym ważnym odcinku pracy kulturalnej, o który mogliśmy być tak zupełnie spokojni, ponieważ na nim pracował Barcewicz, że właśnie na tym odcinku powstała nagle dotkliwa i nieodrazu dająca się zapełnić luka. Luka, nie dająca się zapełnić, ponieważ Barcewicz należał do tych talentów, które Opatrzność zsyła tylko niekiedy nawet społeczeństwu o wysokiej i starannie pielęgnowanej kulturze. Luka do zapełnienia tem trudniejsza, że Barcewicz należał do tego tak nielicznie reprezentowanego moralnego typu artystów estrady, którzy cichą i rzadko kiedy wdzięczną pracę pedagogiczną w Ojczyźnie przenoszą ponad burzę oklasków i strumieniem złota wylewający się entuzjazm międzynarodowych tłumów zagranicą.

Ale właśnie dlatego, w tej smutnej chwili, gdy prochy Jego mamy zwrócić ziemi ojczystej, pragnęlibyśmy, by ta ziemia grała Mu do snu najpiękniejszemi tonami swojej boskiej pieśni, by drzew szumem, ptaków śpiewem płaciła Mu hojnie za te wszystkie hołdy, których za życia się wyrzekł, bo zbyt ją kochał. A równocześnie pragnęlibyśmy, aby duch Jego patrzył w tej chwili w serca nasze i widział, jak bardzo Mu jesteśmy za to oddani i wdzięczni.

Niech duch wielkiego artysty odejdzie w zaświaty, ukojony poczuciem dobrze spełnionej zasługi, a prochy Jego niech spoczywają w spokoju.

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI POWITANIA ZWŁOK LELEWELA W WARSZAWIE

w dn. 22 września 1929 r.

W imieniu Rządu Rzeczypospolitej Polskiej ze czcią głęboką witam te prochy, powracające po długiej tułaczce na ziemię ojczystą.

Wielkiemu Patrjocie, który musiał uchodzić z Ojczyzny w strasznej godzinie powszechnej narodowej klęski, możemy zameldować posłuszenie, że oto Ojczyznę mamy wolną i tylko prawom swoim podległą.

Wielkiemu Bojownikowi demokracji, który przez całe życie swoje do wyzwolenia ludu i do nadania mu praw nawoływał, możemy zameldować posłuszenie, że lud polski jest wyzwolony i z pełni praw obywatelskich korzysta.

Byłemu ministrowi oświaty, który o powszechnem wychowaniu narodowem daremnie marzył, melduję posłuszenie, że na ziemi polskiej mamy oto prawo o powszechnym obowiązku szkolnym, i że w chwili obecnej bezmała cztery miliony dzieci w Polsce do bezpłatnej szkoły powszechnej uczęszcza.

— Melduję Ci, Znakomity Profesorze, Niezapomniany Nauczycielu największych w Narodzie, że jeżeli tu wszyscy zebrani ze czcią najgłębszą pochylamy czoła przed trumną Twoją, — to czynimy to nietylko ze względu na Twoją niezmordowaną pracę dla Ojczyzny, nietylko ze względu na Twe tułaczce za życia męczeństwo,

ale przede wszystkim — ze względu na triumf Twoich wielkich idei, ze względu na triumf Twojej wielkiej wiary.

Niesiemy Ci tutaj pokłon Stolicy, zanim hołd powinien złożyć Ci cała Polska, gdy prochy Twe przybędą do miasta, któreś najbardziej ukochał, do miasta, w którego starych murach może tai się jeszcze echo Twego głosu, do miasta, które grób Twój otoczy serdeczną miłością, uwieńczy aureolą swoich najpiękniejszych tradycji. Tam, wśród swoich, będziesz mógł już na wieki spoczywać w spokoju, albowiem stało się zadość sprawiedliwości dziejowej.

PRZEMÓWIENIE NA POGRZEBIE LELEWELA W WILNIE

w dn. 23 września 1929 r.

Jesteśmy na jednym z tych dziwnych pogrzebów, które są oznaką nie śmierci, lecz życia.

Bo choć przed nami rozwarła mogiła, a przy niej trumna, drogie nam szczątki kryjąca, choć słyszymy pieńia żałobne i pacierze zaduszne, nie znaczy to wszystko, że ktoś umarł, tylko znaczy, że ktoś w sercach naszych żyje.

Zaprawdę nie jest to pogrzeb, bo na pogrzebie oddaje się prochom ziemi kogoś, kogo się utraciło, a my na tem miejscu mamy zachować kogoś, kogośmy odzyskali. Zaprawdę, nie jest to pogrzeb, bo nie jest to niczyje w dalekie nieznane krainy odejście, ale długo oczekiwany powrót do swoich. A swoi grzebią zmarłego nie poto, by się z nim rozstać na wieki, ale poto, by tu pozostał wśród nich i by nadal zagrzewał i uczył. Tak jest, by nadal zagrzewał i uczył z tej mogiły, jako z ostatniej swojej w Wilnie katedry.

Bo nie wszystkie groby milczą. Są i takie, które najwymowniejszemi słowy wykładają naukę najwyższą. Do takich grobów należą groby naszych wielkich tułaczy-wygnañców.

Ludzie dzisiejszego pokolenia, przekorni i zrzędni, którzy są gotowi do upadłego procesować się z odzyskaną Ojczyzną o każdy artykuł swoich zawodowych czy

osobistych praw, o każdą złotówkę swojego zarobku — powinni często przystawać nad grobami naszych tułaczy-wygnańców i rozpamiętywać ich życie. Do tych grobów należy przywozić najmłodsze pokolenie Polaków, aby od nich uczyło się, czym jest bezinteresowna praca dla Ojczyzny.

Przed jednym z takich grobów w tej chwili stoimy.

Uczy on nas, że był kiedyś znakomity profesor, dla którego audytorjum bywały za małe największe sale uniwersytetu, profesor, który posiadał wielką światową chwałę naukową, pracując własnowolnie w warunkach, jakie byłyby nieznośne dla najskromniejszego z jego słuchaczy. Grób ten nas uczy, że był wielki patriota polski, który całe swe życie ciężko przepracował dla Ojczyzny, który Jej imię rozślawił po świecie, a który pomimo to uważał, że nie jest godny od Niej żądać nawet łóżka w szpitalu.

Dobrze, że groby takie w czasach dzisiejszych przynosimy z obczyzny do Polski. Groby te mówią i mówić będą. Od nas samych zależy, czy ich głosu słuchać zechcemy.

Składając w imieniu Rządu Rzeczypospolitej najgłębszy hołd pamięci Joachima Lelewela, wyrażam gorące pragnienie, aby nietylko prochy Jego pozostały tu w spokoju na wieki, ale aby i duch Jego ofiarny wstąpił w nas i pozostał z nami na zawsze.

PRZEMÓWIENIE NA POGRZEBIE JACKA MALCZEWSKIEGO W KRAKOWIE

w dn. 13 października 1929 r.

„Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go, jak syna, a umierając, oddam mu ciężar mój i większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie. I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu“.

Te słowa Szamana o Anhellim są jakby słowami testamentu, którym w ciemną noc niewoli wielkie duchy Polski przekazywały swą misję swoim następcom. Ten, którego śmiertelne szczątki do grobu złożyć mamy, był także tej misji dziedzicem. I On otrzymał „ciężar większy, niż mogą unieść inni“, i On w swej wizji tragicznej oglądał „wszystkie nieszczęścia tej ziemi“, i On szedł przez życie „w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu“. Z myśli tych i z tych tęsknot układał się poemat barw i kształtów przedziwnie piękny, a przecież nietylko dla naszych oczu, ile dla naszych serc przeznaczony. Bo kto na twórczość Malczewskiego patrzeć będzie ze stanowiska piękno-ducha, szukającego w niej wyłącznie materiału dla swoich wrażeń estetycznych, ten Malczewskiego ani nie dojrzy, ani nie zrozumie.

Malczewski przemawiał do nas mową, jaką mu Bóg w duszę jego włożył, śpiewał dla nas pieśń bez słów,

czarowną i porywającą, ale trzeba rozumieć wszystkie tej mowy wyrazy i słyszeć wszystkie tej pieśni tony. Wtedy dopiero dojrzeć można, że Jacek Malczewski to nie tylko artysta-malarz znakomity i sławny, ale że przede wszystkim to jeden z tej jasnej plejady rycerzy, których Bóg na szczytach ducha naszego postawił, gdy nas od zupełnej zagłady zachować postanowił.

Był On jednym z tych, co trzymali ostatnią linję okopów, co byli rezerwą i arsenałem ducha dla wyczekiwanego dnia zmartwychwstania.

I dotrzyмали!

Dlatego jestem tu dziś, przedstawiciel Rządu odrodzonej Ojczyzny, i dlatego stoję nad trumną Twoją, Ministrze, aby w imieniu tego Rządu złożyć Ci hołd i cześć. Za to, żeś Ojczyznę w piersi swojej nosił i cierniem Jej bólów serce swoje krwawił — hołd Ci składam. Za to, żeś rodaków do czujności budził i na cierpienia Ojczyzny znieczulić ich nie dawał — dzięki Ci składam. A iżeś się uznoił i wycierpiał wiele, o spokój wieczny dla Ciebie proszę.

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI ODSŁONIĘCIA POMNIKA ELIZY ORZESZKOWEJ W GRODNIE

w dn. 20 października 1929 r.

Gdy stajemy u stóp pomnika Elizy Orzeszkowej, gdy myśl nasza biegnie ku tej świetlanej postaci, co przez lat wiele była blaskiem i chlubą tego miasta, doprawdy nie wiemy, co w niej najpierw podziwiać, za co przedewszystkiem hołdy jej składać.

Czy podziwiać jej niepospolity talent literacki, który ją uczynił jedną z najznakomitszych powieściopisarek w literaturze świata — czy chylić czoło przed tą szlachetną jej twórczością tendencją, która nic nie ujmując artystycznemu poziomowi jej dzieł, uczyniła z niej wielką wychowawczynię naszego społeczeństwa — czy czuć dla niej wdzięczność i cześć za to, że w najtrudniejszym okresie naszego bytu narodowego była tu tym prawdziwym, jak ktoś się wyraził, „rycerzem kresowym“, trzymającym odważnie „straż nad Niemnem“ wówczas, gdy wielu się zdawało, że już wszystkie pozycje stracone?

Czy za to wszystko czuć dla niej podziw i cześć, czy też poprostu ugiąć kolano przed jej wielkiem, a tak nieskończenie, tak bezgranicznie dobrem sercem kobiecem.

To dobre serce kobiece kazało jej pochyłać się litośnie i nad dziewczyną upadłą, i nad smutną duszą zbrodniarza, ale co więcej, — to dobre serce kobiece

przerzucało dla niej złote mosty ponad przepaściami społecznych i rasowych przeciwieństw.

A pamiętajmy, że było to w czasach, gdy wróg śmiertelny trzymał nas za gardło i w każdej godzinie dnia i nocy starał się nam przypominać, że wśród uczuć ludzkich istnieje także nienawiść.

Dziś mamy niepodległość Ojczyzny. Zdawałoby się, że pod ożywczymi promieniami wolności oczyszczą się i uszlachetnią nasze dusze, że zniknie z nich jad złości i nienawiści, i że wszystkie uczucia i myśli zestrzelą się w jedno wspólne ognisko pracy dla rozwoju i potęgi państwa.

Jeżeli tak nie jest, jeżeli są wśród nas tacy, którzy za przykładem swoich poprzedników, co niegdyś wierzyli, iż Polska nierządem stoi, dziś wierzą, że dla potęgi państwa potrzebne są walki wewnętrzne w jego łonie, jeżeli są wśród nas tacy, którzy utrzymują, że w imię potęgi tegoż państwa trzeba wszczepiać uczucia wyłączności i nienawiści rasowej nawet w dusze naszych dzieci i naszej młodzieży, — to niech ci wszyscy biorą do ręki książki Orzeszkowej i niech czytają w jej wielkiem dobrem sercu.

A wówczas może, czego rozum przełamać nie zdołał, przełamię uczucie, i wielka powieściopisarka nasza stanie się jeszcze raz wielką wychowawczynią narodu.

Niechaj z tego pomnika Elizy Orzeszkowej idą na całą Polskę promienie rozwagi i przestrogi, niech będzie on postawionym na rubieży Rzeczypospolitej drogowskazem, kierującym myśli i uczucia ku temu, co wiecznie dobre, wiecznie szlachetne, a tem samem i wiecznie pożyteczne.

PRZEMÓWIENIE NA UROCZYSTOŚCI ODSŁONIĘCIA POMNIKA MŁODZIEŻY, POLEGŁEJ W OBRONIE WARSZAWY W 1920 R.,

w dn. 1 listopada 1929 r.

Jeżeli w dziejach naszego narodu jest choć jedno pokolenie, które słowami poety może zawołać do Boga: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!” — jest to pokolenie nasze.

Dał Bóg dobry temu pokoleniu wojnę ludów, o którą niegdyś daremnie modlił się wieszcz narodu, a kazawszy temu pokoleniu doznać okropności życia w ciemnicy niewoli, potem je wywiódł na jasne słońce wolności, jak-gdyby przez ten kontrast chciał to pokolenie nauczyć, jak tę wolność cenić i jak z niej korzystać należy.

Przebieg zdarzeń dziejowych był tak szczęśliwy, że w tej szczodrobliwości losu zawisło nad tem pokoleniem niebezpieczeństwo dziwne, bardzo swoiste, a przecież realne i w skutkach groźne. Zawisło nad tem pokoleniem niebezpieczeństwo, że pokolenie to Ojczyznę wolną darmo dostanie.

Ale Bóg dobry oszczędził nam tego upokorzenia. Zabłysnął oręż w ręku polskiego żołnierza-legjonisty, a potem przysły walki o granice Państwa w latach 1918 i 1919, aż wreszcie nadszedł rok 1920, rok pierwszej w tej wojnie prawdziwej próby dla narodu.

Dziś może jest jeszcze przedwcześnie wydawać ostateczny sąd, o ile dobrze cały nasz naród w swym całko-

witym społecznym i ideowym przekroju tę próbę wytrzymał. Ale są w historii tego roku karty tak piękne, są pewne momenty tak wzniosłe, iż już dziś nikt wątpić nie może, że w dziejach ludzkości po wsze czasy będą one świecić jako szczyty narodowego bohaterstwa.

Te piękne karty, te wzniosłe chwile przypominają nam ten pomnik, przypominają nam tak licznie tutaj rozsiane groby młodzieży. Przypominają nam chwile, kiedy to młodzież niedorośła za broń chwyciła, by swą pierśią dziecięcą osłonić niepodległość Ojczyzny.

I dziś już nam nikt nie ma prawa powiedzieć, żeśmy wolność Ojczyzny wyżebrali w przedpokojach dyplomatów, żeśmy granice Rzeczypospolitej wygrali w sprytniej grze politycznej. Bo granice Państwa Polskiego zakreślił bagnet polskiego żołnierza, a wolność swą Ojczyzna opłaciła ceną najwyższą, bo krwią serdeczną swych dzieci. Dzięki ich bohaterstwu mogliśmy powrócić do rodziny wolnych narodów z czołem podniesionem, bo wnieśliśmy do tej rodziny taki kapitał moralny, jaki każdemu innemu narodowi wielki zaszczyty przyniósł.

Zapewne, że uczucie żalu piersi nam tłoczy, gdy sobie przypomnimy, jak to tu, na tych polach podwarzawskich groza wojny młode życia gasiła, jak te radością promieniające, do życia błyszczące oczy mgłą śmierci zachodziły, jak te młodzińcze, prawie dziecinne twarze skurcz bólu przedśmiertnego pokrywał.

Ale myśląc o tem, nawet Wy, Czcigodne Matki tych synów, nie płaczcie łzami rozpacz, lecz łzami ukojenia, bo synowie Wasi pomarli śmiercią najpiękniejszą, jaką umrzeć mogli.

I miliony innych matek zazdrościć Wam winny, bo Bóg Was uczynił matkami bohaterów.

A choć dziś synowie Wasi śpią snem wiecznym w tych żołnierskich mogiłkach, duch ich wiecznie żyć będzie w narodzie i niećie iskry bohaterstwa w sercach polskiej młodzieży.

PRZEMÓWIENIE PRZY ODSŁONIĘCIU TABLICY PAMIĄTKOWEJ KU CZCI FRYDERYKA CHOPINA

w dn. 2 listopada 1930 r.

W tym oto domu żył i pracował Fryderyk Chopin.

Słowa te znaczą, że w murach tego domu pełnił się jeden z najpiękniejszych cudów polskiego tworzenia.

Pełnił się tutaj cud, który według wyrażenia Cyprjana Norwida polską muzykę ludową do ludzkości podniósł, który tradycję dworu polskiego szlachcica-rycerza przepiękną taśmą polonezów związał, — cud, który serce płonącej ogniem stolicy w „Rewolucyjnej Etiudzie“ wyraził.

Równe sto lat upływa dzisiaj od chwili, gdy z tego oto domu młodzieniec dwudziestoletni w świat daleki wyjechał. Opuściło stolicę jej dziecię genjalne, aby ciałem już nigdy do niej nie powrócić, ale by myślą i uczuciem na zawsze z nią pozostać. Pozostać z nią na zawsze i wzorem naszych prawie wszystkich wielkich twórców tych czasów w bólu tęsknoty i męce rozstania pełnić nadal swą wielką służbę tworzenia, tworzenia wielkiej sztuki narodowej, tworzenia melodyj, które, według określenia Roberta Schumanna, dla narodu w niewoli były działami, ukrytymi wśród kwiatów.

To też zaprawdę po stokroć godzi się, aby stolica Polski wielością znaków widomych była związana z imieniem Fryderyka Chopina.

I dlatego dzięki gorące złożmy tym, którzy potrzebę

tej dzisiejszej uroczystości wskazali, a zwłaszcza tym, którzy, śpiesząc z tradycyjną rodową ofiarnością, myśli tej urzeczywistnienie umożliwili.

Niech od tej chwili każdy oświecony Polak, który w kamieniach stolicy dzieje swego narodu odczytywać umie, przechodząc koło tego czcigodnego domu i rzucawszy okiem na tę tablicę, głowę ze czcią pochyli, bo w tym oto domu żył i pracował Fryderyk Chopin.

SPIS RZECZY

Przedmowy do wydania I-go i II-go	str. V—XI
---	--------------

I. O NOWY IDEAL WYCHOWAWCZY

O stosunku nauczyciela do ucznia	3
Na dzień dobrej woli	13
Niewygłoszone przemówienie na doroczny Zjazd Stowarzyszenia Dyrektorów Państwowych Szkół Średnich w lutym 1929 r.	16
O ideał wychowawczy szkoły polskiej	22
Konstytucja a wychowanie publiczne	40
Przemówienie na Zjeździe Walnym Związku Harcerstwa Polskiego 28.XII.1929 r.	56
Przemówienie z okazji X rocznicy odparcia najazdu Rosji Sowieckiej	61
Najważniejsze zagadnienie wychowawcze w dzisiejszej Polsce	67
Przemówienie na posiedzeniu Sejmu 10.II.1931 r.	73
Przemówienie na posiedzeniu Senatu 5.III.1931 r.	86

II. BUDOWA POLSKIEJ KULTURY

Przemówienie na uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego gmachu Szkoły Grafików 14.IX.1928 r.	103
Przemówienie na otwarciu Oddziału W. W. P. w Łodzi 28.X.1928 r.	105
Przemówienie na Zjeździe dorocznym Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich 8.XII.1928 r.	109
Przemówienie na otwarciu kursu instruktorskiego Oświaty Pozaszkolnej 4.III.1929 r.	112
Przemówienie na zakończenie prac Komisji Opiniodawczej o ustroju szkolnictwa muzycznego 22.VI.1929 r.	115
Przemówienie na Akademii Jubileuszowej ku czci prof. Mikułowskiego-Pomorskiego 26.VI.1929 r.	118

	str.
Przemówienie na otwarciu Kongresu Matematyków Krajów Słowiańskich 23.IX.1929 r.	120
Przemówienie na poświęceniu kamienia węgielnego gmachu Szkoły Handlowej i Przemysłowej Żeńskiej w Stanisławowie 6.X.1929 r.	122
Przemówienie na otwarciu Teatru Polskiego w Stanisławowie 6.X.1929 r.	124
O sprawach szkolnictwa średniego	127
Przemówienie na otwarciu konferencji w sprawie kultury wsi polskiej w Łowiczu 10.I.1930 r.	138
Przemówienie na otwarciu Zjazdu Wizytatorów 15.I.1930 r.	140
Przemówienie na otwarciu Instytutu Badań Naukowych Europy Wschodniej w Wilnie 23.II.1930 r.	144
Przemówienie na posiedzeniu Sejmu 28.II.1930 r.	146
Przemówienie na Zjeździe Stowarzyszenia Dyrektorów Polskich Szkół Średnich Państwowych 5.IV.1930 r.	157
Przemówienie na otwarciu Zjazdu Naukowego im. J. Kochanowskiego w Krakowie 8.VI.1930 r.	162
Przemówienie na otwarciu „Biblioteki Narodowej“ 28.XI.1930 r.	166
Przemówienie na Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Warszawie 30.XI.1930 r.	170
Przemówienie na otwarciu Biblioteki i Muzeum Ordynacji Krasińskich w Warszawie 2.XII.1930 r.	173
Przemówienie na poświęceniu gmachu Ministerstwa W. R. i O. P. w Warszawie 19.XII.1930 r.	175
Wywiad z p. Ministrem W. R. i O. P., dr. Sławomirem Czerwińskim, w „Wiadomościach Literackich“ 4.I.1931 r.	179
Przemówienie na cześć Leopolda Staffa z okazji trzydziestolecia jego twórczości 16.V.1931 r.	183
Przemówienie na Słowiańskim Kongresie Pedagogicznym w Warszawie 1.VII.1931 r.	186
Niewyłączone przemówienie na poświęceniu kamienia węgielnego pod nowy gmach Biblioteki Jagiellońskiej 13.VI.1931 r.	188

III. W OBRONIE SZKOŁY I NAUCZYCIELA

Przemówienie na posiedzeniu XXIV-tem Sejmu	193
W obronie szkoły i nauczyciela	200

IV. WSPOMNIENIE WALKI O SZKOŁĘ POLSKĄ

Przemówienie na Zjeździe XXV-lecia walki o szkołę polską w Kaliszu 25.V.1930 r.	209
Przemówienie na Zjeździe XXV-lecia walki o szkołę polską w Warszawie 25.X.1930 r.	218

V. TYM, KTÓRZY ODESZLI

	str.
Przemówienie na pogrzebie ś. p. Kazimierza Kamińskiego 12.IX.1928 r.	225
Przemówienie na pogrzebie ś. p. prof. Jana Zawidzkiego 17.IX.1928 r.	227
Przemówienie na pogrzebie ś. p. Wacława Jezierskiego 10.XII.1928 r.	229
Przemówienie na pogrzebie ś. p. Stanisława Barcewicza wrzesień 1929 r.	232
Przemówienie na uroczystości powitania zwłok Lelewela w Warszawie 22.IX.1929 r.	234
Przemówienie na pogrzebie Lelewela w Wilnie 23.IX.1929 r. Przemówienie na pogrzebie Jacka Malczewskiego w Krako- wie 13.XI.1929 r.	236 238
Przemówienie na odsłonięciu pomnika Elizy Orzeszkowej w Grodnie 20.X.1929 r.	240
Przemówienie na odsłonięciu pomnika młodzieży poległej w obronie Warszawy w 1920 r. 1.XI.1929 r.	242
Przemówienie na odsłonięciu tablicy pamiątkowej ku czci Fryderyka Chopina 2.XI.1930 r.	244





10063/

1